









**OCALENIE**

# PISMA ZBIOROWE JOSEPHA CONRADA

(KONRADA KORZENIOWSKIEGO)

Z PRZEDMOWĄ STEFANA ŻEROMSKIEGO

TOM XXI<sup>a</sup>

## O C A L E N I E

TOM II



WARSZAWA 1929

DOM KSIĄŻKI POLSKIEJ SPÓŁKA AKCYJNA

<http://rcin.org.pl>

JOSEPH CONRAD

# OCALENIE

OPOWIEŚĆ Z PŁYTKIEGO MORZA

Z PRZEDMOWĄ AUTORA

CZĘŚĆ IV, V i VI

DAR PŁYTKIEGO MORZA — HONOR I NAMIĘTNOŚĆ —  
ZEW ŻYCIA I OKUP ŚMIERCI

INSTYTUT  
BADAŃ LINGWISTYCZNYCH PAN  
Biblioteka  
ul. Nowy Świat 72  
00-000 Warszawa  
Tel 26-88-63, 26-52-31 w. 42

WARSZAWA 1929  
DOM KSIĄŻKI POLSKIEJ SPÓŁKA AKCYJNA

<http://rcin.org.pl>

TLUMACZYŁA Z ANGIELSKIEGO  
ANIELA ZAGÓRSKA



ODBITO 5250 NUMEROWANYCH  
EGZEMPLARZY

N<sup>o</sup> 1940 \*

997

Copyright by Aniela Zagórska Warsaw 1929  
Prawa przedruków i przekładów zastrzeżone

Czcionkami Drukarni Narodowej w Krakowie

<http://rcin.org.pl>



CZĘŚĆ IV

DAR PŁYTKIEGO MORZA



## I

Lingard zabrał panią Travers z jachtu i wioził ją sam małym czółkiem. Wśród rozgardjaszu, towarzyszącego wsiadaniu do łódek, stał u jej boku, wielki i milczący, póki ostatni marynarz nie opuścił szkuneru. Dopiero gdy mrukliwy, niespokojny gwar majtków odjeżdżających łodziami zagubił się zupełnie w oddali, rozległ się głos Lingarda, poważny na tle ciszy: — Niech pani pozwoli za mną. — Poszła; kroki ich rozlegały się głośno i głucho na pustym pokładzie. U końca stopni odwrócił się i rzekł bardzo cicho.

— Niech pani uważa.

Wszedł do czółna i przytrzymał je. Zdawało mu się, że pani Travers jest przerażona ciemnością. Poczuli, że chwycił ją mocno za ramię. — Trzymam panią — rzekł. Weszła do łodzi bez wahania, powierzając się naólep jego sile, i nieco zdyszana, opuściła się na tylną ławkę. Usłyszała lekki plusk, poczem niewyraźny zarys opuszczonego statku rozplynał się nagle wśród nocy.

Lingard wiosłował, siedząc nawprost postaci zakapturzonej i owiniętej płaszczem, a nad jej głową miał przed oczyma połysk rufowej latarni, dopalającej się zwolna na porzuconym okręcie. Gdy zgasła bez żadnego ostrzegawczego błysnięcia, przestał widzieć zupełnie kontury statku osiadłego na mieliźnie. Znikły bez śladu jak sen; a wypadki ostatnich dwudziestu czterech godzin były również jakby częścią rozwianego

snu, tak samo jak i zakapturzona, owinięta płaszczem postać. Nie mówiła; nie poruszała się; zaraz zniknie. Lingard usiłował sobie przypomnieć rysy pani Travers, choć siedziała w łódce o dwie stopy od niego. Wydało mu się, że zabrał ze szkunera nie kobietę lecz wspomnienie — dręczącą pamięć o ludzkiej istocie, której nigdy już nie zobaczy.

Za każdym ruchem krótkich wiosł paneli pani Travers czuła, że łódź skacze naprzód z nią razem. Lingard musiał spoglądać często przez ramię aby utrzymać kierunek. — Na brygu będzie pani bezpieczną — rzekł. Milczała. To sen! To sen! Odchylił się krzepko w tył; woda zabulgotała głośno o tępy bak. Czerwonawy blask, rzucony zdala przez pochodnie, odbijał się w głębi kaptura. Sen miał bladą twarz; wspomnienie miało żyjące oczy.

— Musiałem sam po panią przyjechać — rzekł.

— Spodziewałam się tego. — Były to pierwsze słowa, jakie od niej usłyszał, odkąd się spotkali po raz trzeci.

— A poprzysiągłem — także wobec pani — że noga moja nie postanie na pokładzie waszego statku.

— To ładnie z pana strony, że — — zaczęła.

— Jakoś zapomniałem — rzekł z prostotą.

— Spodziewałam się tego po panu — powtórzyła. Trzy razy poruszył szybko wiosłami, nim spytał bardzo łagodnie:

— Czego pani się jeszcze spodziewa?

— Wszystkiego — rzekła. Okrążył wówczas rufę brygu i musiał spojrzeć w bok. Potem zwrócił się do niej:

— Więc pani ufa, że — — wykrzyknął.

— Chciałabym panu ufać — przerwała — ponieważ —

Przestraszony głos zawołał nad nimi po malajsku:—  
Kapitan przyjechał.

Pani Travers zamilkła, słysząc ten dziwny dźwięk. Lingard złożył wiosła; zobaczyła, że suną pod wysokim bokiem brygu. Ciemna twarz, patrząca z wyteżeniem, zjawiła się bardzo blisko jej oczu, czarne palce chwyciły za burzę łódki. Powstała, chwiejąc się. — Niech pani uważa — rzekł znowu Lingard, ale tym razem — w świetle — nie ofiarował jej pomocy. Weszła po trapie sama, a za nią Lingard.

Szaniec był zapełniony ludźmi dwóch ras. Lingard i pani Travers przeszli szybko wśród grup, które usuwały im się z drogi. Otworzył przed nią drzwi kabiny, ale pozostał na pokładzie aby się wypytać o łódki wysłane na zwiady. Powróciły, gdy był na jachcie i obaj dowodzący majtkowie przyszedli na rufę zdać raport. Łódka wysłana na północ nic nie spostrzegła. Łódź, której kazał zbadać ławice i wysepki leżące na południe od brzegu, widziała istotnie *prao* Damana. Dowódca jej raportował, że kilka ognisk paliło się na brzegu, gdyż załogi obu *prao* obozowały na piaszczystej rewie. Gotowano posiłek. Ludzie z brygu byli dość blisko aby słyszeć głosy. Na mostku *prao* stał człowiek pełniący wartę; dowiedzieli się o tem, ponieważ słyszeli, jak krzyczał coś do ludzi obozujących w dole u ognisk. Lingard chciał wiedzieć, jak tego dokazali, że ich nie spostrzeżono. „Noc była naszą kryjówką“, odrzekł Malaj głębokim, warkliwym głosem. Nie miał pojęcia, że jacyś biali są w obozie Damana. Skądżeby się tam wzięli? Radża Hassim i jego siostra zjawiłi się niespodzianie w swem czólnie obok jego łodzi. Radża Hassim rozkazał mu szeptem, aby wracał na bryg natychmiast i opowiedział tuanowi o wszystkim,

co zauważył. Radża Hassim powiedział także, iż wkrótce powróci i przywiezie nowe wieści. Dowódca łodzi słuchał; radża Hassim jest dlań zwierzchnikiem, bo „posiada pełną znajomość wszystkich zamiarów tuana, o czem wiemy tu wszyscy“.

— Dość! — krzyknął nagle Lingard.

Malaj podniósł na niego o ciężałe spojrzenie i bez słowa wycofał się na rufę. Lingard powiódł za nim gniewnym wzrokiem. Nowa siła zjawiała się na świecie, zawładnęła ludzką mową i nasyciła ją aluzjami pełnemi posępnej ironji. Lingard przeraził się i cofnął, usłyszawszy, iż ktoś „posiada dokładną znajomość jego zamiarów“. Uświadomiło mu to, że teraz sam nie wie, co zamierza — że wydaje mu się niepodobieństwem, aby kiedykolwiek mógł tę wiedzę odzyskać. Nowa potęga rzuciła czar nie tylko na słowa, których musiał wysłuchiwać, ale i na fakty, które go napastowały, na ludzi, których widywał, na myśli, któremi musiał kierować, na uczucia, których musiał doznawać. Rzeczywistość pozostała tem samym co i przedtem — widzialną w promieniach słońca powierzchnią życia, otwartą dla zwycięskiego pochodzenia nieokiełznanej woli. Wczoraj dawała się wyraźnie rozpoznać, opanować i zlekceważyć; ale teraz nowa siła zjawiała się na świecie i zasnęła wszystko nieokreślonym mrokiem, kryjącym cel ciemny i niezbadany.

## II

Lingard wzdrygnął się zlekka, przychodząc do siebie i wydał rozkaz, aby zgaszono światła na brygu. Teraz, gdy przenosiny załogi już były skończone, wszystko przemawiało za ciemnością. Wydał ten rozkaz instynktownie,

ponieważ to właśnie było wskazane w danych okolicznościach. Myślami przebywał w kajucie swego brygu, gdzie czekała kobieta. Położył rękę na oczach, jak gdyby chciał się skupić przed wielkim myślowym wysiłkiem. Słyszał wokół siebie podniecone szepty białych, których rano jeszcze pragnął tak gorąco wziąć pod swoją opiekę. Miał ich teraz na brygu; ale wypadek, pech, przekłeta głupota wydarły mu powodzenie tego planu. Musi wejść do kajuty i porozmawiać z panią Travers. Ta myśl go przerażała. Nie należał zaiste do ludzi, którzy umieją się wypowiadać. Wywnętrzenie się było dla niego olbrzymiem przedsięwzięciem, kwestją rozpaczliwego wysiłku o wątpliwym rezultacie. „Muszę dojść z nią do ładu“ — szepnął, jakby spodziewając się walki. Niepewny był i siebie i jej; niepewny był wszystkiego i wszystkich; ale wiedział z pewnością, że pragnie na nią spojrzeć.

W chwili gdy zwrócił się do drzwi kajuty, obie pochodnie zgasły jednocześnie i czarne sklepienie nocy, podtrzymywane nad brygiem przez jaskrawy blask, zapadło się za Lingardem i zagrzebało pokład w nagłym mroku. Brzęczenie obcych głosów wzmogło się natychmiast na nutę przestachu.

— Hallo!

— Psa, kota nie widać!

— Co też teraz będzie? — nastawał jakiś głos — chciałbym wiedzieć co będzie?

Lingard zatrzymał się w chwili, gdy miał już drzwi otworzyć i czekał bezsensownie na odpowiedź, jakby spodziewał się po niej jakiegoś natchnienia.

— Co ci jest? Ciesz się i tyle! — odrzekł ktoś.

— Wszystko to bardzo pięknie — na dziś wieczór — odezwał się pierwszy głos.

— Czego się znów ciskasz? — napominał drugi rozważnie. — Dostaniemy się do domu jak się patrzy.

— To nie jest takie murowane; tutejszy pomocnik gadał —

— Niech sobie gada; tamten facet — no ten od brygu — wyciągnie nas z tego. Żona zwierzchnika pomówi z nim — już ona potrafi. Od czego forsą!

Oba głosy zbliżyły się i słychać je było wyraźnie tuż za Lingardem.

— A nuż te psiekrwie dzikusy podpalą jacht? Kto im przeszkodzi?

— A niechby i podpalili. To ci ten bryg nie-dobry, żeby na nim odjechać? No gadaj? Przecie są i armaty, i wszystko. Zajedziemy do domu i szlus. A ty co powiesz, Janie?

— Nic nie powiem i nic mnie to nie obchodzi — rzekł trzeci głos, spokojny i słaby.

— Niby chcesz powiedzieć, że wszystko ci jedno, czy przespacerujesz się na dno czy do domu? Każ się wypchać!

— Na dno — powtórzył spokojnie blady głos. — A jakże! Znajdziemy się tam wszyscy, tak czy owak. O sposób nie chodzi.

— Brr! Nawet august z jakiego cholernego cyrku zagryzłby się przy tobie. Coby powiedziała na to moja stara, gdybym się już nigdy nie pokazał?

— Wzięłaby innego chłopca. Durniów pełno jest wszędzie.

Spokojny i niewesoły chichot rozległ się wśród zgorzonego milczenia. Lingard stał bez ruchu z ręką na klamce. Nieco dalej ktoś wybuchnął mrukliwie:

— Niecierpię się teraź w ciemności po obcym okręcie. Ciekawym, gdzie tu trzymają świeżą wodę!



Nie można się dogadać z tymi głupimi murzynami. Tyle tu sobie z nas robią, co ze stada bydłaków. Będziemy musieli pewno koczować Bóg wie jak długo na tym tu psiamać szańcu. — Potem znów, tuż przy Lingardzie rzekł pierwszy głos, dyskretnie przytłumiony:

— To doprawdy ciekawe, że ten bryg tak się tu nagle wtrynił, no nie? I jeszcze ten jego szyper! Cóż to za człowiek?

— Ech, z niego to taki szyper, co się szwenda tu i tam. Ten bryg, to chyba do niego należy. Rozjeżdża sobie na nim i patrzy coby tu grypsnąć — uczciwie czy nieuczciwie. Mój szwagier przesłużył dwa tuaty na tutejszych morzach i nagadał mi okropności o tem, co tu się dzieje w tych zatraconych okolicach. Ale pewnie kłamał. Ci z wojennych statków łąją jak najęci. Cóż mnie to może obchodzić, kim jest ten szyper. Daj mu święty spokój i nie zawracaj sobie głowy. Nie zobaczysz go już ani razu, jak sobie stąd pójdziemy.

— A czy on potrafi coś zrobić dla naszego zwierzchnika? — zapytał znowu głos pierwszy.

— Czy potrafi! Jedno jest pewne: że my nie potrafimy nic zrobić. Może w tej oto minucie zwierzchnik już gdzieś leży zakatrupiony — któż to wie? Gadają, że te tu dzikusy to okrutne zabijaki. Powiem ci, że mi go żal naprawdę.

— Mnie też — potwierdził mrukliwie drugi.

— Może biedak nie był przygotowany — zaczął znowu rozsądny głos. Lingard usłyszał głębokie westchnienie. — Jeżeli tylko da się coś zrobić, już to tam jego żona pokombinuje z tym szyprem. Z wola Bożą może się jej i przysłuży —

Lingard otworzył gwałtownie drzwi kajuty, wszedł i zatrzęsął je na ciemność.

— Z wolą Bożą gotów jestem się pani przysłużyć — rzekł, postawszy chwilę bez ruchu z oczami utkwionemi w pani Travers. Wisząca lampa oświetlała kajutę niezmiernie jaskrawem światłem. Pani Travers odrzuciła była kaptur. Promienna jasność małej kabiny spowijała ją tak szczelnie, lgnęła do niej z taką siłą, jakgdyby stanowiła część jej istoty. Żaden cień nie przesłaniał jej twarzy oświetlonej jaskrawo i jakby hermetycznie zamkniętej, twarzy o nieprzeniknionem pięknie.

Lingard patrzył w nieświadomej ekstazie na tę zdumiewającą wizję; zdawało mu się, że zabłądziła w jego życie z za krańców niepojętego. Niepodobna było odgadnąć jej myśli, poznać jej uczuć, zrozumieć jej zmartwień czy radości. Ale ona wiedziała o wszystkim, co tkwiło na dnie jego serca. Powiedział jej to sam — zagniony raptowną myślą — uciekając się do niej w mroku, w rozpaczy, w bezsensownej nadziei, w niewiarogodnem zaufaniu. Powiedział jej to, czego nie mówił nikomu na ziemi — może tylko czasem samemu sobie, ale bez słów — mniej wyraźnie. Powiedział jej, a ona wysłuchiwała w milczeniu. Słuchała, wychyliwszy się za poręcz, aż wreszcie dotknęła oddechem jego czoła. Przypomniawszy to sobie i doznał na chwilę porywającej dumy i niewysłowionego przerażenia. Zaczął z wysiłkiem:

— Słyszała pani, co mówiłem przed chwilą? Oto jestem.

— Pan czeka, abym coś powiedziała? Czyż to konieczne? Czyż to możliwe?

— Nie — odrzekł. — To już zostało powiedziane.

Wiem, czego się pani po mnie spodziewa. Wszystkiego.

— Wszystkiego — powtórzyła i zamilkła, poczem dodała znacznie ciszej: — Conajmniej.

Wyglądał na zatopionego w myślach.

— To nadzwyczajne — rozważał półgłosem — jak ja tego człowieka nie lubię.

Pochyliła się trochę.

— Niech pan pamięta, że ci dwaj ludzie są niewinni — zaczęła.

— Jak i ja. Jak każdy człowiek na świecie. Czy pani kiedy spotkała mężczyznę czy kobietę, którzyby nie nie byli niewinni? A jednak każdy musi zdać się na los.

— Spodziewam się, że pan będzie wspaniałomyślny — rzekła.

— Dla pani?

— No tak — dla mnie. Jeśli pan chce — dla mnie samej.

— Dla pani samej! A przecież pani wie wszystko! — Głos jego przycichł. — Pani chce swego szczęścia.

Poruszyła się niecierpliwie; spostrzegł, że zacisnęła dłoń leżącą na stole.

— Chcę powrotu mego męża — rzekła ostro.

— Tak. Tak. To właśnie mówiłem. To jest to samo — mruknął z dziwnym spokojem. Spojrzała na niego badawczo. Odznaczał się wielką prostotą i to w nim uderzało przedewszystkiem. Czuła, jak nią zwolna owłada ta potężna postać. Nie był przeciętnym. Był raczej wszystkiem innem niż przeciętnym człowiekiem. Urok życia poza prawem rozciągał się nad nim jak niebo nad morzem, zbiegając się ze wszech stron w jednolity widnokrąg. W kole tem krążył samotny, niebezpieczny i romantyczny. Był zdolny do przestępstw, poświęceń, uwielbienia, tkliwości i sku-

pięnego szaleństwa. Myślała ze zdumieniem, że ze wszystkich mężczyzn na świecie był zaiste tym, którego znała najlepiej, a jednak nie mogła przewidzieć, co powie lub zrobi za chwilę. Rzekła wyraźnie:

— Pan mi darował swą ufnosć; teraz chcę, żeby mi pan darował życie tych dwóch ludzi, których pan nie zna, których pan jutro zapomni. Pan może to zrobić. Pan musi to zrobić. Pan nie może mi tego odmówić. — Czekwała.

— Dlaczego nie mogę odmówić? — szepnęła pośpiesznie, nie podnosząc oczu.

— Pan pyta? — wykrzyknęła. Stała bez ruchu. Zdawało jej się, że brak mu słów.

— Pan pyta... Ach! — zawołała — czyż pan nie widzi, że ja nie mam królestw do zdobywania?

### III

Lekka zmiana wyrazu twarzy Lingarda, zmiana, która znikła prawie natychmiast, świadczyła że usłyszał namiętny okrzyk pani Travers, wydarty jej przez rozterkę duszy. Nie drgnął nawet. Widziała jasno niezmierną trudność swego położenia. To położenie było niebezpieczne; mniej same fakty niż to, co się w nich czuło. Chwilami sytuacja nie wydawała się jej realniejszą od legendy; i myślała o sobie jak o jakiejś kobiecie z ballady, kobiecie, która musi błagać, aby jej darowano życie niewinnych więźniów. Ocalić Traversa i d'Alcadera było dla niej więcej niż obowiązkiem. To była konieczność, to była bezwzględna potrzeba, to było nieuniknione posłannictwo. Jednak musiała sobie uprzytomnić zgrozę okrutnej i tajnej śmierci, nim potrafiła odczuć litość, na którą zasłu-

giwali. Zaś gdy patrzyła na Lingarda, serce jej się ścisnęło najgłębszym współczuciem. Tamci byli godni litości, ale ten człowiek, ofiara swych własnych, dziwacznych popędów, wydawał jej się tragicznym, fascynującym i winnym. Lingard podniósł głowę. Za drzwiami rozległy się szepty i Hassim, poprzedzający Immadę, wszedł do kajuty.

Pani Travers spojrzała na Lingarda, ponieważ ze wszystkich twarzy w kabinie tylko ta jedna była dla niej zrozumiała. Hassim zaczął mówić natychmiast, a gdy umilkł, głębokie westchnienie Immady rozległo się wśród nagłej ciszy. Lingard spojrzał na panią Travers i rzekł:

— Obaj panowie żyją. Obecny tu radża Hassim widział ich przed niespełną dwiema godzinami, taksamo jak i jego siostra. Są żywi i cali na razie. A teraz...

Zatrzymał się. Pani Travers wsparła się na łokciu i ocieńczyła ręką oczy, siedząc pod błyskiem wiszących gromów.

— Pan musi nas nienawidzić.

— Nienawidzić — was? — powtórzył, jak jej się zdawało, z odcieniem pogardy w głosie. — Nie. Nienawidzę samego siebie.

— Dlaczego samego siebie? — spytała bardzo cicho.

— Bo nie wiem, co ze mną się dzieje — odpowiedział. — Bo nie wiem, co ze mną się dzieje. Bo nie wiem, co mnie napadło od — od tego ranka. Byłem zły wówczas... Byłem tylko bardzo zły...

— A teraz — szepnęła.

— Jestem... nieszczęśliwy — rzekł. Po chwili milczenia, która pozwoliła pani Travers zdumieć się, jakim sposobem ten człowiek zdołał przeniknąć do samego dna jej współczucia, Lingard palnął w stół pię-

ścią tak silnie, iż wszystkie ciężkie muszkiety jak gdyby podskoczyły.

Pani Travers posłyszała, że Hassim wypowiedział poważnie kilka słów, a Immada jęknęła z rozpaczą.

— Wierzyłam panu zanim... zanim pan mi zaufał — zaczęła. — Pan to widziała. Prawda?

Wpatrzył się w nią. — Pani nie jest pierwszą, która we mnie uwierzyła — rzekł.

Hassim stał, oparty niedbale plecami o zamknięte drzwi, nie spuszczać z Lingarda baczego wzroku, a ciemne i żałosne oczy Immady spoczywały na obliczu białej kobiety. Zdawało się pani Travers że zmagają się z nimi, że walczą o zawładnięcie siłą tego człowieka i jego oddaniem. Gdy podniosła oczy na Lingarda, zobaczyła na jego twarzy — która powinna była odbijać obojętność lub uniesienie, jak twarz poważnego przywódcy albo bezlitosnego marzyciela — wyraz zupełnego zapamiętania. Wyglądało to, jakby Lingard się rozkoszował jakimś głębokiem i zdumiewającym przeżyciem. I nagle — w chwili gdy odwoływała się do jego wspaniałomyślności, w środku jakiegoś zdania — pani Travers zająknęła się, uprzytamniając sobie, że to ona jest przedmiotem jego zapażenia.

— Nie patrz, nie patrz na tą kobietę! — krzyknęła Immada. — O panie, odwróć oczy... — Hassim zarzucił ramię na szyję siostry. Głos jej przycichł. — O panie! Patrz na nas! — Hassim przyciągnął ją do siebie i zakrył ręką jej usta. Wrywała mu się przez chwilę jak ptak schwyty w sidła; wreszcie poddała się i ukryła głowę na jego ramieniu, szlochając bardzo cicho i spokojnie.

— Co oni panu mówią? — zapytała pani Travers z nikłym i bolesnym uśmiechem. — Co oni mogą mówić? To jest nie do zniesienia, że ich słowa, które

nic dla mnie nie znaczą, znajdują drogę prosto do serca pana...

— Mówią, żebym odwrócił oczy — szepnęła Lingard bez najłżejszego ruchu.

Pani Travers westchnęła.

— Tak, bardzo mi ciężko pomyśleć że ja, która pragnę pana wzruszyć, nie mogę dać się zrozumieć jak oni. A jednak mówię językiem pańskiego dzieciństwa, językiem człowieka, którego cała nadzieja jest w pańskiej wspaniałomyślności.

Potrząsnął głową. Przez chwilę patrzyła w niego niespokojnie.

— Więc w pańskich wspomnieniach — rzekła i zdiwiała się na widok głębokiego smutku, jaki powlókł uważną jego twarz.

— Czy pani wie, co ja pamiętam? — rzekł. — Czy pani chce wiedzieć? — Słuchała z lekko rozchylo-nemi ustami. — Więc pani powiem. Biedę, ciężki znój — i śmierć — ciągnął bardzo spokojnie. — Teraz powiedziałem pani, a pani nie wie. Tak to jest między nami. Pani mówi do mnie — ja mówię do pani — i nic nie wiemy.

Powieki jej opadły.

— Cóżbym mogła panu powiedzieć? — ciągnęła. — Co ja mogę zrobić? Nie powinnam ustąpić. Niech pan się zastanowi! Wśród pańskich wspomnień musi być jakaś twarz — jakiś głos — przynajmniej jakieś imię. Nie mogę uwierzyć, że tam jest sama gorycz.

— Tam niema goryczy — mruknął.

— O bracie, serce moje osłabło z trwogi — szepnęła Immada. Lingard zwrócił się szybko w stronę tego szeptu.

— Więc pan ich musi ocalić — — wykrzyknęła pani Travers. — Ja wiedziałam —

— Znieś swoją trwogę cierpliwie — rzekł szybko Hassim do siostry.

— Muszę ich ocalić. Pani to powiedziała — rzekł nagle głośno Lingard. Czuł się jak pływak, który — wśród nadludzkich wysiłków, aby dosięgnąć brzegu — spostrzega, że prąd go zabiera do morza. Podda się tajemniczemu prądowi; popłynie z tajemniczym prądem, popłynie szybko — i ujrzy koniec tego wszystkiego, wypełnienie — błogie i straszliwe zarazem.

W tym stanie egzaltacji czuł się w niepojęty sposób zawsze zwycięskim, cokolwiekby się stało — a grała tu pewną rolę i uporczywa wytrwałość. Nie mógł poświęcić swego zamysłu, długoletniego zamysłu, celu swego życia; nie mógł rozstać się z nim i żyć dalej, tak jak nie mógł wyciąć sobie serca i nie umrzeć. Ten miłośnik przygód nie mógł się wyrzec swej przygody, która — w jego własnem przekonaniu — uczyniła go wszystkiem czem był.

Rozpatrywał zagadnienie z zimną odwagą, podtrzymywany przez wiarę w swe siły. To nie tych dwóch ludzi miał ocalić; miał ocalić samego siebie. Gdy z tego punktu spojrział na sytuację, wydała mu się znaną.

Hassim opowiedział Lingardowi, że obu białych uprowadzono do obozu Damana. Młody radca wysiadł na piasku, zostawiając siostrę w czółnie i doczołgał się do skraju światła rzuconego przez ogniska, przy których gotowali Illanunowie. Daman siedział osobno przy większem ognisku. Dwa *prao* stały na płytkiej wodzie obok rewy; po mostku chodziła placówka, obserwując światła na brygu; obóz pełen był spokojnych



szeptów. Hassim wrócił do czołna, poczem oboje z siostrą, wiosłując ostrożnie, objechali wkoło zakotwiczonych statków, na których słyszeli kobiece głosy, i zbliżyli się do przeciwległego końca obozu. Blask wielkiego ogniska padał tam na wodę, a czołno sunęło bez pluśnięcia skrajem światła, trzymając się mroku. Hassim wysiadł po raz drugi i znów podpełził blisko do ogniska. Każde z *prao*, zgodnie z wojennymi zwyczajami illanuńskich piratów, miało mniejszą łódkę, a że te łodzie były lekkie i zwinne, wciągnięto je na piasek opodal wielkiego ogniska, gdzie tkwiły wysoko na spadzistym brzegu, rzucając głębokie cienie. Hassim podpełził do większej łodzi i stanąwszy na czubkach palców, mógł widzieć obóz z nad burty. Niewyraźny gwar męskich głosów przypominał brzęczenie owadów w lesie. Dziecko kwiliło na pokładzie jednego z *prao*, a kobiecy głos nawoływał ostro kogoś na brzegu. Hassim wyjął *kriss* z pochwy i trzymał go w pogotowiu.

Wkrótce — opowiadał — zobaczył dwóch białych, przechadzających się między ogniskami. Gestykulowali, rozmawiając z sobą i zatrzymując się od czasu do czasu. Zbliżyli się do Damana, a krępy człowiek z włosami na twarzy przemawiał do niego poważnie przez długi czas. Daman siedział, skrzyżowawszy nogi, na małym dywaniku, z otwartym koranem na kolanach, i śpiewał wersety, kiwając się z zamkniętymi oczami.

Illanuńscy wodzowie, którzy spoczywali na ziemi owinięci w płaszcze, podnieśli się na łokciu, aby przyrzec się białym. Krępy biały człowiek skończył przemowę i patrzył na nich wdół przez chwilę, potem zaś tupnął w piasek. Widać był zły, że go nikt nie rozumie. Potem nagle zrobił się bardzo smutny; zakrył twarz rękami, a wysoki biały położył mu dłoń

na ramieniu i szepnął coś do ucha. Suche drwa trza-  
skały w ogniskach; Illanunowie spali, gotowali, gwa-  
rzyli, ale z bronią w ręku. Jeden czy dwóch zbrojnych  
ludzi podeszło, aby gapić się na więźniów i powróciło  
znów do ognia. Dwaj biali opuścili się na ziemię na-  
przeciw Damana. Ubrania ich były zbrukane, we wło-  
sach mieli piasek. Wysoki człowiek zgubił kapelusz;  
szkło w oku krępego bardzo błyszczało; plecy jego były  
pokryte błotem, a jeden z rękawów kurtki rozdarty  
aż do łokcia.

Hassim zobaczył to wszystko i cofnął się później  
niepostrzeżenie na brzeg, gdzie Immada czekała na niego  
w czółnie gotowem do odjazdu. Illanunowie, ufając  
morzu, strzegli bardzo niedbale swych więźniów i Has-  
sim twierdził, że byłoby się dało białych uprowadzić,  
gdyby się tylko mógł z nimi porozumieć. Ale nie po-  
jęliby jego znaków, a tembardziej słów. Naradzał się  
z siostrą. Immada szeptała smutno; u ich stóp fale  
rozpryskiwały się z ponurym szumem nie głośniejszym  
od ich szeptu.

Lojalność Hassima była niezachwiana, ale prowa-  
dziła go teraz nie w jasne światło nadziei, lecz w głę-  
boki cień zwątpienia. Chciał zebrać informacje dla  
swego przyjaciela, który jest taki potężny i który może  
potrafi być stałym. Gdy, poprzedzając Immadę, zbliżył  
się znów do obozu — tym razem jawnie — ich ukaza-  
nie się nikogo tak dalece nie zaskoczyło. Wodzowie  
Illanunów wiedzieli dobrze, że mają walczyć — jeśli  
taką jest wola Boga — za radzę z Wajo i że ten radza  
przebywa na mieliznach, wyglądając białego człowieka,  
który posiada wielkie bogactwa i zapas broni, i który  
jest jego sługą. Daman jeden jedyńy zdawał sobie  
sprawę z ich istotnego stosunku; powitał gości z nie-

przeniknioną powagą. Hassim zasiadł na dywanie po jego prawicy. Naradzali się półgłosem, zamieniając krótkie i pozornie niedbałe zdania, przeplatane długimi przestankami milczenia. Immada usadowiła się tuż przy bracie i położywszy rękę na jego ramieniu, słuchała z głęboką uwagą, napozór zupełnie spokojnie, jak przystało księżniczce Wajo, zwykłej obradować z wojownikami i mężami stanu w chwilach niebezpieczeństwa i w godzinach rozważań. Serce jej biło gwałtownie, a naprzeciw niej milczący biali ludzie wpatrywali się w te dwie znane twarze jak z drugiej strony przepaści. Czterech illanuńskich wodzów siedziało rzędem. Obszerne płaszcze spadały z ich ramion na piasek, w którym tkwiły cztery długie lance; każda z nich podtrzymywała małą, podłużną tarczę z drzewa, rzeźbioną na brzegach i pomalowaną na ciemną purpurę. Daman wyciągnął rękę i wskazał więźniów. Twarze białych bardzo były spokojne. Daman patrzył na nich w żarliwym milczeniu, jakby go trawiła niewypowiedziana tęsknota.

Koran w jedwabnej pochewce wisiał u jego szyi na szkarłatnym sznurku. Spoczywał na jego sercu, a tuż pod nim sterczał w pogotowiu zwykły *kriss* o rękojeści z bawolego rogu, zatknięty w skręt saronga. Chmury zgęstniały nad obozem i ciemność kładła się ciężko na żar rozproszonych ognisk.

— Między mną a białymi jest krew — rzekł gwałtownie Daman.

Wodzowie Illanunów ani drgnęli. Między nimi a całą ludzkością była krew. Hassim zauważył beznamiętnie, że jest jeden biały, z którym przezorność nakazuje pozostawać w przyjaźni; a pozatem czyż Daman nie jest już jego przyjacielem? Daman uśmiechnął się

z przymkniętymi oczami. Jest przyjacielem tego białego, ale nie jego niewolnikiem. Illanunowie mruknęli potwierdzająco, bawiąc się rękojeściami mieczów. — Dlaczego — spytał Daman — ci dziwni biali ludzie odjechali tak daleko od swego kraju? Wielki biały człowiek, którego wszyscy znają, wcale sobie ich przybycia nie życzył. Nikt sobie ich przybycia nie życzył. Zło idzie wślad za nimi. Oni są jak ci ludzie, których ślą władcy, aby oglądali dalekie kraje, i mówili o pokoju, i zawierali traktaty. Tak zaczynają się zwykle wielkie zgryzoty. Illanunowie są daleko od swego kraju, gdzie żaden biały nie śmie się pokazać i dlatego wolno im szukać wrogów na otwartem morzu. Znaleźli tych dwóch, którzy przybyli aby patrzeć. Daman zapytuje, na co oni przybyli patrzeć? Czy nie mają nic do oglądania we własnym kraju?

Mówił ironicznym i stłumionym głosem. Rozrzucone kupy węgla żarzyły się głębszą czerwienią; wielki blask ogniska dowódcy opadł i przyćmił się, nim zagasnął. Proste i zręczne postacie wstawaly, opuszczały się na piasek, krążyły po brzegu, szepcząc. Gdzieniegdzie ostrze włóczni zabłysło czerwienią nad czarnym zarysem głowy.

— Illanunowie szukają łupu na morzach — zakrzyknął Daman. — Ich ojcowie i ojcowie ich ojców robili to samo, a byli nieustraszeni, jak ci co patrzają śmierci w oczy.

Ktoś się roześmiał po cichu. „Uderzamy i idziemy dalej“ — rzekł jakiś radosny głos. „Żyjemy i umieramy z bronią w ręku“. Illanunowie skoczyli na nogi. Tupali w piasek, wywijając nagiemi ostrzami mieczów nad głowami dwóch białych. Powstał wielki rwetes.

Gdy się uspokoiili, Daman podniósł się, owinięty

płaszczem aż po stopy i zabrał znowu głos, wygłaszając swe rady. Biali siedzieli na piasku i wodzili oczami od twarzy do twarzy, jakby starali się go zrozumieć. Postanowiono, że więźniowie zostaną odesłani na lagunę, gdzie sprawujący rządy nad krajem rozstrzygnie o ich losie. Illanunowie chcą tylko złupić okręt. Nie obchodzi to ich wcale, co się stanie z białymi. „Ale Damana to obchodzi” — rzekł Hassim do Lingarda, opowiadając o tem co zaszło. „Damana to obchodzi, o tuanie!”

Hassim dowiedział się także, iż w osadzie panuje niepokój jak w przeddzień wojny. Belarab ze swymi zwolennikami rozłożył się obozem u grobu ojca, w kotlinie za uprawnemi polami. Ostrokół jego zamknięty i nikt się nie pokazuje na werandach domów w obrębie ogrodzenia. Można się domyślać, że tam są ludzie, tylko po dymie ognisk kuchennych. Tymczasem popiecznicy Tenggi panoszą się po osadzie, obchodząc się po tyrańsku z ludźmi usposobionymi pokojowo. Wielki szal zstąpił na ludzi, równie silny jak szal miłości — szal walki, żądza przelewu krwi. Dziwna trwoga podnieca jeszcze ich szaleństwo. Wielki dym, który było widać tego ranka nad lasami wybrzeża, był jakimś umówionym sygnałem Tenggi dla Damana, ale Hassim nie umiał odgadnąć co to miało znaczyć. Lęka się o bezpieczeństwo Jörgensona. W chwili gdy przygotowywano łodzie wojenne aby zabrać więźniów na lagunę, Hassim opuścił spokojnie obóz wraz z siostrą i odjechał w swem czółnie. Światła na brygu odbijały się od chmur słabą poświatą i to umożliwiło im skierowanie się przez mielizny wprost do statku. Lecz zanim przebyli pół drogi, światła zagasły i ciemność zdawała się bardziej zwartą niż kiedykolwiek. Ale —



dodał Hassim — nie była czarniejsza od ciemności panującej w jego duszy. Widział białych, którzy siedzieli, milcząc, bez ruchu pod ostrzami mieczów; widział Damana; słyszał jak wymawiano ostre słowa; a teraz patrzy na swego białego przyjaciela — i nie może przewidzieć, jaki będzie wynik wypadków. Można patrzeć na twarze ludzi; ale nie można dojrzeć ich losu, który jest wypisany na czołach. Oto wszystko co miał do powiedzenia, a każde z jego słów jest prawdziwe.

#### IV

Lingard powtórzył to wszystko pani Travers. Jej odwaga, inteligencja, lotność, barwa jej oczu i nieulekły wzrok wzbudziły w nim podziw i zapał. Była jego sprzymierzeńcem! Z każdą chwilą zgubne to złudzenie przywierało silniej do jego duszy — jak jaśniejąca odzież — jak ognista zbroja.

Nie chciało mu się stawić czoła rzeczywistości. Całe jego życie — aż do tej chwili — było walką z wypadkami w świetle dnia, ale tym razem nie umiał się zmusić do rozważenia sytuacji. Dopiero pani Travers narzuciła mu ten trud; poczekawszy chwilę, zapytała jaki wpływ mogą mieć na sytuację nowiny przyniesione przez Hassima.

Lingard nie miał najlżejszej wątpliwości, że Daman życzył sobie aby on, Lingard, wiedział co się stało z więźniami. Dlatego właśnie Daman powitał uprzejmie Hassima, pozwolił mu wysłuchać decyzji i opuścić obozowisko na rewie. Mógł mieć w tem jeden tylko cel: dać Lingardowi do zrozumienia, że więźniowie zostali usunięci z pod jego władzy, póki będzie pozostawał na brygu. A bryg był przecież jego siłą.

Zmusić Lingarda do opuszczenia statku znaczyło to samo, co wytrącić mu oręż z ręki.

— Czy pani rozumie co mówię? — zapytał Lingard. — Boją się mnie, gdyż umiem walczyć na tym okręcie. Lękają się brygu, ponieważ bryg i ja to jedno, gdy się na nim znajduję. Zbrojny człowiek — rozumie pani? Poza brygiem jestem rozbrojony, a beze mnie bryg nie może uderzyć. Tak myśli Daman. Nie wie jeszcze o wszystkim, ale nie jest daleki od prawdy. Mówi sobie, że jeśli uzbroję łodzie aby szukać białych na lagunie, wówczas Illanunowie owładną z pewnością jachtem a może i brygiem. Jeśli zaś zostanę tu, na brygu, Daman zatrzyma obu białych i będzie mógł się stawiać, ile mu się spodoba. Belarab wierzy we mnie bez kwestji; ale Daman nie wierzy żadnemu człowiekowi na świecie. Nie umie poprostu nikomu zaufać, ponieważ sam ciągle coś knuje. Przybył tu aby mi pomóc i z chwilą gdy się przekonał, że mnie niema, zaczął spiskować z Tenggą. Teraz zrobił pewne posunięcie, zręczne posunięcie — znacznie zręczniejsze niż mu się zdaje. A dlaczego? Zaraz pani powiem. Dlatego że ja, Tom Lingard, nie mam na pokładzie tego brygu ani jednego białego, któremubym mógł zaufać. Ani jednego. Przed chwilą odkryłem, że mój pomocnik wbił sobie w głowę, jakobym był czemś w rodzaju korsarza. I wszyscy wasi ludzie z jachtu myślą to samo. Jak gdyby wasz jacht ściągnął na mnie jakieś przekleństwo. Nikt mi nie wierzy. Mój Boże, do czego ja doszedłem! Nawet tych dwoje — niech pani na nich spojrzy! Jakem żyw — oni wątpią o mnie! O mnie!

Wskazał na Hassima i Immadę. Dziewczyna wydawała się zalęknioną; Hassim spoglądał spokojnie i by-

stro, z niewyczerpaną cierpliwością. Głos Lingarda nagle opadł.

— I — na Boga — może oni mają słuszność. Któż to wie? Pani! Czy pani wie? Czekali całe lata. Niech pani spojrzy. Czekają wciąż — i ciężko im na sercu. Myśli pani, że mnie to nie obchodzi? Czy powinienem był zdusić w sobie wszystko — nikomu nic nie powiedzieć — nikomu — nawet pani? Może czekają na to, co teraz nie przyjdzie już nigdy?

Pani Travers wstała i okrążyła szybko stół.

— Czy nie możnaby czegoś obiecać temu — temu Damanowi — albo tym innym ludziom? Moglibyśmy im dać więcej, niżby przyszło im na myśl zażądać. Ja — mój mąż...

— Niech mi pani nie mówi o mężu — rzekł szorstko. — Pani nie wie, co pani robi. — Wytrzymała mroczny gniew jego oczu.

— Przecież muszę o nim mówić — powiedziała żywo.

— Musi pani — rozważał, spostrzegając, że pani Travers jest niższa od niego tylko o pół głowy. — Musi pani! O tak. Naturalnie że pani musi. Musi pani! Tak, ale nie życzę sobie tego słuchać. Pani mówi żeby im coś dać. Co wy możecie dać? Choćbyście nawet posiadali wszystkie skarby na ziemi. Nie! Wy nic dać nie możecie...

— Powiedziałam to z myślą o pańskim trudnym położeniu — przerwała.

Oczy jego przesunęły się wdół po linii jej ramienia. — O mojem — mojem położeniu! — powtórzył.

Mówili to wszystko prawie szeptem. Odgłos powolnych kroków rozległ się na pokładzie nad ich głowami. Lingard zwrócił twarz ku otwartej luce świetlnej.



— Hej, wy tam na pokładzie! Jest wiatr?

Wszystko ucichło na chwilę. Wreszcie ktoś odrzekł niedbale:

— Spokojny, mały powiew z północy.

I dodał po chwili:

— Ciemno jak w grobie.

— Aha, dosyć jest ciemno — mruknął Lingard. Czuję, że musi na coś się zdobyć. Teraz. Natychmiast. Świat czeka. Świat pełen nadziei i trwogi. Co on ma zrobić? Zamiast odpowiedzieć sobie na to pytanie, wodził oczami po matowych skrętach zwiniętych włosów pani Travers i pograżył się w zachwycie nad zbłąkanym loczkiem na jej karku. Co zrobić? Niema komu zostawić brygu. Głos, który odpowiedział poprzednio na pytania Lingarda, był głosem Cartera. — On tu się włóczy i pilnuje mnie — rzekł do pani Travers. Zaprzeczyła głową i usiłowała się uśmiechnąć. Człowiek na pokładzie zakaszlał dyskretnie. — Nie — rzekł Lingard — pani musi zrozumieć, że wy nie macie nic do dania. — Człowiek na pokładzie nie odszedł widać od luki świetlnej, bo usłyszeli iż rzekł spokojnie:

— Jestem na pani usługi, jeśli pani mnie potrzebuje.

Hassim i Immada spojrzeli w górę.

— Widzi pani — wykrzyknął Lingard. — Co ja pani mówiłem? On mnie pilnuje! Na pokładzie mego własnego statku. Czy mi się śni? Czy ja bredzę? Niech mu pan powie, żeby tu zeszedł — rzekł po chwili.

Gdy pani Travers to uczyniła, Lingard pomyślał że jej głos jest rozkazujący i bardzo słodki. — Niczego na świecie nie kocham tak jak ten bryg — ciągnął dalej. — Niczego na świecie. Gdybym go stracił, nie

byłoby na ziemi miejsca dla moich stóp. Pani tego nie rozumie. Pani nie może tego zrozumieć.

Carter wszedł i zamknął starannie drzwi kajuty. Spoglądał pogodnie na wszystkich po kolei.

— Spokojnie tam? — spytał Lingard.

— Dosyć spokojnie, jeśli pan chce tak to określić — odpowiedział Carter. — Ale gdy pan tylko wytknie głowę za drzwi, usłyszysz pan, że wszyscy chrapią na wyścigi tam na szancku — jakby nie mieli żon w domu i jakby piraci wcale nie istnieli.

— Posłuchaj pan — rzekł Lingard. — Przekonałem się, że nie mogę ufać memu pomocnikowi.

— Doprawdy? — wycedził Carter. — Nie powiem aby mię to zaskoczyło. Muszę stwierdzić że *on* nie chrapie, ale chyba tylko dlatego że jest niespełna rozumu. Czyhał na mnie przed chwilą na rufie i powiedział coś w ten deseń, że z kim kto przestaje, takim się staje. Wydaje mi się, że to już kiedyś słyszałem. Dziwne zwierzenie. Usiłował mi dać do zrozumienia, że jeśli *on* nie jest zepsuty, nie pańska w tem zasługa. Jak gdyby mnie to mogło obchodzić. Jego bzik dorównywa jego otyłości — a może *on* tylko udaje, że ma bzika? — Carter roześmiał się zlekka i oparł się plecami o grodz.

Lingard patrzył w tę kobietę, co spodziewała się po nim tak wiele; w świetle, które zdawała się rozsiewać, ujrzał siebie prowadzącego kolumnę zbrojnych łodzi do ataku na osadę Belaraba. Mógł spalić wieś całą ze szczętem i wyżenać ich wszystkich w gąszcz. Mógł to zrobić! Wstrząsnęło nim zdumienie i nieokreślona zgroza, gdy uświadomił sobie niszczącą potęgę swej woli. Mógł dać pani Travers życie aż tylu ludzi. Ujrzał ją dopiero wczoraj, a zdawało mu się że przez

całe życie czekał na jej skinienie. Stała bez ruchu. Lingard obmyślał plan ataku. Widział dym i ogień — a w następnej chwili ujrzał siebie stojącego samotnie wśród bezkształtnych ruin, z uszami pełnemi westchnień i jęków płytkiego morza. Zadrżał i krzyknął, potrząsając ręką:

— Nie! Nie mogę pani dać życia tych wszystkich ludzi!

I zanim pani Travers mogła odgadnąć znaczenie tego wybuchu, Lingard oświadczył, że ponieważ trzeba obu jeńców ratować, uda się sam na lagunę. Niepodobna mu nawet pomyśleć o użyciu siły. „Pani rozumie dlaczego“ — rzekł do pani Travers. „Tak“, odszepnęła cichutko. Więc Lingard zaryzykuje to sam. Ma wszelką nadzieję, że Belarab potrafi zrozumieć, na czym polega jego prawdziwy interes. „Jeśli tylko zdolam do niego dotrzeć, dam sobie prędko z nim radę“, rozmyślał głośno. „Czyż nie podtrzymywałem jego władzy przez te dwa lata? A on to wie dobrze. On to czuje“. Ale czy dadzą mu dotrzeć do Belaraba — to rzecz inna. Lingard popadł w głęboką zadumę. „On się nie ośmieli!“ wybuchnął. Pani Travers słuchała z rozchyłnemi ustami. Na młodzieńczej i opanowanej twarzy Cartera nie drgnął ani jeden mięsień, lecz gdy Lingard odwrócił się nagle i podchodząc do niego blisko, zapytał po cichu z czerwonym błyskiem w oczach: „Czyby pan potrafił poprowadzić ten bryg do walki?“ — coś nakształt uśmiechu drgnęło pod jego drobnym, jasnym wąsikiem.

— Czybym potrafił — odrzekł. — W każdym razie mógłbym spróbować. — Urwał i dodał cichym szepem: — Oczywiście — dla tej pani.

Lingard zachwiał się, jakby go ugodzono w pierś.

— Myślałem o brygu — rzekł łagodnie.

— Pani Travers byłaby na jego pokładzie — odparł Carter.

— Jakto! na pokładzie? Ach tak; na pokładzie brygu. A gdzieżby mogła być? — wyjąkał Lingard.

Carter patrzył na niego w zdumieniu.

— Czy potrafię walczyć! Pan się pyta! — rzekł zwolna. — Niech pan mnie tylko wypróbuj.

— Dobrze! — wykrzyknął Lingard. Opuścił kajutę, wołając na seranga. Cienki, bezdźwięczny głos ozwał się natychmiast: „Jestem, tuanie!“ — i drzwi zatrzasnęły się za Lingardem.

— Czy pani mu wierzy? — spytał szybko Carter.

— A pan mu nie wierzy — dlaczego? — odpowiedziała.

— Nie mogę się w nim połapać. Gdyby to był człowiek innego rodzaju, powiedziałbym że się upił — rzekł Carter. — POCO ON SIĘ TU WOGÓLE ZNALAZŁ — RAZEM ZE SWOIM BRYGIEM? Niech mi pani wybaczy moją śmiałość — ale czy pani mu coś obiecała?

— Ja? czy ja mu obiecałam! — wykrzyknęła pani Travers tak gorzko, że Carter zamilkł na chwilę.

— Tem lepiej — rzekł wreszcie. — Niech pierwszej pokaże co potrafi, a potem —

— Ma pan! Niech pan to weźmie — rzekł Lingard, który wszedł z powrotem do kajuty, szukając czegoś koło szyi. Carter wyciągnął machinalnie rękę.

— Od czego to? — spytał, patrząc na mały miedziany kluczyk na cienkim łańcuszku.

— Od składu z prochem. Drzwi są w podłodze pod stołem. Człowiek, który ma ten klucz, dowodzi brygiem podczas mojej nieobecności. Serang wie o tem. Trzyma pan życie statku w swoich rękach.

Carter spojrział na drobny kluczyk leżący w jego półotwartej dłoni.

— Mówiłem właśnie pani Travers, że nie ufam panu — że niezupełnie...

— Wiem o tem wszystkim — przerwał pogardliwie Lingard. — Nosi pan cholerny pistolet w kieszeni, żeby mi w łeb palnąć — może nie? Cóż mnie to może obchodzić! Myślę o brygu. Zdaje mi się że znam ten rodzaj ludzi, do którego pan należy. Pan sobie da radę.

— Może i dam sobie radę — mruknął skromnie Carter.

— Tylko działaj pan rozważnie — rzekł Lingard z niepokojem. Jeśli przyjdzie do walki, zażywaj pan nietylko rąk ale i głowy. Jeśli trafi się bryza, walcz pan choć statek będzie w ruchu. Gdyby usiłowali wdrzeć się na pokład w czasie ciszy, bądź pan pewien, że broń małego kalibru wystarczy aby ich odeprzeć. Nie trać pan głowy i — — Wpatrzył się z napięciem w oczy Cartera; wargi jego poruszały się bezdźwięcznie, jakby nagle oniemiał. — Nie myśl pan o mnie. Co to pana obchodzi, kim jestem. Myśl pan o statku — wybuchnął. — Nie zgub go pan! Nie zgub go! — Namiętność w jego głosie zrobiła wrażenie na słuchaczach, którzy zamilkli na dłuższą chwilę.

— Dobrze — rzekł wreszcie Carter. — Będę bronił statku, jakby był moim własnym; ale chciałbym zdać sobie sprawę z tego wszystkiego. Proszę pana, więc pan gdzieś odjeżdża? I mówi pan, że jedzie pan sam?

— Tak. Sam.

— Bardzo pięknie. Więc niech pan pamięta, żeby pan nie wrócił z kupą tych swoich brunatnych przyjaciół — bo świadczą się tem niebem nad nami, że nie

dopuszczę pana na odległość głosu do pańskiego statku. Czy mam ten klucz zatrzymać?

— Kapitanie Lingard — odezwała się nagle pani Travers. — Może byłoby lepiej wszystko panu Carterowi powiedzieć?

— Powiedzieć mu wszystko? — powtórzył Lingard. — Wszystko! Można to było zrobić wczoraj. Jeszcze wczoraj! Co ja mówię — wczoraj? Jeszcze sześć godzin temu — zaledwie sześć godzin temu miałem coś do powiedzenia. Pani tego wysłuchała. A teraz to już przepadło. Powiedzieć mu! Nie mam już nic do powiedzenia. — Spuścił głowę i stał tak czas jakiś przed panią Travers; chciała mu zaprzeczyć żywym gestem, lecz ręce jej nagle opadły. Po chwili podniósł znów oczy.

— Zatrzymaj pan klucz — rzekł spokojnie — a gdy przyjdzie czas, wystąp pan i obejmij dowództwo. Tak będzie dobrze.

— Chciałbym się jednak w tem wszystkiem połapać — mruknął ponownie Carter. — A na jak długo pan nas opuszcza, panie kapitanie? — Lingard nic nie odpowiedział. Carter czekał przez chwilę. — Więc jakże, panie kapitanie — nalegał. — Muszę przecież mieć o tem pojęcie. Jak długo to będzie trwało? Dwa, trzy dni? — Lingard drgnął.

— Dni — powtórzył. — Aha, dni. Czego pan chce się dowiedzieć? Dwa... trzy — co to ten stary mówił — — może całe życie. — Powiedział to tak cicho, że nikt prócz Cartera nie mógł ostatnich słów usłyszeć.

— Tak pan myśli? — szepnął Carter.

Lingard skłonił głowę.

— Czekaj pan tak długo jak tylko się da — a po-

tem jedź pan — rzekł równie cichym, ledwie dosłyszalnym głosem.

— Dokąd?

— Dokąd pan będzie chciał — do najbliższego portu, do pierwszego lepszego portu.

— Bardzo dobrze. To jest przynajmniej coś wyraźnego — oświadczył młody człowiek z niewzruszoną pogodą.

— Wyruszą, o Hassimie! — zaczął Lingard, a Malaj skłonił powoli głowę i nie podniósł jej, póki Lingard nie przestał mówić. Hassim nie wyglądał przytem na zaskoczonego i nie zdradził się z żadnem uczuciem, gdy Lingard w paru zwartych i dosadnych zdaniach zawiadomił go, iż wyrusza samopas żeby więźniów uwolnić. Lingard zakończył słowami: „A ty, radźo Hassimie, musisz znaleźć sposób, aby pomóc mi w tych niepewnych czasach“. Wówczas Hassim podniósł oczy i rzekł:

— Dobrze. Jeszcze mnie nigdy o nic nie prosiłeś.

Uśmiechnął się do białego przyjaciela. Było coś subtelnego w tym uśmiechu, a gdy usta jego znieruchomiały, wyraz ich stał się jeszcze bardziej stanowczym. Immada wysunęła się naprzód. Patrzyła na Lingarda ze zgrozą w czarnych, rozszerzonych źrenicach.

— On zginie, Hassimie! On zginie samotnie! — wykrzyknęła głosem, którego drganie przejęło nieokreśloną trwogą serca wszystkich obecnych.

— Nie — rzekł Hassim. — Twój strach jest równie nieuzasadniony dziś wieczór jak dzisiejszego ranka. On napewno nie zginie samotnie.

Powieki Immady opuściły się zwolna. Milczała; z zasłoniętych jej oczu kapały łzy. Czoło Lingarda porośla się zmarszczkami, które zdawały się kryć nieukończoność ponurych myśli.

— Pamiętasz, Hassimie? Gdy obiecałem sprowadzić cię z powrotem do ojczyzny, przyrzekłeś mi że będziesz przyjacielem wszystkich białych ludzi. Przyjacielem wszystkich białych, którzy należą do mego narodu — nazawsze.

— Mam dobrą pamięć, o tuanie — rzekł Hassim; — jeszcze do mego kraju nie wróciłem, ale czyż każdy z nas nie jest władcą swego serca? Obietnica, dana przez szlachetnie urodzonego człowieka, żyje równie długo, jak ten co ją wypowiedział.

— Żegnam panią — rzekł Lingard do pani Travers. — Tu pani będzie bezpieczną. — Rozejrzał się po kajucie. — Opuszczam panią — zaczął znowu i urwał. Ręka pani Travers, spoczywająca lekko na krawędzi stołu, zaczęła drżeć. — To dla pani... Tak. Tylko dla pani... i wydaje mi się, że to jest niemożliwe...

Miał wrażenie, że się żegna z całym światem, że się żegna nazawsze z samym sobą. Pani Travers nie wyrzekła ani słowa, ale Immada rzuciła się między nich i krzyknęła:

— Jesteś okrutną kobietą! Wypędzasz go z miejsca, gdzie jest jego siła. Zaszczepiłaś w jego sercu szaleństwo! O ślepa kobieto — bez litości — bez wstydu!

— Immado — rzekł spokojny głos Hassima. Nikt się nie poruszył.

— Co ona mówi? — wyjąkała pani Travers i powtórzyła głosem, który zabrzmiał twardo: — Co ona powiedziała?

— Niech pani jej wybaczy — rzekł Lingard. — Boi się o mnie...

— Dlatego że pan odjeżdża? — przerwała szybko pani Travers.

— Tak — i pani musi jej wybaczyć. — Odwrócił



oczy jakby z zakłopotaniem, lecz nagle o władnęło nim nieodparte pragnienie, by spojrzeć raz jeszcze na tę kobietę. Przywarł do niej oczami w owej chwili rozstania, jak człowiek trzymający w dłoniach bezcenną własność, którąby chciano mu wydrzeć. Nikły rumieniec, ogarniający stopniowo twarz pani Travers, nadał jej wyraz niezwykłego i dziwnego ożywienia.

— Panu grozi niebezpieczeństwo? — zapytała porywczco.

Odsunął to pytanie lekceważącym gestem.

— Nie warto o tem wspominać. Niech to pani nawet przez myśl nie przechodzi — powiedział. — Bywałem w gorszych opałach. — Klasnął w dłonie i czekał, póki nie usłyszał, że drzwi kajuty otwierają się za jego plecami. — Moje pistolety, stewardzie. — Mulat w pantoflach, opasany fartuchem aż po szyję, przesunął się przez kajutę nie patrząc na nikogo, jakby wszyscy obecni dla niego nie istnieli.

— ...Czy to mnie serce tak boli? — zapytała siebie pani Travers, wpatrując się w nieruchomą postać Lingarda. — Jak długo potrwa to uczucie tępego bólu? Czy będzie trwało wiecznie?

— Ile zmian bielizny mam zapakować, panie kapitanie? — zapytał steward, gdy Lingard wziął od niego pistolety i próbował kurków, zakładając świeże kapiszony.

— Tym razem nic nie wezmę, stewardzie. — Brał kolejno z rąk mulata czerwoną jedwabną chustkę, notes, papierośnicę. Zawiązał luźno chustkę naokoło szyi; widać było, że przygotowania do wyprawy na ląd odbywają się zawsze według tego schematu; otworzył nawet papierośnicę, aby się przekonać czy jest napełniona. — Kapelusz, panie kapitanie — mruknął metys.

Lingard wcisnął go na głowę. — Masz słuchać rozkazów tej pani, stewardzie, póki nie wrócę. Kajuta należy do niej — rozumiesz? Westchnął, gotów do odejścia i zdawało się, że nie jest zdolny poruszyć się z miejsca.

— Jadę z panem — oświadczyła nagle pani Travers tonem nieugiętego postanowienia.

Nie spojrzął na nią; nie podniósł nawet oczu; nie rzekł nic, aż wreszcie na okrzyk Cartera: „To niemożliwe!“ — szepnął do siebie, nie poruszywszy się wcale: „Oczywiście“.

Pani Travers wciągnęła już kaptur płaszcza na głowę, a twarz jej w głębi czarnego sukna powlekła się głęboką, nieziemską bladością, na której tle fiolet jej oczu wydawał się niezgłębionym i tajemniczym. Carter rzucił się naprzód.

— Pani nie zna tego człowieka! — krzyknął niemal.

— Znam go — odrzekła i wobec niedowierzającej postawy Cartera, pełnej wyrzutu, dodała wolno i z naciskiem: „Wierzę głęboko, że niema ani jednej jego myśli i ani jednego czynu, o którychbym nie wiedziała“.

— To prawda — to jest prawda — mruknął do siebie Lingard.

Carter podniósł z jękiem ramiona.

— Usuń się pan — odezwał się głos, który rozległ się w uszach Cartera jak łoskot gromu. Młody oficer poczuł na ręce chwyt dłoni, prawie miażdżący mu kości. Wyrwał się.

— Proszę pani! niech pani zostanie! — krzyknął.

Znikli w otwartych drzwiach i odgłos ich kroków już ucichł. Carter obracał się w kółko oszołomiony, jakby szukał pomocy.

— Kto on jest, stewardzie? Kto on jest u wszystkich djabłów? — pytał gwałtownie.

Stropił go zimny i filozoficzny ton odpowiedzi:

— Co mam sobie tem głowę zawracać — nie moja to rzecz i chyba nie pańska, panie poruczniku.

— Jakto! — krzyknął Carter. — Przecież on wprowadził panią Travers!

Steward spojrział bacznie na lampę i po chwili przykręcił nieco światło.

— Tak lepiej — wymruczał.

— Boże mój, co ja mam począć? — ciągnął Carter, patrząc na Hassima i Immadę, którzy szeptali między sobą i musnęli go roztargnionym wzrokiem. Wypadł na pokład i został natychmiast oślepiiony przez noc, zdającą się na niego czatować; potknął się o coś miękkiego, kopnął jakiś twardy przedmiot i dopadł poręczy.

— Wracajcie! — krzyknął. — Kapitanie! Pani Travers! Albo pozwólcie mi z sobą jechać!

Nadśluchował. Bryza wionęła chłodem na jego policzki. Miał wrażenie, że czarny bandaż opasuje mu oczy.

— Niema ich! — jęknął, do cna zgnębiony — i nagle usłyszał głos pani Travers daleko w głębiach nocy.

— Broń pan brygu — wypowiedział ów głos, a słowa te, rozlegające się wśród ogromu mrocznego wszechświata, przeniknęły każde włókno Cartera swym władczym, smutnym dźwiękiem.

— Broń pan, broń pan brygu...

— Ani myślę — wrzasnął Carter w rozpacz — chyba że pani wróci... Proszę pani!

— ...jak — gdybym — była — sama — na — pokładzie — — wznosił się miarowo jej głos, już bardziej odległy — cud wyrazistości — nikły i rozkazujący.

Carter nie krzyczał już więcej; przez jakiś czas usiłował dojrzeć łódkę, a gdy — zaniechawszy tego — zeskoczył z poręczy, gęsty mrok głównego pokładu wzburzył się od jego skoku jak ciemny staw, zakolysał się, zawirował i jakby się rozstał. Plamy ciemności cofnęły się, odpłynęły wstecz, bose nogi zaszurały pośpiesznie, niewidzialne szeptu zamilkły. „To laskarowie“<sup>1</sup> — mruknął. „Aż wre wśród załogi“. Potem wsłuchiwał się przez chwilę w zgiełkliwe chrapanie białych śpiących pokotem z głowami pod trapem juty. U jego nóg plątał się — niewidzialny — czarny pies z jachtu, przywiązany łańcuchem do „ucha“ na pokładzie; skomlał, targał cienkie ogniwa, stukał pazurami w pokład, zgnębiony nieznanym otoczeniem, żebrząc o jałmużnę ludzkiej uwagi. Carter pochylił się odruchowo; zaskoczyło go nagle liźnięcie w twarz. „Jak się masz, stary!“ Poklepał gęste, kręcone kudły, pogłaskał gładki łeb. „Dobry, dobry pies, dobry Korsarz. Leżeć. Leżeć, psie! Nie możesz zrozumieć co się dzieje, prawda, Korsarzu?“ Pies przywarował nieruchomo. „No więc ja też nic nie mogę zrozumieć“, mruknął Carter. Lecz natury tego pokroju znajdują pokrzepienie w wesołej pogardzie dla zawiłanych i nieskończonych podszeptów myśli. Carter powiedział sobie, że wkrótce się przekona co z tego wszystkiego wyniknie, i tem położył kres wszelkim rozmyślaniom. Gdyby był trochę starszy, czułby że nie jest w stanie zapanować nad położeniem; ale był jeszcze za młody, aby je ogarnąć w całości i niejako w oderwaniu od swojej osoby. Wszystkie te zagadkowe wypadki napełniały go głębokim niepokojem,

---

<sup>1</sup> Majtkowie — krajowcy w Indiach Wschodnich.

lecz skądinąd miał przecież klucz od magazynu — i nie mógł zdobyć się na to, aby nie czuć sympatji do Lingarda. Tego przynajmniej był pewien, a pewność ta — po przebyciu przykrew wewnętrznej walki — prowadziła do rozwiązania zagadnień. Gdy wchodził za Shawem do kajuty, nie mógł opanować radości i ukryć złośliwego uśmiechu.

— Więc pan mówi, że odjechał? I uprowadził z sobą waszą panią? — rozprawiał Shaw bardzo głośno na progu. — Doprawdy? No, wcale nie jestem zdziwiony. Czego pan się może spodziewać po człowieku, który opuszcza swój statek na pełnem morzu bez — nie powiem już rozkazów — ale wprost bez odezwania się słowem do swego zastępcy. I to jeszcze w nocy! To już panu charakteryzuje człowieka. Jak się panu podoba taki sposób obchodzenia się ze swym pierwszym oficerem? Domyślałam się, że musiała go zirytować pewna mała sprzeczka, która zaszła między nami akurat przed pańskim przybyciem na bryg. Powiedziałem mu parę słów prawdy — ale mniejsza o to. Prawo jest prawem, i to mi wystarcza. Jestem tu teraz kapitanem, póki go niema na okręcie — a jeśli jego adres nie będzie wkrótce prowadził do któregośkolwiek z więzień Jej Królewskiej Mości — upoważniam pana do nazywania mnie Holendrem. Niech pan zapamięta moje słowa.

Wszedł władczyim krokiem, zasiadł i rozejrzał się po kajucie swobodnie i majestatycznie; lecz nagle oczy jego stanęły w słup ze zdumienia i zgrozy. Wyciągnął tłusty, wskazujący palec, który drżał zlekka:

— Murzyni — wyrzekł chrypliwie. — W kajucie! W kajucie! — Przez jakiś czas zdawało się, że onie-miał. Od chwili jego wejścia do kabiny Hassim śle-

dził go w skupionem i wyczekującym milczeniu. — Nie mogę tego ścierpieć — ciągnął ze szczerem przejęciem w głosie. — Do djaska — za dużo mam dla siebie szacunku! — Dźwignął się powoli; oczy wylażyły mu na wierzch w surowem spojrzeniu pełnem godności. — Precz! — wrzasnął nagle, posuwając się krok naprzód.

— Cóż u Pana Boga pan robi, panie poruczniku? — zapytał tonem beznamiętnego zdziwienia steward, którego głowa ukazała się we drzwiach. — To przyjaciele kapitana.

— Z jakim kto przestaje... — zaczął dogmatycznie Shaw, lecz urwał i przeszedł do karcącego tonu. — Nie włącz mi w drogę, ty garnkotłuku. Moimi przyjaciółmi nie są, bo nie jestem włóczęgą. Wiem co mi się należy. Wynosić mi się! — syknął z wściekłością.

Hassim chwycił szybkim ruchem za rękojeść krissa. Shaw wydał policzki i namarszczył się.

— Pilnuj się pan! Zadzga pana jak tuczego wieprza — mruknął Carter, nie poruszając się wcale.

Shaw rozejrzył się bezradnie.

— A panby to uznał za pyszny kawał — może nie? — rzekł powoli z goryczą. Obojętny, nieokreślony uśmiech Cartera przytłoczył go doszczętnie swą obmierzłą lodowatością. Niezmierny upadek ducha zastąpił uczucie należytej rasowej dumy w pierwotnej duszy oficera. — Boże mój, cóż za przekłety pech! Czemu sobie na to zasłużyłem, żeby się dostać do tej bandy? — jęknął i usiadł, obejmując rękami siwą głowę. Carter usunął się aby przepuścić Immadę, która skierowała się ku drzwiom, posłuszna szeptowi brata. Po chwili wahania wyszła, spojrzawszy na Cartera. Brat jej stał nieruchomo w pozie obronnej i osłaniał jej odwrót. Znikła za drzwiami. Rozluźnił się chwyt dłoni

Hassima, obejmującej rękojeść krissa; powiódł kolejno wzrokiem po wszystkich przedmiotach w kajucie, jakby chciał wyryć sobie na zawsze w pamięci ich miejsce, i wyszedł za siostrą bezszelestnymi krokami.

Wkroczyli w tę samą ciemność, która przyjęła, ogarnęła i ukryła zmacone dusze Lingarda i Edyty; ale dla tych dwojga Malajów światło, z którego ich wygnano, stało się teraz światłem zakazanych nadziei; gorzało straszną i spokojną jasnością, jak latarnia paląca się na brzegu przed oczami wyczerpanego pływaka, który za chwilę ma ulec nieubłaganemu morzu. Obejrzeni się — światło znikło; Carter zamknął za nimi drzwi kajuty, aby rozmówić się z Shawem. Chciał wejść z nominalnym dowódcą w pewnego rodzaju kompromis, któryby umożliwił im współpracę, lecz Shaw był tak wytrącony z równowagi przez świeży zamach na jego godność, że młody obrońca brygu nie mógł nic z niego wyciągnąć, prócz narzekañ pomieszanych z łagodnymi bluźnierstwami. Bryg spał, a na spokojnym pokładzie słychać było podniesione głosy z kabiny; prośby i wyrzuty Shawa skierowane wrzaskliwie ku niebu, oraz cedzone niezmiennie słowa Cartera zlewały się w głuchy i nieustanny pomruk, który się wznosił i opadał. Warty na śródokręciu, patrzące bez ruchu w ciemność z uchem zwróconem ku morzu, słyszały ten dziwaczny odgłos, który zdawał się unosić za ich plecami jak duch kłótni. Wasub, odprowadziwszy do łódki Hassima i Immadę, wałęsał się czujnie tam i sam wzdłuż całego okrętu. Nie było ani jednej gwiazdy na niebie, a na morzu ani jednego błysku; nie dostrzegało się ani horyzontu, ani żadnego konturu czy kształtu, na którym wzrok mógłby spocząć, który możnaby objąć ręką. Ciemność, wydająca się nieskoń-

czoną w przestrzeni i czasie, zatopiła wszechświat jak niszcząca powódź.

Chwilowe opadnięcie bryzy zatrzymało na pewien czas czółenko w sąsiedztwie brygu. Rozwinięty żagiel — niewidzialny — trzepotał lekko i tajemniczo, a łódka wznosząca się i opadająca przy każdym niewidzialnym ruchu fal, spoczywała jak gdyby na żywej piersi. Lingard siedział wyprostowany z ręką na sterze, wyczekujący i niemy. Pani Travers otuliła się szczelnie płaszczem. Wzrok ich sięgał niezmiernie głęboko w bezświatłą pustkę, a jednak byli wciąż jeszcze tak blisko brygu, że żałośliwe skomlenie psa, zmieszane z gniewnym szczękiem łańcucha, dochodziło słabo ich uszu, wywołując niejasne obrazy rozpacz i wściekłości. Ostre szczeknięcie zakończone żalosnem wyciem — wywołanem jakby przez pojawienie się widm niewidocznych dla ludzi — rozdarło czarną ciszę; zdawało się, że instykt zwierzęcia, natchnionego przez duszę nocy, wypowiada w rozpaczliwej skardze trwogę przed przyszłością, lęk wobec czającej się śmierci, strach przed widmami. Niedaleko od czółenka brygu Hassim i Immada w swej łódce, puściwszy wolno wiosła, siedzieli — milcząc, w nieprzepartem odrętwieniu, jakby dorywcze podmuchy wiatru wwiały im do serc tchnienie subtelnej trucizny, która niebawem miała o śmierć ich przyprawić.

— Czyś widział oczy białej kobiety? — zawołała dziewczyna. Klasnęła głośno w dłonie, wyciągnęła ramiona ze splecionymi dłońmi i tak trwała. — O Hassimie! Czy widziałeś jej oczy, które jaśnieją pod brwiami jak promienie światła wpadające pod sklezione konary lasu? Jej oczy przebiły mię nawskroś. Zadrzałam na dźwięk jej głosu! Patrzyłam jak szła za nim — i wy-



daje mi się że ona nie żyje na ziemi — że to są wszystko czary.

Zawodziła wśród nocy. Hassim milczał. Nie miał złudzeń, i gdyby chodziło nie o Lingarda lecz o innego człowieka, byłby uznał jego postępek za samobójcze szaleństwo. Travers i d'Alcacer byli według Hassima dwoma potężnymi radzami — prawdopodobnie krewniakami władczyni kraju Anglików, o której wiedział, że jest kobietą; ale dlaczego tu przybyli i sprzeciwiali się aby Hassim odzyskał swoje królestwo, to było niezrozumiałe i zagadkowe. Hassimowi chodziło także i o bezpieczeństwo Lingarda. Ze Lingard narażał się głównie z jego powodu, aby spór o życie dwóch białych nie zniweczył wielkiego przedsięwzięcia — nie uderzało to Hassima tak bardzo jakby sobie można wyobrazić. Pewne cechy jego charakteru sprawiały, że uważał ten postępek Lingarda za konieczny. Czyż nie był radzą Hassimem, a ten drugi człowiek — mąż silnego serca, krzepkiego ramienia, nieustraszonej odwagi, mąż dość wielki na to by się opiekować szlachetnie urodzonymi księżętami — czyż nie był jego przyjacielem? Słowa Immady wywołały na usta Hassima uśmiech, który — jak jego słowa — zagubił się w ciemności. „Zapomnij o swem znużeniu, o siostrze — rzekł łagodnie — abyśmy nie przybyli zapóźno“. Hassim spodziewał się, że nadchodzący dzień rzuci światło na jakieś decydujące wypadki. Pomyślał o swych ludziach strzegących *Emmy* i zapragnął znaleźć się w miejscu, gdzieby mogli usłyszeć jego głos. Żałował, że niema przy nim Dżaffira. Czuł dotkliwie nieobecność tego sługi, któremu ongi powierzył zlecenie do przyjaciela; zlecenie owo miało być ostatniem. A jednak nie było ostatniem. Hassim ocalał, i żywił nowe nadzieje, i stawiał czoło nowym troskom;

może pośle kiedyś Lingardowi jeszcze inne zlecenie, jeśli śmierć będzie się dobijała do wrót rękami zbrojnych wrogów.

Wiatr się ustalił; rozkołysane morze wznosiło gładko czółenko na grzbiety fal wędrujących śpiesznie wzdłuż łądu. Posuwali się zwolna; lecz serce Immady było bardziej znużone niż jej ramiona, a Hassim zagłębiał pióro wiosła bez plusku i spoglądał w prawo i w lewo, usiłując dojrzeć niewyraźne kształty wysepek. Daleko przed czółnem, trzymając się tego samego kursu, biegła jola — z napiętym szerokim żaglem lugrowym — ku wąskiej i krętej cieśninie między wybrzeżem a południowymi rewami, ku cieśninie, która wiodła do ujścia strumienia łączącego lagunę z morzem.

Tak się to stało, że w ową bezgwiezdną noc płytkie morze było zaludnione przez niespokojne dusze. Gęsta zasłona z chmur rozpościerała się nad niemi, odcinając je od reszty świata. Chwilami pani Travers miała wśród ciemności wrażenie zawrotnego pędu, to znów zdawało jej się że łódka stoi w miejscu, że wszystko na świecie stoi w miejscu i tylko jej wyobraźnia błąka się swobodnie, pozbywszy się pęt. Lingard, nieruchomy u jej boku, sterował, kierując czółnem stosownie do wiatru. Nagle ujrzał przed sobą wyraźne migotanie słabej, sianej jasności, którą ziemia zdawała się rzucać na tło jednostajnej czerni nieba. Jola zbliżała się do przestrzeni płytkiego morza. Niewyraźny szum wzburzonej wody pogłębił się w tonie.

— Jak długo będziemy tak płynąć? — spytała łagodnie pani Travers. Nie poznała głosu, który wypowiedział słowo: „Zawsze“ — w odpowiedzi na jej zapytanie. Był to głos o dźwięku bezosobowym, jakby nie pochodzącym od człowieka. Serce jej mocno zabiło.

— Kapitanie Lingard! — krzyknęła.

— Jestem. Co pani mówi? — rzekł nerwowo, jak wyrwany z sennego marzenia.

— Pytałam pana, jak długo będziemy tak płynąć — powtórzyła wyraźnie.

— Jeśli wiatr nie ustanie, dotrzemy do laguny zaraz po świcie. To najwłaściwszy czas. Zostawię panią na pokładzie *Emmy* razem z Jørgensonem.

— A pan? Co pan zrobi? — spytała. Musiała czekać chwilę na odpowiedź.

— Zrobię co będę mógł — usłyszała wreszcie jego głos. Znów nastąpiła przerwa. — Co tylko będę mógł — dodał.

Bryza osłabła; żagiel zatrzepotał.

— Ufam panu bez granic — rzekła. — Ale czy pan jest pewien że panu się uda?

— Nie.

Pani Travers zdała sobie sprawę, jak dalece jej pytanie było daremnem. W przeciągu kilku godzin została pozbawiona wszystkich swych pewników i rzucona w świat pełen niemożliwości. Ta myśl, zamiast powiększyć jej rozterkę, zdawała się przynosić jej spokój. To co czuła nie było zwątpieniem i nie było trwogą. To było coś innego. Może to tylko wielkie wyczerpanie?

Usłyszała tępy huk jakby w głębi ziemi. Był to właściwie tylko wstrząs i wibracja. Wielki bałwan rozbił się o skały; sina jasność, którą Lingard widział był przed sobą, błyszczała teraz i migotała w rozległych białych płatach już znacznie bliżej czółna. A wszystko to — ponury wytrysk jasności i lekki wstrząs, sprawiający wrażenie, że coś odległego i olbrzymiego rozpadło się w gruzy — działo się poza obrębem życia

pani Travers, które było wciąż otoczone nieprzeniknionym mrokiem i nieprzeniknioną ciszą. Wiatr zrywał się naokoło jej głowy i zamierał; żagiel zwisał, trzepotał wyraźnie, wydymał się i cichł kolejno; i znów wrażenia — to zawrotnego pędu, to zupełnego bezruchu następowały po sobie ze wzrastającą szybkością, aż stopiły się wreszcie w dziwaczny poczucie ślepego pędu i głębokiego spokoju. Ciemność obejmowała Edytę jak drażniąca pieszczota mrocznego wszechświata. Łagodna była i zgubna. Omdlałość jej znęciła duszę Edyty do poddania. Nic nie istniało i nawet cała przeszłość rozplynęła się w przestrzeni. Edyta była rada, że już nic nie istnieje.

Lingard czuł przy sobie cały czas panią Travers, siedzącą obok niego na ciasnej ławeczce; w pewnej chwili zaskoczyło go nagle dotknięcie głowy opadającej mu na ramię. Zesztywniał jeszcze bardziej, jakby wobec bliskiego niebezpieczeństwa usiłował skryć swoje życie w głuchej nieugiętości ciała. Łódka wznosiła się i opuszczała powoli; strefa piany i skał ciągnęła się wpoprzek drogi, sycząc jak olbrzymi kocioł; silny podryw wiatru pędził ich przez chwilę wprost na tę strefę, potem przewiał i pozostawił jolę miarowo rozkołysanej fali. Walka skał — wiecznie pokonywanych i wiecznie się wynurzających — z morzem — wiecznie zwyciężkiem i wiecznie odtrącanem — przykuwała Lingarda. Śledził ją jak coś dziejącego się w nim samym, a tymczasem pani Travers spała, objęta jego ramieniem, przytulona do jego boku, zdana na jego opiekę. Te rafy strzegące Wybrzeża Zbiegów ukazały Lingardowi przed laty pierwsze błyski powodzenia — trwały podstawę niezbędną dla jego dzieła. Płytkie morze było ostoją dla marzeń Lingarda; głos tych wód miał władzę kojenia jego

myśli i rozpalania ich obietnicą, że nadzieje jego się ziszczą. Nie było jeszcze na świecie tak szczodrej przyjaźni... Masa białej piany, kotłującej się wokół ośrodka o głębokiej czerni, przesunęła się cicho obok joli... Przecież i ta kobieta, którą trzyma u boku jak brankeę, jest darem płytkiego morza.

Nagle oczy Lingarda pochwyciły na odległej mieliznie czerwony błysk ognia z obozu Damana; błysk ten zgasł natychmiast, jak sygnał latarni dającej znaki nad poziomem wód. Przypomniało to Lingardowi o istnieniu tamtych dwóch ludzi — tamtych jeńców. Jeśli łódź wojenna, mająca ich przewieźć na lagunę, opuściła mieliznę po odjeździe Hassima, Travers i d'Alcacer powinnyby już o tym czasie dawno jechać w górę strumieniem. Każda myśl o czynie stała się wstrętą dla Lingarda, odkąd wszystko, co mógł zrobić na świecie, musiało przyspieszyć chwilę jego rozstania z tą kobietą, której powierzył wszystkie tajniki swego życia.

A ona spała. Mogła spać! Spojrzał na nią, jakby patrzył na dziecko śpiące niewinnie, lecz tętno życia wzmogło się w nim do najwyższego uniesienia. Naokoło Lingarda wiry wzdychały wzdłuż raf, woda syczała między kamieniami, czepiając się skał wśród tragicznych szeptów, które były podobne do obietnic, pożegnań, lub modłów. Z niezgłęzionych nocnych dali nadleciał ryk przypływu, atakującego mielizny od strony morza. Lingard czuł tak głęboko bliskość tej kobiety, że nie słyszał nic... I nagle pomyślał o śmierci.

— Niech się pani obudzi! — krzyknął w ucho pani Travers, odwracając się szybko na ławeczce. Pani Travers chwyciła ustami powietrze; bryzg wody chlaśnął ją nad oczami, oddzielne krople spływały po jej policzkach; poczuła na wargach ich smak — były ciepłe

i gorzkie jak łyż. Syczące zakolebanie wód podrzuciło łódź wysoko, potem nastąpiło drugie i tak bez końca; aż wreszcie w pół wiatru czółenka wpłynęła na spokojną wodę, przechylone wciąż na jedną burtę.

— Ominęliśmy rafy — rzekł Lingard z ulgą w głosie.

— Czy groziło nam niebezpieczeństwo? — spytała szeptem pani Travers.

— Bryza ucichła i przydryfowaliśmy bardzo blisko skał — odpowiedział Lingard. — Musiałem panią obudzić. Nie byłoby bardzo przyjemnie ocknąć się nagle w wodzie.

A więc spała! Wydało jej się niewiarogodnem, aby mogła zamknąć oczy w tem małym czółenku na tak wzburzonym morzu, z pełną świadomością celu tej rozpaczliwej wyprawy. Mężczyzna u jej boku pochylił się naprzód, wyciągnął ramię, i czółenka idące pełnym wiatrem przyspieszyło biegu na równym kilu. Nieruchomy, czarny brzeg, leżący na morzu, rozciągał się w nieskończoność w poprzek ich drogi, złowieszczy i nieruchomy. Zwróciła na niego uwagę Lingarda.

— Niech pan spojrzy na tę okropną chmurę.

— Ta chmura to brzeg, a za chwilę wjedziemy w ujście strumienia — odrzekł spokojnie. Pani Travers wpatrzyła się w to wybrzeże. Więc to był ląd — ląd! Wydał jej się bardziej nieuchwytnym od chmury; niby jakiś ponury bezruch nad niepokojem morza, kryjący w swej głębi niepokój ludzi, którzy nie przedstawiali jej się realniej niż fantastyczne cienie.

## V

Z chwilą gdy oczy pani Travers spoczęły na Jörgensonie, uderzył ją przedewszystkiem jego wygląd

jakby nie z tego świata. Jörgenson przebywał tak długo poza nawiasem życia, że jego wielkie, wychudłe ciało, jego powolne, machinalne ruchy, jego spokojna twarz i oczy o pustem spojrzeniu sprawiały wrażenie nieprzepartej obojętności na wszelkie możliwe ziemskie niespodzianki. Ta postać zmartwychwstałego człowieka, którym rządziło jak gdyby jakieś czarodziejskie zaklęcie, błędziła po pokładzie — tego, co nawet pani Travers wydawało się trupem statku. Jörgenson zwracał na panią Travers głęboko wpadnięte, pozbawione wyrazu oczy z zaświatowem wprost oderwaniem. Nigdy jeszcze nikt na nią nie patrzył z abstrakcyjnością tak dziwną i tak wiele znaczącą. Ale Jörgenson nie był jej niesympatyczny. We wczesnym świetle poranka, białe od stóp do głów w nieskazitelnie czystym ubraniu, które okrywało coś, co prawie nie było ciałem, świeżo ogolony (zapadłe jego policzki o zwiędłym kolorycie miały pewnego rodzaju połysk; wyglądało to jakby Jörgenson się golił mniej więcej co dwie godziny) — wyglądał tak niepokalanie, jakby był zaiste czystym duchem, wyższym nad płamiącą styczną z poziomą ziemią. Niepokoił, lecz nie był odrażający. Nie przywitał się wcale z Lingardem ani z panią Travers.

Lingard zwrócił się do niego natychmiast.

— Mój drogi, zbudowałeś tu istne schody z boku kadłuba — rzekł. — Bardzo nam było wygodnie wejść teraz po nich na statek, ale czy nie przyszło ci na myśl, że w razie ataku...

— I owszem. — Nie było nic równie beznamiętnego na świecie jak głos kapitana H. C. Jörgensona z barki *Dzika Róża*, odkąd przebył z powrotem wody zapomnienia i wkroczył znów w ludzkie życie. — Przyszło mi to na myśl, ale ponieważ nie zamierzam robić zamętu...

— Aha, nie zamierzasz robić zamętu — przerwał Lingard.

— Nie. Nie posądzaj mnie o to. Wierzysz mi, Królu Tomie?

— Ale może ja będę musiał narobić zamętu.

— A więc po to przyjechałeś w tej swojej małej joli?

— Co ci się stało? Czy mnie jeszcze nie znasz, Jörgenson?

— Zdawało mi się że cię znam. Jakże mogłem zgadnąć, że taki człowiek jak ty przybywa aby walczyć, przywożąc z sobą kobietę?

— To jest pani Travers — rzekł Lingard. — Żona jednego z tych nieszczęśliwych panów, których Daman porwał wczoraj wieczór... A to jest, proszę pani, Jörgenson, mój przyjaciel, o którym pani opowiadałem.

Pani Travers uśmiechnęła się zlekka. Oczy jej błędziły daleko i blisko, a dziwaczność otoczenia, niezmierna jej ciekawość, konflikt jej pragnień z niepewnością nadały jej pozór, jakby życie było dla niej czemś nowem, jakby się odnosiła z naiwną prostotą do spotykających ją niespodzianek. Wyglądała bardzo niewinnie i młodzieńczo między tymi dwoma mężczyznami. Lingard patrzył w nią z nieświadomą tkliwością pełną podziwu, z jaką niektórzy mężczyźni odnoszą się do młodych dziewcząt. Jego zachowanie nie miało nic wspólnego ze zdobywcą królestw. Jörgenson trwał wciąż w swej zdumiewającej abstrakcji, zdając się nic nie słyszeć i nic nie widzieć. Ale snąć miał jakiś tajemniczy kontakt z wypadkami zachodzącymi w świecie żyjących ludzi, bo zapytał bardzo naturalnym tonem:

— Jakże ona uciekła?



— Pani Travers nie było wtedy na mieliźnie — wyjaśnił krótko Lingard.

— Na jakiej mieliźnie? — mruknął machinalnie Jörgenson. — Czy złupili jacht, Tomie?

— Nic podobnego — rzekł Lingard.

— A ilu jest zabitych? — wypytywał Jörgenson.

— Mówię ci, że nic się takiego nie stało — rzekł niecierpliwie Lingard.

— Jakto? nie było walki — pytał znów Jörgenson bez najlżejszej oznaki ożywienia.

— Nie.

— A przecież zawsze jesteś gotów się bić.

— Posłuchaj mnie, Jörgenson. Tak się stało, że zanim trafiła się sposobność do walki, już było zapóźno. — Zwrócił się do pani Travers, która z nikłym uśmiechem na wargach rozglądała się wciąż niespokojnymi oczami. — Gdy rozmawiałem z panią tamtego wieczoru, już było zapóźno. Nie! Nie było do tego wogóle żadnej okazji. Powiedziałem pani o sobie wszystko, i pani wie że to prawda, kiedy mówię: zapóźno. Ach, gdybym był panią znalazł samą jedną na tym jachcie wędrującym przez morze!

— Tak — wtrąciła — ale nie byłam sama.

Lingard opuścił głowę na piersi. Przedsmak południa już zwarzył iskrzącą się świeżość poranka. Uśmiech znikł z twarzy Edyty Travers a oczy jej spoczywały na zwieszanej głowie Lingarda z wyrazem, w którym nie było już ciekawości; ten wyraz mógł być się wydać zagadkowym Jörgensonowi, gdyby na nią popatrzył. Lecz Jörgenson nie patrzył na nic. Spytał z oddali, z głębi swej martwej przeszłości:

— Jak tam jest na morzu, Tomie? Co tam się dzieje?

— Jest tam jacht na mieliznie, mój bryg na kotwicy, i około stu illanuńskich włóczęgów najgorszego gatunku pod rozkazami trzech wodzów, z dwoma wojennymi *prao* przycumowanymi do brzegu. Zapewne jest tam i Daman.

— Nie — rzekł stanowczo Jörgenson.

— A więc przyjechał tu — zawołał Lingard. — Sam swoich więźniów tu przywiózł!

— Wylądował przy świetle pochodni — rzekł dobitnie cień kapitana Jörgensona, dawnego właściciela barki *Dzika Róża*. Wyciągnął ramię, wskazując na brzeg z drugiej strony laguny; pani Travers zwróciła się w tamtym kierunku.

Jak okiem sięgnąć wszystko było tylko niezmiernem światłem i niezmierną pustką. Wzrok pani Travers wędrował po błyszczącej, ciemnej przestrzeni pustych wód do brzegu obramionego białym piaskiem; brzeg ten był także pusty i nie zdradzał żadnych przejawów ludzkiego życia. Chaty kryły się w cieniu drzew owocowych; zasłaniały je uprawne łany kukurydzy i plantacje bananów. Blisko brzegu można było rozróżnić za ostrokołami sztywne linje dwóch portów strzegących wybrzeża, a między nimi, za wielką, otwartą przestrzenią, sterczał brunatny, pochyły dach olbrzymiego, długiego budynku; ów dach zdawał się wisieć w powietrzu, a nad nim powiewała wielka, kwadratowa chorągiew. Nad szczytem meczetu unosił się jak gdyby drobny, biały płomień; był to ornament rzezany w białym koralu, odbijający pionowo promienie słońca. Mnóstwo jaskrawych, wąskich chorągiewek, białych i czerwonych, powiewało nad wpółukrytymi dachami, nad wspaniałymi polami, wśród ciemnych gajów palmowych. Lecz mogło się zdawać, że osada

jest pusta — jakby ludność udekorowała ją i porzuciła. Lingard wskazał ostrokół po prawej stronie.

— Tam właśnie jest pani mąż — rzekł do pani Travers.

— Kim jest ten drugi więzień? — wyrzekł za nimi głos Jörgensona. Stał zwrócony w tę samą stronę, utkwivszy mimo nich w pustce dziwny, nie widzący wzrok.

— To zdaje się Hiszpan — prawda proszę pani? — zapytał Lingard.

— Niezmiernie trudno uwierzyć, że wogóle tam ktoś jest — szepnęła pani Travers.

— Czy widziałeś ich obu, Jörgenson? — zapytał Lingard.

— Nie dostrzegłem nikogo. Za daleko było. Za ciemno.

Daman wylądował mniej więcej na godzinę przed świtem i właściwie Jörgenson nie dostrzegł nic prócz odległego blasku pochodni, a głośnie krzyki podnieconego tłumu dosięgły go poprzez lagunę tylko jako słaby i burzliwy gwar. Światła ruszyły natychmiast korowodem przez gaj ku warownym ostrokołom. Odległy blask zanikł w blednących ciemnościach i pomruk niewidzialnego tłumu ucichł, jakby uniesiony przez cofający się cień nocy. Światło dnia pojawiło się szybko, odsłaniając przed bezsennym Jörgensonem pustkę wybrzeża i widmowe zarysy znanych mu grup roślinności oraz rozsianych ludzkich siedzib. Śledził rozmaite barwy, występujące wraz ze świtem, rozległą, uprawną osadę o przeróżnych odcieniach zieleni, objętą w dali piękną, czarną linią lasu, stanowiącego jej kres i osłonę.

Pani Travers stała tuż przy poręczy, nieruchoma jak posąg. Jej twarz straciła ruchliwość, a policzki po-

kryły się martwą białością, jakby cała jej krew spłynęła z powrotem do serca i tam pozostała. Nawet jej wargi pobladły. Lingard chwycił ją szorstko za ramię.

— Niechże się pani opanuje! Co panią tak przeraziło? Jeśli pani nie wierzy moim słowom, niech pani posłucha co powie Jörgenson...

— Tak, pytajcie mnie — mruknął Jörgenson pod białym wąsem.

— Mów otwarcie, Jörgenson. Jak myślisz, czy ci panowie żyją?

— Bezwarunkowo — rzekł Jörgenson z pewnem rozczarowaniem w głosie, jakby się spodziewał daleko trudniejszego pytania.

— Czy grozi im bezpośrednie niebezpieczeństwo?

— Naturalnie że nie — rzekł Jörgenson.

Lingard odwrócił się od wyroczeni.

— Słyszała go pani, prawda? Może pani wierzyć każdemu jego słowu. Niema żadnej myśli, żadnego projektu w tej osadzie — ciągnął, wskazując na niemą pustkę laguny — którychby ten człowiek nie znał jak swoich własnych.

— Wiem wszystko. Pytajcie mnie — mruknął machinalnie Jörgenson.

Pani Travers nic nie odrzekła, lecz poruszyła się zlekka, a sztywna jej postać zachwiała się niepokojąco. Lingard otoczył ją mocno ramieniem; zdawała się tego nie dostrzegać póki, odwróciwszy głowę, nie zobaczyła twarzy Lingarda tuż koło swojej. Lecz jego wzrok pełen niepokoju zaglądał z tak zbliiska w jej oczy, że była zmuszona je zamknąć, jak kobieta której grozi omdlenie.

Odniosło to taki skutek, że pani Travers poczuła zacieśniające się ramię Lingarda, a gdy otwarła znów

oczy, policzki jej zabarwiły się zlekka. Odwzajemniła jego wzrok, pełen głębokiej troskliwości, spojrzeniem tak spokojnym, spojrzeniem, które — mimo jej woli — tak bardzo było żywotne, że Lingard doznał wrażenia, iż jasność bijąca z jej oczu rzuca cień na całe jego przeszłe życie.

— Nie jest mi słabo. To wcale nie z tego powodu — oświadczyła zupełnie spokojnym głosem. Wydał się Lingardowi zimnym jak lód.

— To i dobrze — przystał, uśmiechając się z rezygnacją. — Tylko bardzo proszę, niechże pani się oprze o tę poręcz nim panią puszczę.

Pani Travers zmusiła się też do uśmiechu.

— Co za brak wiary — rzekła i przez chwilę nie poruszała się wcale. Wreszcie, jakby robiąc ustępstwo, oparła końce palców o poręcz. Lingard powoli ramię usunął. — Ale bardzo pana proszę, niech pan mnie nie uważa za konwencjonalną „słabą kobietę“, delikatną panią, jak pan mię sobie wystawia — rzekła, stojąc naprzeciw Lingarda z ręką wyciągniętą i dotykającą poręczy. — Niech pan się na to zdobędzie wbrew swoim pojęciom o kobiecie w moim rodzaju. Jestem może równie silna jak pan, panie kapitanie — w dosłownym znaczeniu tego słowa. Fizycznie.

— Trzeba pani wiedzieć, że dawno już to zauważyłem — protestował głęboki głos Lingarda.

— A jeśli chodzi o moją odwagę — ciągnęła pani Travers, to uśmiechając się, to ścigając brwi, co nadawało jej twarzy czarujący wyraz niepewności — czyż nie powiedziałam panu wczoraj wieczorem, przed kilku godzinami zaledwie, że nie potrafię się doprowadzić do strachu; pamięta pan, prosił mnie pan abym spróbowała to zrobić. Niech pan nie myśli, że wstyd mię

od tego powstrzymał. Nie umiałabym poprostu. Nawet gdyby chodziło o czyjeś królestwo. Czy pan mię rozumie?

— Bóg to raczy wiedzieć! — rzekł po chwili Lingard, który jej słuchał z uwagą; nagle westchnął. — Wy jesteście jakby ulepieni z innej gliny.

— Kto panu wbił w głowę ten idjotyczny pogląd?

— Ani lepszej, ani gorszej. I nie twierdzę, że ta wasza glina nie jest dobra. Uważam poprostu, że jest inna. To się czuje. I to jest wszystko.

— Tak, to jest wszystko — powtórzyła pani Travers. — A co się tyczy tej chwili wzruszenia — to jego przyczyna obchodzi tylko mnie samą. Nie bałam się wcale. I nawet teraz nie umiem skojarzyć swego niepokoju z żadnym wyraźnym obrazem. Pan pewnie myśli, że jestem pozbawiona wstydu i serca, ponieważ to panu mówię.

Lingard nie poruszył się wcale. Nie przeszło mu nawet przez myśl, że może się poruszyć. Wchłaniał słowa pani Travers, jakby się rozkoszował samym ich dźwiękiem.

— Jestem poprostu szczerą — ciągnęła. — Co ja mogę wiedzieć o dzikości, gwałtach, morderstwie? Nigdy w życiu nie widziałam martwego człowieka. Blask, cisza, tajemnicza pustka tego miejsca podziały nagle na moją wyobraźnię — tak mi się zdaje. Co znaczy właściwie ten zadziwiający spokój, który otacza tylko nas dwoje — pana i mnie?

Lingard potrząsnął głową. Widział połysk zębów tej kobiety między rozchylonemi wargami; uśmiechnęła się przy ostatnich słowach, jakby zapał, z którym wygłaszał swe przekonania, rozplynał się w tęsknem uznaniu wspólności ich dwojga wobec rze-

czy będących poza ich świadomością. A pewna bezsilność tego uśmiechu rozgrzała Lingarda. O trzy kroki od nich widmo kapitana Jörgensona, niezmiernie wycieńczone i schludne, wpatrywało się w przestrzeń.

— Tak. Pani jest silna — rzekł Lingard. — Ale przesiedzieć całą długą noc w malutkiem czółenku! Dziwię się, że pani nie zdrętwiały członki i że pani może się trzymać na nogach!

— Wcale mi nie zdrętwiały — przerwała, wciąż się uśmiechając. — Jestem doprawdy bardzo silną kobietą — dodała poważnie. — Cokolwiek się stanie, może pan na to liczyć.

Lingard spojrział na nią z podziwem. Ale cień Jörgensona, pochwyciwszy może w swej dali słowo: kobieta, nagle tem poruszony, zaczął wymyślać z całą swobodą ducha, wylewając potok beznamiętnego oburzenia.

— Kobieta! Otóż to właśnie. To już jest koniec świata żebyś ty, Tom Lingard, czerwonooki Tom, Król Tom, i jak cię tam jeszcze pięknie nazywają — żebyś zostawił dwadzieścia mil poza sobą swą broń, swoich ludzi, swoje armaty, swój bryg, który jest twoją siłą — i żebyś tu przyjechał z gębą pełną walki — z gołemi rękoma, obarczony kobietą! No, no!

— Nie zapominaj, Jörgenson, że pani Travers cię słyszy — napomniał go Lingard z rozdrażnieniem. — On nie miał zamiaru być nieuprzejmym — zwrócił się zupełnie głośno do pani Travers, jak gdyby Jörgenson był zaiste niematerjalną i nic nie czującą iluzją. — On poprostu zapomniał.

— Kobieta nie czuje się wcale obrażona. Proszę właśnie traktować mnie w ten sposób.

— Nie zapomniałem nic — mamrotał Jörgenson

z pewnego rodzaju upiorną zawziętością i jakby dla swej własnej satysfakcji. — Do czego to wszystko prowadzi?

— To ja prosiłam, żeby mię kapitan Lingard zabrał — rzekła pani Travers, darząc Jörgensona czarującą słodyczą swego głosu.

— Otóż to właśnie! Do czego to wszystko prowadzi? Czy król Tom nie ma własnego zdania? Co mu się stało? Oszalał! Porzucił swój bryg, choć stu dwudziestu zakamieniałych piratów najgorszego gatunku tkwi po drugiej stronie mielizmy! Czy pani także i o to prosiła? Czy on się oddał w ręce obcej kobiety?

Wyglądało na to, że Jörgenson zadaje sobie samemu to pytanie. Pani Travers zauważyła jego pusty wzrok — jakby mówił tylko do siebie — i poza ziemski brak ożywienia. Dlatego przyszło jej bardzo łatwo powiedzieć mu całą prawdę.

— Nie — rzekła. — To ja jestem zupełnie w jego rękach.

Nie możnaby było odgadnąć, że Jörgenson słyszał choć jedno słowo tego dobitnego oświadczenia, gdyby nie zwrócił się do Lingarda z zapytaniem — ani mniej, ani więcej abstrakcyjnym od wszystkich innych swych powiedzeń.

— Więc dlaczego ją tu przywiozłeś?

— Nie rozumiesz tego. Tak wypada i tak być powinno. Jeden z tych panów jest mężem pani Travers.

— Ach tak — mruknął Jörgenson. — A kto jest ten drugi?

— Mówiłem ci już. Przyjaciel.

— Biedny pan d'Alcacer — odezwała się pani Travers. — Jakież to pech dla niego, że przyjął nasze za-



prośzenie. Ale właściwie to on jest tylko naszym znajomym.

— Prawie go nie zauważyłem — rzekł Lingard pośepnie. — Kiedy wszedłem na pokład jachtu, rozmawiał z panią przechylony przez oparcie pani fotela, jakby był bardzo bliskim przyjacielem.

— Rozumieliśmy się zawsze doskonale — rzekła pani Travers, biorąc z poręczy lunetę, która tam leżała. — Lubiłam go zawsze — jego szczerość, jego wielką prawość.

— Czem on się zajmował? — zapytał Lingard.

— Kochał — powiedziała lekko pani Travers. — Ale to dawna historia. — Podniosła szkła do oczu i wyciągnęła rękę aby podtrzymać długi teleskop, a Lingard zapomniał o d'Alcacerze, podziwiając niewzruszoną postawę pani Travers i zupełną nieruchomość ciężkich szkieł. Była nieugiętą jak skała po wszystkich emocjach i całym zmęczeniu.

Pani Travers skierowała szkła instynktownie ku wjeździe na lagunę. Gładka woda świeciła tam jak płyta srebra w ciemnym obramowaniu lasu. Czarna plamka przesunęła się przez pole widzenia. Upłynął jakiś czas, zanim pani Travers znów ją znalazła i wówczas dojrzała czólenko z dwojgiem ludzi, pozornie tak blisko, że głos byłby mógł tam dolecieć. Widziała jak mokre wiosła wznosiły się i zanurzały w wodzie, błyskając w słońcu. Rozróżniła wyraźnie twarz Immady, która zdawała się patrzeć prosto w wielki koniec teleskopu. Wódz i jego siostra, wypocząwszy parę godzin nocą u brzegu, wpłynęli na lagunę i dążyli wprost do kadłuba *Emmy*. Byli już dość blisko, tak że dałoby się ich dostrzec gołym okiem, gdyby ktoś z pokładu patrzył w tą stronę. Ale nikt o nich nawet

nie myślał, jakby ich wcale nie było na świecie, jakby istnieli tylko w pamięci starego Jörgensona. Lecz ten był głównie zaprzątnięty tajemniczymi sprawami swego grobu, z którego powstał niedawno.

Pani Travers opuściła nagle szkła. Lingard ocknął się jakby z transu i rzekł:

— Pan d'Alcacer. Więc się kochał! Dlaczegożby nie miał się kochać?

Pani Travers spojrzała szczerze w posępne oczy Lingarda.

— To jeszcze nie wszystko oczywiście — rzekła. — Przedewszystkiem umiał kochać, a potem... Ale pan nie wie, jak sztucznym i jałowym może być pewien rodzaj życia. Tylko że życie d'Alcacera nie było sztuczne i jałowe. Warto było posiąść jego przywiązanie.

— Zdaje się, że pani wie o nim bardzo dużo — rzekł Lingard zazdrośnie. — Czemu pani się śmieje? — Uśmiechała się jeszcze do niego przez krótką chwilę. Długa, mosiężna rura nad jej ramieniem jaśniała jak złoto na tle bladej jasności włosów.

— Uśmiecham się do pewnej myśli — odrzekła, prowadząc w dalszym ciągu rozmowę niższym tonem, jakby słowa ich mogły zamącić rozpamiętywania kapitana H. C. Jörgensona. — Do myśli, że pomimo długiej znajomości z panem d'Alcacer nie wiem o nim ani w części tego, co wiem o panu.

— Ach, to jest niemożliwe — zaprzeczył Lingard. — Czy to Hiszpan, czy nie Hiszpan, przecież on do was należy.

— Z tej samej jest gliny — szepnęła pani Travers z napół rozbawioną ironją. Ale Lingard ciągnął dalej.

— Usiłował pogodzić mnie z pani mężem, prawda?

Zbyt byłem rozgniewany aby zwrócić na niego uwagę, ale dosyć mi się podobał. Co mi się najbardziej podobało, to sposób w jaki dał temu pokój. Zrobił to jak dzentelmen. Czy pani rozumie, co chcę powiedzieć?

— Najzupełniej.

— Tak, naturalnie że pani rozumie — dodał z prostotą. — Ale właśnie wtedy zanadto byłem rozgniewany, aby z kimkolwiek rozmawiać. Więc wróciłem na pokład swego statku i czekałem, nie wiedząc co począć, i pragnąłem żebyście się wszyscy znaleźli na dnie morza. Niech mnie pani zrozumie, proszę pani; to właśnie wam, jaśnie państwu, życzyłem żebyście się znaleźli na dnie morza. Nie miałem nic przeciwko tym nieborakom na jachcie. Oni byliby mi uwierzyli z łatwością. I tak się złościłem i gryzłem póki — póki...

— Póki nie nadeszła dziewiąta — a może było już trochę po dziewiątej — poddała pani Travers nieprzeknionym tonem.

— Nie. Póki nie przypomniałem sobie o pani — rzekł Lingard z niezmierną naiwnością.

— Czy pan chce przez to powiedzieć, że pan zapomniał zupełnie o mojem istnieniu aż do tamtej chwili? Pamięta pan, przecież pan mówił ze mną na pokładzie jachtu.

— Doprawdy? Tak mi się też zdawało. Co ja pani powiedziałem?

— Mówił mi pan, abym nie dotykała ciemnoskórej księżniczki — odrzekła pani Travers i roześmiała się. Lecz zaraz potem zmieniła się zupełnie, jakby nagle wśród płochego nastroju uprzytomniła sobie prawdziwe znaczenie sytuacji. — Ale doprawdy nie miałam żad-

nych złych zamiarów względem tej postaci z pańskich marzeń. I niech pan popatrzy! Ona pana ściga.

Lingard spojrział ku północnemu brzegowi i stłumił okrzyk skruchy. Przekonał się po raz drugi, że zapomniał o istnieniu Hassima i Immady. Czółenko zbliżyło się już teraz o tyle, że siedzący w niem ludzie mogli rozróżnić wyraźnie głowy trzech osób nad niską poręczą *Emmy*. Immada puściła nagle wiosło z krzykiem: „Widzę tam białą kobietę!“ Brat jej spojrział przez ramię i czółenko przestało się posuwać, niby zatrzymane siłą nagłego czaru.

— Oni nie są dla mnie postaciami z marzenia — mruknął Lingard stanowczo.

Pani Travers odwróciła się nagle aby spojrzeć na dalszy brzeg. Był wciąż cichy i pusty dla gołego oka i zdawał się drgać w blasku słonecznym, jak olbrzymia, malowana kurtyna zapuszczona przed nieznanem.

— Jörgenson, radża Hassim nadjeżdża. Myślałem, że zostanie tam na morzu.

Pani Travers słyszała za sobą głos Lingarda i odpowiedź wymruczaną przez Jörgensona. Podniosła z wolna długie szkła do oczu, skierowawszy je ku brzegowi.

Rozróżniała teraz wyraźnie barwy proporców powiewających nad brązowymi dachami rozległej osady, lekkie kołysanie się palmowych gajów, czarne cienie w głębi lądu i olśniewająco białe pobraże z koralowego piasku, rozjarzone, pełne groźnej tajemniczości. Przesunęła szkła wzdłuż całego widoku i już je miała opuścić, gdy z za masywnego węgla ostrokołu wystąpił na wspaniałą, nieruchomą widownię mężczyzna w długiej, białej szacie, z olbrzymim, czarnym turbanem nad ciemną twarzą. Poważny i złowrogi, kroczył z wolna w słonecznym blasku, jak zagadkowa postać z jakiejś

wschodniej bajki, a nagle jego wystąpienie i samotne posuwanie się wzdłuż brzegu miało w sobie coś dziwnego i groźnego.

Pani Travers drgnęła mimowoli i opuściła lunetę. Nagle usłyszała za sobą niski, melodyjny głos; płynęły niezrozumiałe słowa wypowiedane tonem namiętnym i błagalnym. Hassim i Immada weszli na pokład i zbliżyli się do Lingarda. Tak! To było nie do zniesienia, że ten potok miękkich słów, które dla pani Travers nic nie znaczyły, trafiał wprost do serca tego człowieka.



CZĘŚĆ V  
HONOR I NAMIĘTNOŚĆ





## I

— Czy można wejść?

— Proszę — rzekł głos z wewnątrz. — Drzwi są otwarte.

Miały drewnianą klamkę. Pan Travers nacisnął ją i wszedł, a żona jego mówiła dalej. — Czy sobie wyobrażałeś, że spuściłam zasówkę? Czyś widział kiedykolwiek abym się tak zamykała?

Pan Travers przymknął drzwi za sobą.

— Nie, do tego nigdy nie doszło — rzekł tonem bynajmniej nie pojednawczym. W pierwszej chwili nie mógł dobrze swej żony rozróżnić w tym pokoju, który znajdował się wewnątrz drewnianego szalasu i miał w ścianie kwadratowy otwór bez szyby, zaopatrzony w nawpół przymkniętą okiennicę. Pani Travers siedziała w futelu; widział wyraźnie tylko jej rozpuszczone włosy spływające po oparciu. Nastąpiła chwila milczenia. Z zewnątrz dochodziły miarowe kroki dwóch mężczyzn, przechadzających się wpoprzek rufy martwego statku *Emma*, dowodzonego przez cień Jörgensona.

Gdy Jörgenson podjął się komendy martwego okrętu, wybudowano na tylnym pokładzie domek z cienkich desek dla wygody dowódcy, a także i dla Lingarda na czas przelotnych jego wizyt. Wąskie przejście dzieliło domek na dwie części; po stronie Lingarda stało łóżko polowe, ordynarnej roboty pulpit i fotel z rotanu. Lingard przywiózł raz czarną, żeglarską skrzynię i tam ją zostawił. Poza temi przedmio-

tami, oraz małym, przybitym do ściany lustrem, kosztującym ze dwanaście szylingów, nic tam więcej nie było. Co się znajdowało po drugiej stronie, nikt nigdy się nie przekonał, ale z zewnętrznego wyglądu Jörgensona można było wnioskować, że jest tam i komplet brzytew.

Wybudowanie tego prymitywnego domku na pokładzie było raczej kwestją konwenansu niż konieczności. Wypadało aby biali mieli na statku miejsce wyłącznie dla siebie przeznaczone, ale Lingard mógł z całą ścisłością powiedzieć pani Travers, że nie spał tam ani razu. Przyzwyczał się sypiać na pokładzie. A co się tyczy Jörgensona, musiał spać bardzo mało, o ile wogóle sypiał. Można było powiedzieć, że raczej nawiedzał *Emmę*, aniżeli nią dowodził. Biała jego postać migiała tu i tam nocą, lub też godzinami stała w milczeniu, wpatrując się w posępne błyski laguny. Oczy pana Traversa przyzwyczajały się stopniowo do półmroku panującego w izdebce i mogły już teraz rozróżnić w postaci Edyty nie tylko obfitość włosów barwy miodu. Widział teraz jej twarz, ciemne brwi i oczy, które w półmroku wydawały się zupełnie czarnymi. Rzekł:

— Nie mogłabyś tu się zamknąć. Niema tu ani zamka, ani zasówki.

— Tak? Nie zauważyłam. Umiałabym się bronić bez zamków i zasówek.

— Miło mi to usłyszeć — rzekł pan Travers posępnym tonem i umilkł znów, obserwując kobietę siedzącą w fotelu. — Widzę że pofolgowałaś swemu zamiłowaniu do fantastycznych kostjumów — ciągnął z lekką ironją.

Pani Travers splotła ręce na karku. Szerokie jej

rękawy zsunęły się i obnażyły ramiona aż do pleców. Miała na sobie cienką, bawełnianą kurtkę malajską bez kołnierza, wyciętą głęboko u szyi i zapiętą w górze na srebrne, cyzelowane klamry. Zamiast jachtowej spódniczki, włożyła błękitny sarong w kwiaty, haftowany złotymi nićmi. Oczy pana Traversa, wędrując zwolna wdół, przyłgnęły do błyszczącego podbicia niecierplivej nogi, obutej w lekki, skórzany sandał.

— Nie zabrałam żadnej sukni prócz tej, którą miałam na sobie — rzekła pani Travers. — Mój jachtowy kostjum jest za ciężki. Nie mogłam w nim wytrzymać. Byłam zupełnie mokra od rosy po przyjeździe. Więc kiedy mi pokazano te rzeczy i kiedy je obejrzałam...

— Zjawiły się przez zakłęcie — mruknął pan Travers głosem za ciężkim na ironję.

— Nie. Pochodzą z tej skrzyni. Są tam bardzo piękne tkaniny.

— Nie mam co do tego wątpliwości — rzekł pan Travers. — Ten człowiek napewno jest zdolny do łupienia krajowców... — Siadł ciężko na skrzyni. — Twój kostjum świetnie jest zastosowany do tej farsy — ciągnął. — A czy masz zamiar nosić go w biały dzień na pokładzie?

— O tak. D'Alcacer już mię w nim widział i nie wyglądał na zgorzzonego.

— Powinnaś się postarać — rzekł pan Travers — aby ci podarowano parę bransolet na nogi; będziesz mogła pobrzękiwać niemi, chodząc.

— Bransolety nie są konieczne — odpowiedziała zmęczonym głosem z oczami skierowanemi gdzieś w górę, jak gdyby nie chciała porzucić swego marzenia. Pan Travers zaniechał tego tematu i spytał:

— Jakże długo będzie trwała ta farsa?

Pani Travers rozplotła dłonie, opuściła wzrok i w mig zmieniła pozę.

— Co chcesz przez to powiedzieć? Jaka farsa?

— Ta, w której gram rolę błazna.

— I ty w to wierzysz?

— Nietylko wierzę. Czuję głęboko, że tak jest. Jestem pośmiewiskiem. To rola niesłychanie ponura — ciągnął nieprzejednanie ze spuszczonej oczami. — Muszę ci powiedzieć, że się zatrzęsłem poprostu, kiedy cię zobaczyłem na tym dziedzińcu, wśród tłumu krajozwojców, pod rękę z tym człowiekiem.

— Czy ja też wyglądałam ponuro? — rzekła pani Travers, zwracając nieco głowę ku mężowi. — A jednak zapewniam cię, że się cieszyłam, serdecznie się cieszyłam, że widzę cię bezpiecznym przynajmniej chwilowo. Wszystko polega na tem, aby zyskać na czasie...

— Pytam się siebie — rozmyślał głośno pan Travers — czy byłem wogóle w niebezpieczeństwie? I czy jestem teraz bezpieczny? Nie wiem tego. Nie umiem powiedzieć. Nie! To wszystko wydaje mi się ohydłą farsą.

Był w jego głosie ton, który sprawił, że jego żona przypatrywała mu się teraz z żywym zajęciem. Widocznie cierpiał z powodu czegoś, co nie miało żadnego związku ze strachem. Na twarzy pani Travers odmawiał się prawdziwy niepokój, gdy mąż jej dodał lodo-watym tonem:

— Ale pozostawiam tę kwestję twojemu uznaniu.

Oparła się znów o poręcz fotela i złożyła spokojnie ręce na kolanach.

— Czy byłbyś wolał abym pozostała tam na jachcie, w pobliżu tych dzikich ludzi, którzy cię uprowadzili? A może myślisz że ich także przebrano, by mogli wziąć udział w tej farsie?

— Z największą pewnością. — Pan Traversa podniósł głowę, choć naturalnie głosu nie podniósł. — Powinnaś była pozostać na jachcie wśród białych ludzi, służby, kapitana, załogi, której obowiązkiem jest... która byłaby gotowa za ciebie umrzeć.

— Ciekawam dlaczego by mieli za mnie umierać — i skąd jabym mogła żądać od nich takiego poświęcenia. Ale nie wątpię, że byliby to zrobili. A może wolałbyś abym pozostała na brygu tego człowieka. Byliśmy tam wszyscy najzupełniej bezpieczni. Jedyne dlatego chciałam tu koniecznie przyjechać, żeby być bliżej ciebie — żeby zobaczyć własnymi oczami, co można dla ciebie zrobić i co się robi... Ale jeśli chcesz abym ci wyłożyła swoje pobudki, nie umiem ci nic powiedzieć. Nie mogłam siedzieć tam całymi dniami bez wieści o tobie, wśród tej okropnej niepewności. Przyjeżdżając tu, nie wiedzieliśmy nawet czy obaj jeszcze żyjecie. Mogli cię przecież zamordować tam na mieliźnie po odjeździe radży Hassima i tej dziewczyny, mogli cię też zabić, gdy płynęliście w górę rzeki. Chciałam dowiedzieć się o wszystkim zaraz, jaknajprędzej. To była kwestja jednej chwili. Wyruszyłam tak jak stałam, bez namysłu.

— Tak — rzekł pan Travers. — I nie przyszło ci nawet na myśl, żeby zabrać dla mnie trochę rzeczy do podróznego worka. Byłaś zaiste bardzo podniecona. Albo też zapatrywałaś się tragicznie na sytuację i wydawało ci się, że nie warto się troszczyć o moje ubranie.

— To była doprawdy kwestja jednej chwili. Nic innego nie byłabym mogła zrobić. Czy nie chcesz temu uwierzyć?

Pan Travers podniósł znów oczy na żonę. Zoba-

czył że i twarz jej, i cała postać są pełne spokoju. Głos jego był do tej chwili urażony i tępy, bez śladu sarkazmu. Ale teraz stał się zlekka pompatycznym.

— Nie. Stwierdziłem to już nieraz, wiem o tem z doświadczenia, że nie mogę uwierzyć, abyś posiadała uczucia odpowiednie twemu pochodzeniu, pozycji towarzyskiej — i pojęcia właściwe sferze, do której należysz. To było najcięższe z rozczarowań jakie przeżyłem. Postanowiłem póki życia nie wspomnieć ci o tem. Zdaje mi się jednak że to jest okazja, którą sama sprowokowałaś. Nie jest to jednak okazja uroczysta. Wcale jej za taką nie uważam. Jest tylko bardzo nieprzyjemna i poniżająca. Ale nawinęła się sama. Nie miałaś nigdy prawdziwego zainteresowania dla moich zajęć, przez które moje życie się wyróżnia i nabiera wartości. I nie rozumiem, dlaczegobyś raptem miała się unieść uczuciem dla mnie jako dla mężczyzny.

— A więc nie pochwalasz tego — stwierdziła pani Travers równym głosem. — Ale wierzaj mi, możesz to uczynić z całym spokojem. Kierowałam się uczuciem jaknajbardziej konwencjonalnem, zupełnie jakby cały świat temu się przypatrywał. Ostatecznie jesteśmy przecież mężem i żoną. Wypada stanowczo, abym się troszczyła o twój los. Nawet człowiek, którego tak bardzo podejrzewasz i nie znosisz (pozwól mi powiedzieć, że to jest najsilniejsze uczucie jakie kiedykolwiek w tobie zauważyłam) — nawet ten człowiek uznał, że tak właśnie wypada postąpić! Powiedział to dosłownie. Wypada. I to wypada tak bardzo, że względ ten przemógł jego upór.

Pan Travers poruszył się niespokojnie na krześle.

— Mam to przeświadczenie, Edyto, że gdybyś była mężczyzną, prowadziłabyś życie jaknajbardziej nie-

porządne. Byłabyś jawnym awanturnikiem. Oczywiście pod względem moralnym. To jest dla mnie zawsze wielkiem zmartwieniem. Masz w sobie pogardę dla poważnej strony życia, dla pojęć i ambicji sfery towarzyskiej, do której należysz.

Umilkł, zobaczywszy że żona splotła znów ręce na karku i przestała na niego patrzeć.

— To jasne jak na dłoni — zaczął znowu. — Obracaliśmy się wśród najwybitniejszych ludzi — a ty odnosiłaś się do nich zawsze tak — tak negatywnie! Nie chciałaś nigdy uznać znaczenia osiągniętych zamierzeń ani też zdobytych stanowisk. Nie pamiętam, abyś kiedy wyraziła szczerzy podziw dla jakiejś pomyślnie przeprowadzonej akcji, politycznej czy też społecznej. Pytam się siebie, czego ty się właściwie mogłaś od życia spodziewać?

— Nie byłabym się nigdy spodziewała, że usłyszę z twoich ust taką przemowę. A jeśli chodzi o to, czego się spodziewałam... Byłam widać bardzo głupia.

— Nie, tego w żadnym razie nie można o tobie powiedzieć — oświadczył sumiennie pan Travers. — To nie jest głupota. — Zastanowił się przez chwilę. — Zdaje mi się, że to jest coś w rodzaju samowoli. Wolałem zawsze nie myśleć o tej bolesnej różnicy dzielącej nasze poglądy, której — jak mi to przyznasz — nie mogłem się spodziewać przed naszym...

Coś nakształt uroczystego zakłopotania ogarnęło pana Traversa. Pani Travers, oparłszy brodę na dłoni, wpatrywała się w pustą, oszalowaną ścianę szałasów.

— Czy zarzucasz mi przebiegłość i kobiecy fałsz? — spytała bardzo cicho.

Duszne gorąco przepełniało mały domek, gorąco przesycone lekkim zapachem perfum, który zdawał się

wydziać z gąszczu rozpuszczonych włosów pani Travers. Jej mąż pominął milczeniem to wyraźne zapytanie, które uderzyło go brakiem subtelności, zatrącającym wprost o niestosowność.

— Przypuszczam, że w owym czasie nie władałem w pełni swoją przenikliwością i sądem — rzekł. — Mój — mój zmysł krytyczny nie działał wówczas — przyznawał w dalszym ciągu; ale nawet zaszedłszy tak daleko nie podniósł oczu na żonę, i dlatego nie dojrzał jak gdyby cienia uśmiechu na ustach pani Travers. Ten uśmiech był zabarwiony sceptycyzmem tkwiącym za głęboko, aby się wyraźniej objawić. Dlatego też pani Travers nie odezwała się wcale, a jej mąż ciągnął dalej, jakby głośno myśląc:

— Twoje postępowanie było oczywiście ponad wszelkie zarzuty, ale wyrobiłaś sobie nieznośną opinię kobiety o wyższym umyśle, zaznaczającej tę swoją wyższość w sposób ironiczny. Wzbudzałaś niedowierzanie w najlepszych ludziach. Nigdy nie byłaś popularna.

— Byłam znudzona — szepnęła pani Travers, rozmyślając z brodą opartą na dłoni.

Pan Travers podniósł się niespodzianie z żeglarskiej skrzyni, jak ugryziony przez osę, lecz oczywiście znacznie wolniej i bardziej uroczyście.

— Co się tyczy ciebie, moja Edyto, to w gruncie rzeczy jesteś najzupełniej pierwotna. — Pani Travers powstała również giętkim, swobodnym ruchem, i podniósłszy ręce do włosów, odwróciła się nawpół, mówiąc w zamyśleniu:

— Niedość ucywilizowana.

— Niedość karna — poprawił pan Travers po chwili ponurej medytacji.

Ręce jej opadły, zwróciła głowę ku niemu. — Nie,



tego nie mów — zaprzeczyła z dziwną powagą. — Jestem chyba najkarniejszą istotą na świecie. I mam ochotę ci powiedzieć, że moja karność nie doprowadziła mnie do niczego: zabiłam tylko samą siebie. Zresztą przypuszczam, że nie zrozumiesz o co mi chodzi.

Pan Travers skrzywił się zlekka, patrząc w podłogę.

— Nie będę nawet usiłował zrozumieć — rzekł. — To wygląda, jakby to powiedział barbarzyńca, nienawidzący skomplikowanych subtelności i hamulców szlachetniejszego życia. Uderza mnie to w twoich ustach jako rozmyślny brak gustu... Nieraz się twoim gustom dziwiłem. Lubiłaś zawsze skrajne opinie, egzotyczne szaty, awanturnicze typy, romantyczne osobistości, jak d'Alcacer...

— Biedny d'Alcacer — szepnęła pani Travers.

— Człowiek, który nie ma wyobrażenia co to jest obowiązek i użyteczność — rzekł kwaśno pan Travers. — Dlaczego się nad nim litujesz?

— Dlaczego? Ponieważ znalazł się w tem położeniu z powodu swej dobroci. Nie mógł się niczego dla siebie spodziewać, przyjmując nasze zaproszenie — żadnych korzyści dla swych politycznych ambicij lub czegoś w tym rodzaju. Sądzę że zaprosiłeś go na statek, aby przerwać nasze *tête-à-tête*, które widać zaczęło cię nużyć.

— Nie nudzę się nigdy — oświadczył pan Travers. — Zdawało mi się, że d'Alcacer przyjął chętnie moje zaproszenie. A ponieważ jest Hiszpanem, więc z pewnością nic sobie nie robi z tej okropnej straty czasu.

— Straty czasu! — powtórzyła z oburzeniem pani Travers. — Może przyjdzie mu jeszcze zapłacić życiem za swoją dobroć.

Pan Travers nie umiał powstrzymać gniewnego ruchu.

— Ach! Zapomniałem, że wychodzisz z tego założenia — rzekł przez zaciśnięte zęby. — On jest tylko Hiszpanem. Odnosi się do tego śmiesznego spisku z zupełną nonszalancją. Upadłe rasy mają swoją własną filozofję.

— Zachowuje się z właściwą sobie godnością.

— Nie wiem co nazywasz jego godnością. Jabym to nazwał brakiem szacunku dla samego siebie.

— Dlaczego? Czy dlatego, że jest spokojny i pełen kurtuazji, i nie ujawnia swego zdania? I pozwól sobie powiedzieć, mój Marcynie, że ty nieszczególnie znosisz wszystkie nasze kłopoty.

— Nie możesz się po mnie spodziewać tych cudzoziemskich afektacyj. Nie jestem przyzwyczajony bawić się w kompromisy ze swemi uczuciami.

Pani Travers odwróciła się i stanęła nawprost męża.

— Dąsas się — rzekła.

Pan Travers targnął zlekka głowę w tył, jakby przepuszczając mimo siebie to słowo.

— Jestem oburzony — oświadczył.

Pani Travers odczuła w tych słowach coś w rodzaju prawdziwego cierpienia.

— Zapewniam cię — rzekła poważnie (gdyż była zdolną do litości) — zapewniam cię, że ten dziwny Lingard nie ma pojęcia o twojem znaczeniu w świecie. Nie wie nic o twej pozycji socjalnej i politycznej, a jeszcze mniej o tych wielkich ambicjach.

Pan Travers słuchał z pewnem zainteresowaniem.

— A nie mogłaś mu tego wyjaśnić? — zapytał.

— Nie byłoby się to na nic przydało; on jest zajęty swoją własną sytuacją i swoim własnym poczuciem siły. Pochodzi z niższej klasy...

— Jest chamem — rzekł uporczywie pan Travers, i przez chwilę tych dwoje spoglądało sobie w oczy.

— Ach — rzekła zwolna pani Travers — postanowiłam nie wchodzić w kompromis ze swemi uczuciami! — Odcień pogardy przebijał z jej głosu. — Ale czy ci powieździeć, co o tem myślę? Myślę — tu przybliżyła nieco głowę do bladej, nieogolonej twarzy, patrzącej prosto w jej ciemne oczy — myślę, że mimo swej całej ślepej pogardy oceniasz tego człowieka dość trafnie i czujesz, że z zupełnem bezpieczeństwem możesz sobie pozwalać na oburzenie. Słyszysz? z zupełnem bezpieczeństwem!

Natychmiast po wymówieniu tych słów, już ich pożałowała. Zaiste, nie było rozsądnem przejmować się różnemi wybrykami pana Traversa — przejmować się niemi więcej w tem oto miejscu Wschodniego archipelagu, pełnem tajnych knozań i sprzecznych pobudek, niż w bardziej sztucznej atmosferze miasta. Przecież ostatecznie chciała tylko ocalić mu życie, nie zaś doprowadzić go do zrozumienia czegokolwiek. Pan Travers otworzył usta i zamknął je znów bez słowa. Jego żona zwróciła się do lustra wiszącego na ścianie. Usłyszała za sobą głos męża.

— Edyto, gdzież jest prawda w tem wszystkim?

Odczuła w tych słowach udrękę tępego umysłu lękającego się instynktownie niejasności, nasuwających możliwość nowych odkryć. Spojrzała przez ramię i odrzekła:

— Zapewniam cię, że prawda jest na wierzchu. Na samym wierzchu.

Zwróciła się do lustra, gdzie napotkała swoją twarz o ciemnych oczach, z jasną mgłą włosów nad gładkiem czołem. Lecz słowa jej łagodzącego skutku nie wywarły.

— Ale cóż to wszystko ma znaczyć? — zawołał

pan Travers. — Dlaczego ten człowiek nie usprawiedliwia się przede mną? Dlaczego nas tu trzymają? I czy nas tu trzymają? Dlaczego stąd nie odjeżdżamy? Dlaczego on mnie nie odwozi z powrotem na mój jacht? Czego on chce ode mnie? Jakim sposobem uzyskał nasze uwolnienie od tych ludzi na brzegu, którzy, jak twierdzi, chcieli poderżnąć nam gardła? Czemu tego nie zrobili i wydali nas w jego ręce?

Pani Travers zaczęła upinać włosy.

— To są wszystko kwestje wyższej dyplomacji i miejscowej polityki. Konflikt interesów osobistych, brak zaufania między partjami, intrygi poszczególnych jednostek — powinieneś wiedzieć, jak to się w takich rzeczach odbywa. Jego dyplomacja gra na tych wszystkich czynnikach. Rzeczą, która nasuwała się przedewszystkiem, nie było przywrócenie ci wolności; mógł tylko wziąć cię pod swoją opiekę. On jest tutaj bardzo wybitnym człowiekiem; i pozwól sobie powiedzieć, że twoje bezpieczeństwo zależy od jego zręczności w wyzyskaniu raczej swego nazwiska niż siły, której użyć nie może. Gdybyś mu pozwolił z sobą porozmawiać, jestem pewna że powiedziałałby ci tyle, ileby tylko mógł ci powiedzieć.

— Nie życzę sobie, aby mi opowiadał o swoich lajdactwach. Ale czyż się tobie nie zwierzył?

— Ze wszystkiego — przyznała pani Travers, zaglądając do małego lusterka.

— Jakiegoż wpływu użyłaś na tego człowieka? Wydaje mi się, że nasz los jest w twoich rękach.

— Wasz los nie jest w moich rękach. I nawet nie w jego rękach. Jest tutaj pewna moralna sytuacja, z której należy znaleźć wyjście.

— Etyka zdzierców — objaśnił pan Travers z nie-

spodzianem szyderstwem. Jego zonie mignęło przez myśl, że może nie zna go tak dobrze jak przypuszczała. Wyglądało to, jakby gładka i uroczysta skorupa nieugiętego konwencjonalizmu popękała zlekka tu i tam pod wpływem wielkiego napięcia, odsłaniając omylność zwykłego śmiertelnika. Ale zarysowała się tylko zewnętrzna powłoka pana Traversa; zdumiewająca głupota jego pychy pozostała nietknięta. Pani Travers przyszło na myśl, że dyskusja zupełnie jest bezcelowa. Rzekła, kończąc upinanie włosów:

— Zdaje mi się, że trzeba wyjść teraz na pokład.

— Masz zamiar wyjść tak na pokład? — mruknął pan Travers ze spuszczonej oczami.

— W tem ubraniu? Naturalnie. Nie jest to już nic nowego. Któż się ma tem zgorzyć?

Pan Travers nie odrzekł nic. To, co mu powiedziała o jego zachowaniu, było bardzo prawdziwe. Dąsał się na ludzi, którzy drażnili go niezmiernie, zarówno jak rzeczy i wypadki; drażniły go słowa i nawet spojrzenia, które zdawał się odczuwać na skórze fizycznie jak ból, jak poniżające dotknięcie. Opanował się o tyle, że się nie wzdrygał. Ale dąsał się wciąż. Żona jego ciągnęła dalej.

— I pozwól sobie powiedzieć, że te suknie są godne księżniczki — to znaczy że obyczaj ustalił ich gatunek, rodzaj materiału i krój dla władczyń w tym kraju — dalekim kraju, gdzie — jak mi mówiono — kobiety rządzą narówni z mężczyznami. I rzeczywiście suknie te są przeznaczone na dar dla prawdziwej księżniczki, gdy przyjdzie na to czas. Zostały wybrane z największą troskliwością dla tego dziecka — Immady. Kapitan Lingard..

Pan Travers wydał nieartykułowany dźwięk, coś pośredniego między jękiem a pomrukiem.

— Muszę go przecież jakoś nazywać i przypuszczam, że ta nazwa będzie ci najmniej przykrą do zniesienia. Koniec końców przecież ten człowiek istnieje. Ale znany jest także na pewnym obszarze kuli ziemskiej jako Król Tom. D'Alcacerowi ogromnie się podobała ta nazwa. Wydaje mu się przedziwnie zastosowaną do tego człowieka przez swą poufałość i szacunek. I jeśli wolisz...

— Wolałbym wcale o tem nie słyszeć — powiedział wyraźnie pan Travers. — Ani słowa. Nawet od ciebie, póki znów wolnym nie będę. Ale słowa mnie nie dotykają. Nic mnie dotknąć nie może; ani twoje ponure ostrzeżenia, ani płochy nastroje, które uznajesz za właściwe roztaczać przede mną, choć według ciebie życie moje wisi na włosku.

— Nie zapominam o tem ani na chwilę — odrzekła pani Travers. — I nietylko wiem, że twoje życie wisi na włosku, ale zdaję sobie sprawę z wytrzymałości tego włoska. To włoszek zdumiewający! Moznaby powiedzieć, że został stworzony przez ten sam los, który uczynił z ciebie to czem jesteś.

Pan Travers czuł się strasznie obrażony. Nie słyszał jeszcze nigdy aby się zwracano w podobny sposób — nietylko do niego, ale wogóle do kogokolwiek. Ów ton zdawał się poprostu podawać w wątpliwość jego charakter. Zgorszony pan Travers uświadomił sobie ze zdumieniem, że żył z tą kobietą przez osiem lat! Rzekł do niej ponuro:

— Mówisz jak poganka.

Był to bardzo surowy wyrok, którego pani Travers prawdopodobnie nie dosłyszała, bo ciągnęła dalej z ożywieniem:

— Ale doprawdy nie możesz się po mnie spo-

dziewać, że będę o tem przez cały dzień rozmyślała, albo że zamknę się tutaj aby rozpaczać nad tem wszystkim od rana do nocy. To byłoby chorobliwe. Chodźmy na pokład.

— I wyglądasz w tym kostjumie wprost po pogańsku — ciągnął pan Travers z umyślnym wstrętem, jakby mu wcale nie przerywała.

Pani Travers było ciężko na sercu, ale wszystko co jej mąż mówił zdawało się sprowadzać gwałtem lekkomyślny ton na jej usta.

— O ile tylko nie wyglądam na straszdyło — zauważyła niedbale i pochwyciła w tej chwili kierunek jego ponurego spojrzenia, które spoczywało na jej nagich stopach. Umilkła na chwilę. — Ach tak, jeśli wolisz to włożę pończochy. Ale widzisz, muszę o nie bardzo dbać. To jedna jedyna para, jaką tu mam. Uprałam je dziś rano w tej łazience, która stoi na rufie. Suszą się tu niedaleko na poręczy. Może zechcesz mi je przynieść, gdy wyjdiesz na pokład.

Pan Travers zawrócił na pięcie i wyszedł bez słowa. Pani Travers przycisnęła natychmiast ręce do skroni rozpaczliwym ruchem, który przyniósł jej ulgę swą szczerością. Miarowe stąpanie dwóch mężczyzn dochodziło do niej wyraźnie z pokładu, rytmiczne i podwójne, nasuwając obraz spokojnego i przyjaznego obcowania. Słyszała ze szczególną wyrazistością kroki człowieka, którego orbita była najbardziej odległą od jej własnej. A jednak się przecięły! Przed kilku dniami nie potrafiłaby nawet wyobrazić sobie jego istnienia, a teraz był to człowiek, którego kroki — tak jej się zdawało — poznałaby niechybnie wśród stąpania tłumu. To doprawdy rzecz niesłychana. W półmroku swego nagrzanego

schronienia Edyta czekała aż niepewny, lękliwy uśmiech zejdzie z jej ust, zanim wyszła także na pokład.

## II

Pomysłowo zbudowany szkielet z cienkich słupów i krokwi zajmował większą część pokładu na śródokręciu. Cztery ściany tej lekkiej budowli — względnie dosyć wysokiej — zrobione były z muślinu. Skomplikowany system firanek osłaniał coś w rodzaju drzwi z cieniutkich deszczulek obciągniętych perkalem. System ów został obmyślony aby udaremnić pościg moskitów, które nawiedzały wybrzeże laguny w wielkich, śpiewnych chmarach od zachodu aż do świtu. Pokład był zasłany cienkimi matami w obrębie przejrzystego schronienia, które Lingard i Jörgenson wymyślili by umożliwić życie pani Travers podczas tego okresu, gdy nietylko los Traversa i d'Alcadera musiał pozostać w zawieszeniu, lecz przypuszczalnie i wszystkich innych osób na pokładzie *Emmy*. Nieproszeni i złowrodzy goście Lingarda nauczyli się bardzo szybko sztuki, polegającej na prędkim wchodzeniu do osłoniętego miejsca i równie szybkim wymykaniu się. D'Alcacer robił to bez widocznego pośpiechu, prawie niedbale, lecz równie dobrze jak wszyscy inni. Przyznawano ogólnie, że nie wpuścił nigdy ani jednego moskita. Pan Travers wkładał się i wykradał bez wdzięku, i był widać mocno tą koniecznością zirytowany. Pani Travers robiła to bardzo indywidualnie, z wielką zręcznością, jakby nie zdając sobie z tego sprawy. W środku owego schronienia stał zaimprovizowany stół i kilka foteli plecionych z wikliny, wydobytych przez Jörgensona z głębi statku. Trudno było powiedzieć, czego wewnątrz *Emmy* nie



zawierało. Wypełnione było przeróżnemi towarami jak bazar. Ten stary kadłub stanowił arsenał i skarb wojenny — fundamenty politycznej akcji Lingarda; były tam zapasy muszkietów i prochu; bale płótna, perkalków w desenie i jedwabi leżały obok worków ryżu i mosiężnych strzelb, zastępujących obiegową monetę. *Emma* zawierała wszystko, co było potrzebne aby zadawać śmierć i przekupywać krajowców; aby oddziaływać na ludzką chciwość i trwogę; aby owładnąć zbrojnie krajem i zorganizować go potem; aby żywić sprzymierzeńców i zwalczać wrogów sprawy. Bogactwo i potęgę mieścił w swem łonie ten statek osiadły na brzegu, nie mający już nigdy popłynąć — statek bez masztów, którego najlepsza część pokładu była zastawiona dwiema budowlami — jedną z cienkich desek i drugą z przejrzystego muślinu.

W środku tej ostatniej mieszkali Europejczycy; Malaje na statku widzieli ich za dnia jak przez biały opar. Wieczorem, z chwilą zapalenia latarni, Europejczycy zamieniali się w ciemne widma otoczone jaśniejącą mgłą; najście owadzich zastępów, wypadających milionami z nadbrzeżnego lasu, było w tajemniczy sposób udaremnione. Zamknięci surowo w przejrzystych ścianach, niby uwięzieni wśród zaczarowanej pajęczyny, Europejczycy przechadzali się, siedzieli, gestykulowali i rozprawiali za dnia w oczach Malajów; a nocą, gdy wszystkie latarnie prócz jednej były zgaszone, postacie ich — śpiące pod białemi prześcieradłami na polowych łóżkach rozkładanych co wieczór — nasuwały straszną myśl, że to są martwe ciała spoczywające na noszach. Jedzenie — takie jakie tam można było mieć — podawano wewnątrz tej olbrzymiej siatki od moskitów, którą wszyscy nazywali „klatką“ bez żadnej żartobliwej intencji. W czasie jedzenia Lingard towarzyszył zawsze państwu Travers

i d'Alcacerowi; przywiązywał do tej próby znaczenie obowiązku, składanego na ołtarzu uprzejmości i pojednania. Nie mógł mieć pojęcia, jak dalece jego obecność rozjątrzała pana Traversa; zachowanie tego ostatniego było zanadto konsekwentne aby się różnić w odcieniach. Pan Travers żywił niezbite przekonanie, że padł ofiarą podejścia; że jakiś nadzwyczajny i okrutny bandyta naznaczył na niego okup o niepojętych warunkach. To przekonanie, ugruntowane niezłomnie, nie opuszczało go ani na chwilę; było przedmiotem jego rozpamiętywań pełnych oburzenia i nawet ujawniało się niejako w jego wyglądzie. Czało się w oczach, gestach, nieuprzejmych pomrukach i posępnem milczeniu. Wstrząs moralny, któremu uległ, nadwreżył wkońcu jego organizm. Pan Travers odczuwał bóle w wątrobie, miewał napady senności i tłumione porwy wściekłego gniewu, które niepokoiły go skrycie. Cera jego przybrała żółty odcień, a ociążałe oczy nabiegły krwią od dymu z ognisk, palących się na dworze wewnątrz ostrokołu Belaraba, gdzie trzymano Traversa w ciągu trzech dni. Oczy jego były zawsze bardzo wrażliwe na zewnętrzne warunki. Piękne, czarne oczy d'Alcacera lepiej to wytrzymały, a powierzchowność jego nie różniła się zbyttnio od zwykłego wyglądu. Przyjął z uśmiechem i podziękowaniem granatową kurtkę z cienkiej flaneli, ofiarowaną mu przez Jörgensona. Obaj mieli mniej więcej taką samą postawę, choć oczywiście d'Alcacer o żywym i spokojnem obejściu, o bystrym umyśle, nie przypominał niczem Jörgensona, który — nie będąc dosłownie *macabre* — zachowywał się raczej jak obojętny lecz niespokojny trup. Nie można było powiedzieć, aby ci dwaj ludzie kiedykolwiek z sobą rozmawiali. Konwersacja z Jörgen-

sonem była rzeczą niemożliwą. Nawet Lingard nigdy się na to nie porywał. Zadawał Jörgensonowi pytania, niby mag rozpytujący wywołanego ducha, albo dawał mu krótkie wskazówki, jakby się posługiwał jakimś cudownym automatem. I widać ten sposób traktowania odpowiadał Jörgensonowi najbardziej. Prawdziwym towarzyszem Lingarda na pokładzie *Emmy* był d'Alcacer. D'Alcacer odniósł się do Lingarda ze swobodą człowieka przyzwyczajonego przez całe życie do dobrego towarzystwa, w którym nawet udawanie musi mieć cechy swobody. Może d'Alcacer umiał tak dobrze udawać, może to było zgodne z jego naturą, lub też podyktowane przez dyskrecję, lecz nie pozwolił nigdy aby najłżejsze zaciekawienie odbiło się w jego gładkiej, poważnej, zawsze równej uprzejmości, rozjaśnianej przez lekkie uśmiechy, które często nie miały ścisłego związku z jego słowami, lecz zaprawiały je dobrocią i jakby taktem. Ale treść tych słów była zawsze ściśle neutralna.

Lingard odkrył jeden jedyny raz w d'Alcacerze coś w rodzaju głębszego oddźwięku; było to nazajutrz po długich rokowaniach wewnątrz ostrokołu Belaraba, mających na celu czasowe wydanie jeńców. Lingard powziął myśl prowadzenia tych rokowań — jak to pani Travers powiedziała najdokładniej mężowi — z powodu rywalizacji między partjami, a także ze względu na ogólny stan umysłów w osadzie pozbawionej obecności człowieka, który był nominalnym władcą Wybrzeża Zbiegów i — przynajmniej w teorii — stanowił tam największą siłę. Belarab przebywał wciąż u grobu ojca. Trudno było powiedzieć, czy ten człowiek o sercu zgorzkniałem i tęskniącym do pokoju usunął się, aby rozmyślać nad ludzką niesfornością i niewdzięczną naturą swego zadania, czy też udał się tam poprostu

aby się kąpać w niezmiernie przejrzystej sadzawce, osobliwości tego miejsca, rozkoszować się pewnymi owocami, rosnącymi tam w obfitości, i pogrążyć się na jakiś czas w drobiazgowem wykonywaniu ćwiczeń religijnych; ale tak czy owak nieobecność jego w osadzie była faktem pierwszorzędnej wagi. Prawda, że urok długich, bezspornych rządów władcy wciąż działał; ludność zżyła się z niemi oddawna i właśnie dlatego zabrano więźniów odrazu do ostrokołu Belaraba, uznając to za rzecz naturalną. Belarab, choć nieobecny, zawsze jeszcze był silniejszy od obecnego w osadzie Tenggi, którego tajne zamysły nie były lepiej znane, który był jowialny, gadatliwy, otwarty i wojowniczy; nie miał jednak sławy Bożego sługi, znanego z miłosierdzia i skrupulatności w wykonywaniu praktyk religijnych; nie był też synem ojca słynącego ze świętości na całą okolicę. Lecz Belarab, otoczony chwałą ascetyzmu i melancholiji, a zarazem mający reputację człowieka wielce surowego (bowiem mąż tak pobożny musi być oczywiście bezlitosnym), Belarab przebywał poza osadą. Jedyłą pomyslną stroną jego nieobecności było to, że zabrał z sobą niedawno zaślubioną żonę, ową młodą osobę, o której Jørgenson wspominał w liście do Lingarda, iż zależy jej na wywołaniu bitwy, morderstw i grabieży jachtu; nie powodowała nią jednak wrodzona zatwardziałość serca, tylko poprostu chęć posiadania jedwabi, drogich kamieni oraz innych przedmiotów służących ku ozdobie — chęć bardzo naturalna w kobiecie tak młodej i wyniesionej na tak wysokie stanowisko. Belarab wybrał ją za towarzyszkę swej samotności i Lingard był temu rad. Nie obawiał się jej wpływu na Belaraba. Znał swego człowieka. Żadne słowa, przymilania się, dąsy, urągania czy podszepty

faworyty nie mogły wpłynąć na chwiejność tego Araba, którego czyn zdawał się zawsze trwać w mistycznym zawieszeniu wśród sprzecznych rozważań i opinii miotających jego wolą. Lingard nie obawiał się wcale jakiegos nagłego czynu Belaraba lub jego powolnej decyzji. Niebezpieczeństwo leżało w milczącym niezdecydowaniu władcy, które miało coś beznadziejnie boskiego w swym odległym spokoju, i groziło tem, że Belarab nic wogóle nie zrobi i pozostawi białego przyjaciela samego wobec niesfornych porywów ludu; przeciw tym zaś Lingard nie miał innych środków walki prócz siły, której użyć nie śmiał, ponieważ oznaczałoby to zniszczenie jego planów i upadek wszelkich nadziei — a co gorsza wyglądałoby na zdradę w stosunku do Immady i Hassima, zbiegów wyrwanych z objęć śmierci w burzliwą noc; obiecał przecież wprowadzić ich w tryumfie z powrotem do ojczyzny, którą ujrzał raz jeden śpiącą kamiennym snem pod gniewem i ogniami niebios.

Popołudniu tego samego dnia, kiedy Lingard przybył z panią Travers na pokład *Emmy* — co tak bardzo zgorszyło Jörgensona — pani Travers wypoczęła przez parę godzin, poczem Lingard miał z nią długą, płomienną i męczącą rozmowę. Ze względu na przedmiot rozmowa ta nie mogła być wyczerpująca, lecz ku jej końcowi czuli się oboje doszczętnie wyczerpani. Pani Travers nie trzeba już było informować o różnych faktach i możliwościach. Zdawała sobie z nich sprawę aż nadto dobrze i nie do niej należało udzielać rad lub przekonywać. Nie proszono jej o rozstrzygnięcie lub argumentację. Wypadki posunęły się już zadaleko. Ale czuła się wyczerpana śledzeniem namiętnej walki w wielkiej duszy tego człowieka, który był tak straszliwie

bezwzględny, a jednocześnie z taką surowością panował nad płomiennem swem sercem. Pochłonięta tem widowiskiem, zapomniała o kwestjach mających się rozstrzygnąć. Nie działo się to na scenie, a jednak raz się spostrzegła, że się wpatruje w Lingarda z zaptartym oddechem — jak w znakomitego aktora, grającego na przyćmionej widowni w jakimś prostym i potężnym dramacie. Siły, które zdawały się targać jego prostym umysłem, jego szczerem sercem, wywołały w niej oddźwięk bezpośredni. Wstrząsnął nią przez swoją walkę, przeniknął ją swem wzruszeniem, narzucił jej swą indywidualność, jakby jego tragedia była jedyną rzeczą godną uwagi. A jednak cóż pani Travers miała wspólnego z tem wszystkim — z temi niejasnemi i barbarzyńskimi sprawami? Nic, oczywiście. Została na nieść szczęście świadkiem namiętnej rozterki tego człowieka i pozyskała jego zaufanie, snąc wzbudzone jedynie przez siłę jej indywidualności. Pochlebiało jej to, a nawet była tem wzruszona; czuła dla Lingarda pewnego rodzaju wdzięczność, łączyło ich coś nakształt porozumienia — jak równe sobie istoty, które pokryjomu uznały nawzajem swą wartość. A jednak żałowała jednocześnie, że nie pozostawiono jej w nieświadomości — w nieświadomości zupełnej, jak Traversa i d'Alcatera — choć co się tyczyło tego ostatniego, nigdy nie można było wiedzieć, ile dokładnej, niepojętej, intuicyjnej wiedzy kryje jego gładkie obejście.

D'Alcacer należał do tego rodzaju ludzi, których możnaby podejrzewać raczej o wszystko w świecie niż o nieświadomość — lub głupotę. Nie mógł naturalnie wiedzieć nic określonego, lub nawet domyślać się czegoś z ogólnego przebiegu wypadków, lecz widać wyczuł całą sytuację, obcując przez tych kilka dni z Lin-

gardem. Był przenikliwym i współczującym obserwatorem, mimo swego tajnego oddalenia od życia — oddalenia różniącego się zasadniczo od skrytego rozbratu Jörgensona z ziemskimi namiętnościami. Pani Travers byłaby się chętnie podzieliła z d'Alcacerem ciężarem (gdyż był to ciężar) opowieści Lingarda. Ostatecznie przecież nie ona wywołała jego zwierzenia, i ten morski awanturnik, który zjawił się niespodzianie, nie zobowiązał jej do tajemnicy — nawet przez najdalszą aluzję. Nie mówił wcale, że pani Travers jest *jedyną* osobą, której powierza tę historję.

Nie. Powiedział tylko, że pani Travers jest *jedyną* osobą, której *może* tę historję opowiedzieć, jakby nikt inny na świecie nie miał władzy wydobycia z niego tych zwierzeń. Tylko tak należało to rozumieć. Zaiste, pani Travers ulżyłoby niezmiernie, gdyby mogła wszystko d'Alcacerowi powtórzyć. Przyniosłoby to ulgę jej poczuciu, że jest odcięta od świata razem z Lingardem — jak w czterech ścianach romantycznego pałacu, wśród egzotycznej atmosfery. I ulżyłoby to jej pod innym jeszcze względem: podzieliłaby się odpowiedzialnością z kimś zdolnym do zrozumienia sytuacji. A jednak wzdragała się przed tem zwierzeniem wskutek niepojętej powściągliwości — jakby mówiąc o Lingardzie z d'Alcacerem, pozwalała tem samem zajrzeć do własnej duszy. Przejmował ją niepokój nieuchwytny a jednak tak uporczywy, że odczuwała go także, gdy wobec d'Alcacera musiała do Lingarda się zbliżyć i z nim rozmawiać. D'Alcacerowi nie śniło się nawet im przypatrywać lub choćby spoglądać w ich stronę. Ale dlaczego odwracał oczy — czy nie robił tego umyślnie? To byłoby jeszcze przykrzejsze.

— Głupia jestem — szepnęła do siebie pani Tra-

vers z głębokiem i kojącem przekonaniem. Mimo to jednak czekała u drzwi bez ruchu; kroki obu mężczyzn zatrzymały się obok domku, wreszcie rozdzieliły się, ucichły, i dopiero wtedy pani Travers wyszła na pokład — w jakiś czas po swym mężu. Jakby w rozmyślnej sprzeczności z ludzkimi konfliktami, wielki spokój ogarnął wszystko co widzialne. Pan Travers wszedł był do klatki; wyglądał rzeczywiście na więźnia i zdawał się być zupełnie nie na miejscu. D'Alcacer był tam również, ale postać jego zachowała — a może to było złudzenie? — pozór zupełnej swobody. Lecz wcale jej nie udawał. Siedział, podobnie jak pan Travers, w fotelu z wikliny, w analogicznej pozie, i również milczał, lecz w jego postawie był pewien subtelny odcień, który nie dopuszczał wcale myśli że jest uwięziony. Poza tem d'Alcacer miał ten szczególny dar, że w żadnem otoczeniu nigdy nieodpowiednio nie wyglądał. Namówiono panią Travers, aby dla oszczędzania swych europejskich trzewików nosiła skórzane sandały, wyjęte również z owej żeglarskiej skrzyni, znajdującej się w domku na pokładzie. Przymocowała je dodatkowym rzemieniem, ale nie mogła zapobiec aby zlekka nie stukały, gdy chodziła po pokładzie. Żadna część jej stroju nie dawała jej tak wyraźnego poczucia egzotyeczności. Z powodu tych sandałów musiała zmienić zwykły chód i posuwać się krótkimi, szybkimi krokami w sposób bardzo podobny do Im-mady. „Ograbiam tę dziewczynę z jej strojów“ — rzekła do siebie w myśli, „poza wszystkiem innym“. W owym czasie zdawała już sobie sprawę, że dziewczę z tak wysokiego rodu nie mogłoby nawet pomyśleć o wdzianiu sukien, które inna kobieta miała na sobie.

Usłyszawszy lekki stuk sandałów pani Travers,



d'Alcacer spojrział przez oparcie krzesła. Ale odwrócił się natychmiast, a Edyta oparła się o poręcz i złożyła głowę na dłoni, spoglądając leniwie ponad gładką powierzchnię laguny.

Była zwrócona plecami do klatki, przedniej części pokładu i skraju najbliższego lasu. Tak blisko stała ta wielka gromada olbrzymich, krzepkich pni — ciemnych, chropawych kolumn obwieszonych wijącemi się pnączami i nurzających się w mroku, że pani Travers, spojrzawszy za burtę, mogła oglądać odwrócone w lustrzanym pasie wody, masywne, czarne odbicie lasu na tle odbitego nieba, które wydawało się jasną, błękitną przepaścią, widzialną przez przejrzystą błonę. A gdy podniosła oczy, ten sam przepaścisty bezruch zdawał się panować nad całą przestrzenią skąpanej w słońcu laguny, która była jednym z tajnych zakątków ziemi. Pani Travers czuła dotkliwie swoje osamotnienie. Wplątana w tę tajemnicę, odcięta tak zupełnie od istot sobie podobnych, robiła nawet na sobie samej wrażenie widziadła pozbawionego praw i obrony, skazanego na poddanie się wkońcu tym siłom, które się jej wydawały tylko wyrazem nieświadomego ducha tej miejscowości. Osamotnienie jej było niezmierne i przesycone napięciem wprost katastrofalnem. Otaczało Edytę, jakby wyodrębniając ją przez zamknięcie w zaczarowanym kole. Odgradzało ją od ludzi — ale jej nie chroniło. Kroki, które umiała rozpoznać wśród wszystkich innych na tym pokładzie, rozległy się nagle tuż za nią. Nie odwróciła głowy.

Od owego południa gdy panowie — jak ich Lingard nazywał — zostali przywiezieni na pokład, pani Travers i Lingard nie zamienili ani jednego ważkiego słowa.

Gdy Lingard postanowił rozpocząć układy o uwol-

nienie Traversa i d'Alcadera, Edyta spytała go, na czym opiera nadzieję powodzenia; odpowiedział jej: „Na mojem szczęściu“. Właściwie zaś liczył na swój *prestige*; ale nawet gdyby znał to wyrażenie, nie byłby go nigdy użył, ponieważ brzmiałoby jak przechwałka. A pozatem wierzył istotnie w swe szczęście. Żaden człowiek, biały czy ciemnoskóry, nie zwątpił nigdy o jego słowie i to dawało mu naturalnie wielką pewność siebie przy rozpoczęciu rokowań. Lecz ostateczny ich wynik zależał tylko od szczęścia. Powiedział to wyraźnie pani Travers w chwili gdy się z nią żegnał; Jörgenson czekał już w łodzi, która miała ich powieźć przez lagunę do ostrokołu Belaraba.

Edytę zaskoczyła decyzja Lingarda, którą powziął nagle i której dał wyraz w słowach: „sądzę że potrafię to zrobić“; złożyła rękę w silnej, otwartej dłoni, na której ktoś biegły w chiromancji byłby mógł się dopatrzeć linii nie mających nic wspólnego z linią szczęścia. Dłoń Lingarda objęła jej rękę i uściśnęła ją lekko. Edyta patrzyła na niego bez słowa. Czekał przez chwilę, a potem rzekł z bezwiedną czułością:

— Niechże mi pani życzy szczęścia.

Milczała. Trzymał wciąż jej rękę, zaskoczony jej wahaniem. Zdawało jej się że nie może go puścić, a on nie wiedział co rzec; wreszcie przyszło jej na myśl, że może użyć swej władzy, którą nad nim miała. Wypróbuje ją znowu.

— Jadę z panem — rzekła stanowczo. — Chyba pan sobie nie wyobraża, że mogłabym tu czekać w niepewności — może i kilka godzin.

Puścił nagle jej rękę, jak gdyby go oparzyła.

— Ach tak, naturalnie — mruknął zmieszany. Jeden z tamtych ludzi był przecież jej mężem! A po

takiej kobiecie należało się tego spodziewać. Nie mógł istotnie nic odpowiedzieć; ale pani Travers pomyślała, że się waha.

— Czy pan uważa że moja obecność wszystkoby popsuła? Niech mi pan wierzy, że mam też szczęście w swoim rodzaju. Przynajmniej w takim samym stopniu jak pan — dodała szeptem, uśmiechając się. Mruknął w odpowiedzi:

— O tak, jesteście dwojgiem szczęśliwych ludzi.

— Uważam to za szczęście, że napotkałam człowieka takiego jak pan; że właśnie pan prowadzi moją — naszą kampanję — rzekła gorąco. — Coby się stało, gdyby pan nie istniał? Pan musi pozwolić mi z sobą jechać!

Po raz drugi skłonił głowę wobec jej wyraźnego życzenia aby mu towarzyszyć. Ostatecznie gdyby nawet rzeczy obróciły się jaknajgorzej, byłaby równie bezpieczna między nim a Jörgensonem, jak sama na pokładzie *Emmy*, z kilku malajskimi włócznienikami za całą obronę. Lingardowi mignęło przez myśl, czyby nie wziąć pistoletów. Uważał zasadniczo, że na tę wielką rozprawę lepiej wyruszyć bez broni i wyjął je z za pasa przed zejściem do łodzi, gdzie Jörgenson czekał na niego. Pistolety leżały na burcie, ale ich jednak nie wziął. Cztery strzały nie mogły mieć żadnego znaczenia. Nie pomogłyby, gdyby świat przez niego stworzony miał rozpaść się w gruzy. Nic o tem pani Travers nie powiedział, natomiast zakrzętnął się, aby mogła zmienić swój wygląd. Wtedy to właśnie otworzył po raz pierwszy żeglarską skrzynię w domku na pokładzie, w obecności zaciekawionej pani Travers, która weszła tam za nim. Podał jej lekką, bawełnianą kurtkę malajską, zdobną w klamry wysadzane drogiemi

kamieniami, aby ją narzuciła na swą europejską suknię. Kurtka zasłoniła jachtowy kostjum do połowy. Pani Travers spełniała bez słowa polecenia Lingarda. Wyciągnął długą i szeroką szarfę z białego jedwabiu, obramowaną ciężkim haftem, i prosił aby nakryła nią głowę, układając końce w taki sposób by zasłonić całą twarz oprócz oczu.

— Znajdziemy się wśród tłumu mahometan — tłumaczył.

— Rozumiem. Pan chce abym wyglądała przyzwoicie — żartowała.

— Zapewniam panią — rzekł z powagą — że ci ludzie w ogromnej większości — a z pewnością wszyscy przywódcy — nie widzieli nigdy w życiu białej kobiety. Ale może pani woli inną szarfę? Jest ich trzy.

— Nie, ta mi się dosyć podoba. Wszystkie są wspaniałe. Widzę że pan zamierza wprowadzić z największym splendorem księżniczkę do jej ojczyzny. Jaki pan jest troskliwy, panie kapitanie! To dziecko będzie wzruszone pańską szczodrością... Czy tak dobrze?

— Dobrze — rzekł Lingard, odwracając oczy. Pani Travers zeszła za nim do łodzi, gdzie Malaje gapili się w milczeniu, a Jörgenson, sztywny i kanciasty, nie dawał znaku życia — nie poruszył nawet oczami. Lingard posadził panią Travers na tylnej ławce i siadł koło niej. Ogniste słońce pożarło wszystkie barwy. Łódź płynęła po jaskrawym blasku, kierując się ku skrawkowi koralowego wybrzeża, które jaśniało jak metalowy nów rozpalony do białości. Wysiedli. Jörgenson otworzył z powagą wielki perkalowy parasol nad głową pani Travers; szła naprzód w oszołomieniu między dwoma mężczyznami jak we śnie, utrzymując kontakt z ziemią tylko przez to, że po niej stąpała. Wszystko było ciche, puste, rozpalone do białości i fan-

tastyczne. Potem, gdy wrota ostrokołu się rozwarły pani Travers spostrzegła wyczekujący i nieruchomy tłum brunatnych postaci, udrapowanych w różnobarwne tkaniny. Ciżba ta zapełniała płaty cienia u stóp trzech wyniosłych drzew, pozostałych po wyrąbanym lesie — wśród prażonego przez słońce pustego obszaru spieklej ziemi. Szerokie ostrza włócznie, zdobnych w pęki czerwonego włosia, rzucały chłodne błyski pod rozpostartymi konarami. Na lewo grupa budowli na palach, domków o długich werandach i olbrzymich dachach, górowała wysoko w powietrzu nad głowami tłumu, zdając się pływać w blasku; budynki te wyglądały znacznie mniej masywnie niż padające od nich głębokie cienie. Lingard, wskazując jeden z najmniejszych domków, rzekł półgłosem: „Mieszkałem tam przez dwa tygodnie, gdy przyjechałem pierwszy raz do Belaraba“ — a pani Travers poczuła bardziej niż kiedykolwiek, że stąpa jak we śnie, spostrzegłszy za barjerą werandy dwie postacie — widzialne od stóp do głów — strzegące zamkniętych drzwi; postacie te były odziane w zbroje z żelaznej siatki i spiczaste hełmy stalowe ozdobione białymi i czarnymi piórami. Wysoka ława, okryta tureckiem suknem, stała wśród otwartej przestrzeni pod wielką szopą, gdzie odbywały się posłuchania. Lingard poprowadził tam panią Travers; Jörgenson, towarzyszący jej z drugiej strony, zamknął spokojnie parasol, a gdy usiadła między swymi towarzyszami, cały tłum przed nią opuścił się wraz na ziemię, odsłaniając w głębi dziedzińca samotną postać mężczyzny wspartego o gładki pień drzewa. Biała chusta na jego głowie była obwiązana żółtym sznurem. Spiczaste jej końce spadały na ramiona, okalając szczupłą, ciemną twarz o wielkich oczach; jedwabny płaszcz

w czarne i białe pasy spływał do stóp tego męża, który wyglądał w oddali wyniośle i tajemniczo, gdy tak stał wyprostowany niedbale, w pozie zdradzającej pewność siebie i siłę.

Lingard, pochyliwszy się zlekka, szepnął na ucho pani Travers, że ten człowiek na uboczu, górujący nad otoczeniem, to właśnie Daman, naczelny wódz Illanunów, ten sam który kazał porwać obu panów, prawdopodobnie aby zaszachować Lingarda. Te dwie barbarzyńskie, półnagie postacie — zdobne w ornamenty i talizmany, przykucnięte u jego nóg z głowami owiniętymi w czerwono-złote chusty, z prostymi mieczami wpoprzek kolan, to *pangeranowie*, którzy wykonali rozkaz i przywieźli jeńców na lagunę. Lecz owi dwaj ludzie w zbrojach, stojący na straży przed drzwiami małego domku, są żołnierzami z osobistej straży Belaraba i noszą taki strój tylko przy bardzo uroczystych okazjach. Jest to zewnętrzny i widomy znak, że jeńcy pozostają we władzy Belaraba, i ta okoliczność jest na razie pomyślna. Wielka szkoda że niema samego naczelnika. Rzekłszy to, Lingard przybrał ceremonjalną pozę, a pani Travers patrzyła wciąż na wielki dziedziniec i w pewnej chwili poczuła, że kręci jej się w głowie od niezliczonych twarzy, sterczących rzędami u jej nóg.

Wszelkich ruch w tłumie zamarł. Nawet oczy znieruchomiały pod pstrokacizną barwnych chust; a za otwartymi wrotami palma o szlachetnym zarysie wyglądała niezmiernie czarno na tle połyskliwej laguny i rozpalonej bladeści nieba. Pani Travers, patrząc w tę stronę, dziwiła się, że Hassim i Immada są nieobecni. Lecz dziewczyna była prawdopodobnie w jednym z domków razem z kobietami ze świty Belaraba. Wtem pani

Travers spostrzegła że przyniesiono drugą ławę, na której już zasiadło pięciu mężczyzn o okrągłych, poważnych twarzach; byli ubrani w jaskrawe jedwabie i haftowane aksamity. Ręce ich spoczywały na kolana; jeden z nich miał białą szatę a na głowie wielki, prawie czarny turban. Siedział, pochyliwszy się trochę naprzód, z brodą wspartą na dłoni; policzki jego były zapadnięte, a oczy wbite w ziemię, jakby nie chciał patrzeć na niewierną kobietę.

Edyta usłyszała nagle cichy szept i spojrzawszy na Lingarda, spostrzegła że słuchał z niewzruszoną uwagą. Ważne rokowania już były rozpoczęte i ciągnęły się dalej półgłosem, przedzielone długimi pauzami; wszyscy obecni siedzieli w kucki bez ruchu; nad całym zgromadzeniem górowała odległa postać Damana, stojącego w cieniu daleko w głębi dziedzińca. Pani Travers spostrzegła, że i on jest zupełnie nieruchomy, a wznoszące się zlekka i opadające szepty przenikały ją uczuciem spokoju.

Obawy pani Travers łagodził fakt, że nic nie mogła zrozumieć z toczących się obrad. Czasem zapadało milczenie i Lingard, nachylając się ku niej, szeptał: „Nie idzie łatwo“ — cisza zaś była tak głucha, że pani Travers słyszała trzepot gołębic skrzydeł gdzieś wysoko na wielkiem drzewie rzucającem cień. I nagle jeden z ludzi siedzących przed nią na piętach, nie poruszając się wcale, zaczynał nową przemowę, której tajemniczość podkreślał jeszcze zupełny brak gestów i gry twarzy. Tylko czujne oczy zdradzały, że przemowa nie jest monologiem ani głośną medytacją, lecz potokiem argumentów, przeznaczonych dla Lingarda, który raz po raz wypowiadał po kilka słów z wyrazem twarzy poważnym lub uśmiechniętym. Następo-

wały po nich zawsze szepty, wyglądające przeważnie na potakiwania; potem zapadało znowu milczenie pełne rozwagi i nieruchomość tłumu była jeszcze doskonalsza niż przedtem.

Gdy Lingard szepnął pani Travers, że teraz przyszła na niego kolej wygłoszenia przemowy, Edyta oczekiwała iż Lingard wstanie z miejsca i przybierze rozkazującą postawę. Ale nie zrobił tego. Siedział jak przedtem, tylko głos jego wibrował i rozchodził się władczo wśród ciszy, choć było widocznem, że Lingard usiłuje go powściągnąć. Mówił długo, a słońce wspinało się na niebo bez skazy, przesuwając zmniejszone cienie drzew i lejąc żar na głowy poprzez gęste i nieruchome listowie. Gdy z tłumu wznosiły się pomruki, Lingard się zatrzymywał i spoglądając nieustraszenie po obecnych, czekał aż się uciszą. Raz czy dwa pomruk wznosił się do głośnego gwaru, a pani Travers posłyszała, że z drugiej strony Jörgenson mruknął coś pod wąsem. Za rzędami głów Daman, stojący pod drzewem, skrzyżował ramiona na piersiach. Rąbek białej tkaniny zasłaniał mu czoło; u jego stóp dwaj illanuńscy wodzowie — półnadzy, obwieszeni talizmanami i ozdobami, strojni w jasne pióra, muszle, naszyjniki z zębów, szponów i połyskliwych paciorków — siedzieli, skrzyżowawszy nogi, z mieczami leżącymi na kolanach, jak dwa bóstwa z brązu. Nawet pióra w ich djademach tkwiły nieruchomo.

— *Sudah!* — Skończyło się! — Wszystkie głowy się poruszyły, a ciała zakołysały, siedząc. Lingard przestał mówić. Nie wstawał z miejsca jeszcze przez chwilę i rozglądał się po słuchaczach; a gdy podniósł się wraz z panią Travers i Jörgensonem, całe zgromadzenie powstało jednocześnie i regularny jego szyk się roz-



sypał. Kilku Malajów o szerokich twarzach, ze świty Belaraba — młodzików odzianych jakby w mundury z kraciastych sarongów, czarnych jedwabnych kurtek i czerwonych mycek włożonych zawadjacko na bakier — przemaszerowało dumnie wśród luźnych grup i ustawiło się w dwa rzędy przed nieruchomym Damaniem oraz dwoma illanuńskimi wodzami w wojennym rynsztunku. Członkowie rady powstali z ławki i zbliżyli się do białych z łagodnym uśmiechem i gestami pełnemi szacunku. Zachowanie ich było pojednawcze, tylko człowiek w wielkim turbanie pozostał nieubłaganie wyniosłym i utkwiał wzrok w ziemi.

— Zrobione — szepnął Lingard do pani Travers.

— Czy bardzo było trudno? — zapytała.

— Nie — odpowiedział, mając w głębi duszy świadomość, że w tej wielkiej rozprawie — która właściwie nic nie przesądziła, odsunęła tylko chwilę rozstrzygającą — wyzyskał do ostatecznych granic sławę swego dobrego imienia i ten zwyczaj szanowania najdrobniejszych jego życzeń, płynący z blasku jego bogactw i lęku przed jego osobą. Podał rękę pani Travers aby ją odprowadzić, ale zatrzymał się w ostatniej chwili.

Na rozkazujący gest Damana rozstąpiły się rzędy młodych dworzan Belaraba w czerwonych myckach i wódz skierował się ku białym, wprawiając w nieme zdumienie grupy rozsiane po dziedzińcu. Rozdzielone rzędy zamknęły się za nim. Dwaj illanuńscy wodzowie, mimo swego wrogiego wyglądu, byli o wiele za ostrożni by się poruszyć. Zbytecznym był cichy, ostrzegawczy szept Damana, zatrzymujący ich w miejscu. Daman szedł sam. Rękojeść zwykłego miecza sterczała między brzegami jego otwartego płaszcza. Z za pasa wyglądały dwa skałkowe pistolety. Koran w aksamitnej

pochewce wisiał u jego szyi na czerwonym jedwabnym sznurku. Daman wyglądał pobożnie, wspaniale i wojowniczo; ruchy miał spokojne i patrzył wprost przed siebie z pod rąbka zwykłej lnianej tkaniny okrywającej mu głowę. Trzymał się sztywno, a w jego obejściu było coś w rodzaju dostojnej skromności. Lingard rzekł śpiesznie do pani Travers, że człowiek ten spotykał się już przedtem z białymi i że gdyby chciał uścisnąć jej rękę, powinna mu ją podać zasłoniętą końcem szarfy.

— Dlaczego? — zapytała. — Ze względu na przyzwoitość?

— Tak będzie lepiej — rzekł Lingard, a już w następnej chwili pani Travers poczuła na swej obwiniętej dłoni lekki uścisk smukłych, ciemnych palców; doznała wrażenia, że jest nawskroś wschodnią kobietą, gdy z twarzą zasłoniętą aż po oczy spotkała się z błyszczącym, czarnem spojrzeniem wodza korsarzy. Trwało to tylko chwilę, bo Daman odwrócił się natychmiast, aby zamienić uścisk ręki z Lingardem. W prostych, luźnych fałdach swych szat wyglądał bardzo smukło, stojąc naprzeciw krzepkiego Europejczyka.

— Wielką jest twoja siła — rzekł ujmującym głosem. — Mają ci wydać białych ludzi.

— Tak, biali przechodzą pod moją opiekę — rzekł Lingard, odwzajemniając jasny uśmiech tamtego, lecz wyraz jego twarzy był zawzięty i groźna zmarszczka osiadła mu na czole z chwilą, gdy ujrzał zbliżającego się Damana. Spojrzał przez ramię na grupę włóczęgów, którzy zeszli ze schodów domku, eskortując obu jeńców. Na widok Damana, zagradzającego niejako drogę Lingardowi, włóczęgowie zatrzymali się w pewnym oddaleniu i otoczyli dwóch białych. Daman spojrzał też beznamiętnie w tamtą stronę.

— Byli moimi gośćmi — mruknął. — Dałby Bóg, abym wkrótce przybył zażądać ich od ciebie... jako przyjaciel — dodał po krótkiej przerwie.

— I daj Boże, abyś nie odszedł z pustemi rękoma — rzekł Lingard, a czoło jego się wypogodziło. — Przecież nie mieliśmy zamiaru spotykać się tylko po to, aby prowadzić kłótnię. Czy byłbyś wolał ich widzieć pod opieką Tenggi?

— Tengga jest tłusty i pełen podstępów — rzekł pogardliwie Daman — to tylko kupczyk, którego pozera pragnienie by stać się wodzem. On jest niczem. Ale ty i ja posiadamy siłę prawdziwą. Jest jednak pewna prawda, którą możemy powierzyć sobie nawzajem. Serca ludzi łatwo się zniechęcają. Posłuchaj. Przywódcy idą naprzód, wspierając się na swych stronnikach; lecz umysły pospolitych ludzi są niestałe, pragnienia zmienne, a myślom ich zawierzyć nie można. Mówią, że wielki wódz z ciebie. Nie zapominaj, że także wodzem i przywódcą zbrojnych mężów.

— Ja również słyszałem o tobie — rzekł Lingard spokojnym głosem.

Daman spuścił oczy. Nagle podniósł je i rozwarł szeroko; zaskoczyło to panią Travers.

— Więc słyszałeś. Ale czy to rozumiesz?

Pani Travers, wsparta lekko na ramieniu Lingarda, miała wrażenie, że gra w jakiejś wspaniale wystawionej sztuce na scenie oświetlonej jaskrawo — że to wszystko jest jakąś egzotyczną operą, której akompanjament stanowi nie muzyka, lecz wszechobecna cisza o rozmaitych tonach.

— Tak. Rozumiem to — odparł Lingard nadspodziewanie poufnym głosem. — Ale potęga jest także i w ręku wielkiego przywódcy.

Pani Travers śledziła lekkie falowanie nozdrzy Damana, świadczące niejako o sile wzruszeń, które przeżywał, a pod jej palcami ramię Lingarda w białym rękawie nawet nie drgnęło, jakby było z marmuru. Nie patrząc nań, czuła że jednym ruchem mogłby skruszyć nerwową postać wodza, w którym żyło tchnienie wielkiej pustyni, nawiedzanej przez koczowniczych jego przodków, jeżdżących na wielbłądach.

— Siła jest w ręku Boga — rzekł Daman i twarz jego powoli zastygła. Zatrzymał się, czekając na odpowiedź; Lingard odrzekł: „Tak jest zaiste“ — poczem Daman ciągnął dalej z subtelnym uśmiechem: — ale On obdziela siłą stosownie do swej woli, dla własnych celów — nawet tych, którzy prawdziwej wiary nie wyznają.

— Ponieważ taką jest wola Boga, nie powinienesz względum nich żywić w swem sercu goryczy.

Cichy okrzyk: „Względem nich!“ i lekki, pogardliwy ruch szczupłej, ciemnej ręki, wysuniętej z fałd płaszcza, były prawie że zrozumiałe dla pani Travers w swej doskonałej, melancholijnej wzgardzie; pozwoliły też Lingardowi wnikać głębiej w charakter sojusznika dostarczonego mu przez dyplomację Belaraba. Lingard czuł się tylko nawpół uspokojonym temi pozorami wyniosłości ducha. Liczył więcej na to, że Daman rozumie swój własny interes; gdyż Arab czekał niewątpliwie z upragnieniem na odebranie królestwa, po którym spodziewał się nagrody w zaszczytach i bogactwach. Jego ojciec i dziadek (Jörgenson wspominał o nich w liście, że przed dwunastu laty powieszono ich dla przykładu) byli przyjaciółmi sułtanów, doradcami władców, bogaczami, finansującymi wielkie wyprawy minionych czasów. Nienawiść uczyniła z Da-

mana własnowolnego wygnańca, póki dyplomatyczne zabiegi Belaraba nie wyciągnęły go z nieznaney i niewygodnej kryjówki.

W kilku słowach Lingard zapewnił Damana, że jego ludzie są w zupełnem bezpieczeństwie, o ile nie będą się starali owładnąć jachtem osiadłym na mieliźnie. Lingard rozumiał bardzo dobrze, że uwięzienie Traversa i d'Alcacera było wynikiem nagłego przestachu; posunięciem, które Daman uczynił aby zapewnić sobie bezpieczeństwo. Widok jachtu tkwiącego na rewie zachwiał zupełnie jego zaufaniem. Wyglądało to, jakby tajemnica tego miejsca została wydana. Ostatecznie wiara w białego człowieka była zapewne wielkiem szaleństwem, choćby się wydawało, że ten biały wziął zupełny rozbrat ze swymi współziomkami. Daman miał wrażenie, że padł ofiarą spisku. Bryg Lingarda wydawał mu się strasznem narzędziem walki. Nie wiedział co o tem wszystkim myśleć i chęć zdobycia zakładników była w gruncie rzeczy właściwą przyczyną pojmania dwóch białych. Daman pośpieszył oddać ich pod opiekę Belaraba, nie dowierzając dzi kim popędem swych stronników. Ale wszystko w osadzie wydawało mu się podejrzanem: zarówno nieobecność Belaraba, jak i odmowa Jörgensona, który nie zgodził się mu wydać odrazu obiecanych zapasów broni i amunicji. A teraz znowu ten biały wydostał zakładników od zastępców Belaraba jedynie siłą swej wymowy. Tak wielki wpływ napełnił Damana podziwem i przerażeniem. Ten długoletni samotnik, przebywający w najbardziej zatraconym zakątku archipelagu, czuł się omotanym przez intrygi. Lecz skądinąd przymierze z Lingardem było wielką rzeczą. Nie pragnął bynajmniej kłótni. Przyjął na razie chętnie za-

pewnienie białego, że nic nie grozi jego ludziom obozującym na rewach. Uważny, szczupły, zdawał się przyjmować w skupieniu rozważne słowa Lingarda. Siła tego wielkiego, nie uzbrojonego człowieka wyglądała na nieodpartą. Skłonił z wolna głowę.

— Allah jest naszą ucieczką — szepnął, poddając się nieuniknionemu.

Daman zachwycił panią Travers nie jako żywa istota, ale jako świetny, barwny szkic, wyraziste ujęcie przez artystę wizji jakiejś subtelnej i dzikiej duszy. Przedziwnym był jego bystry półuśmiech — ostry jak jasna stal, przykry przez swą przenikliwość. Pani Travers rozejrzała się i spostrzegła że cały dziedziniec, porażony uniecznioną wściekłością słońca, zaludniony jest przez cienie, których kształty i barwy rozplývają się w gwałtownym blasku. Nawet brunatne tony dachów i ścian olśniewały oko. Daman usunął się na bok. Już się nie uśmiechał; a pani Travers szła z ręką wspartą na ramieniu Lingarda przez upał tak potężny, że zdawał się mieć smak i zapach, że był niejako dotykalny. Posuwała się naprzód, jakby płynęła w tym upale z pomocą Lingarda.

— Gdzie oni są? — zapytała.

— Idą za nami — odpowiedział. Lingard tak był pewien, iż jeńcy zostaną wydani w jego ręce na wybrzeżu, że nie odwrócił się ani razu, póki oboje z panią Travers nie znaleźli się przy łodzi.

Gromadka włóczników rozstąpiła się w obie strony przed Traversem i d'Alcacerem, którzy szli teraz sami ku brzegowi; wyglądali nierealnie i dziwacznie, niby ich własne duchy straszące w biały dzień. Pan Travers nie zdradził żadnym znakiem, że zdaje sobie sprawę z obecności swej żony. Lecz d'Alcacer szedł

uśmiechając się, jak gdyby to wybrzeże było salonem.

Ciężka, stara łódź europejska z kilku wioślarzami sunęła zwolna po wodzie, która wydawała się równie bladą i pałającą jak niebo. Jörgenson sterczał w przodzie łodzi. Czwooro pozostałych Europejczyków siedziało na tylnej ławce, obaj uwolnieni więźniowie w środku obok siebie. Lingard odezwał się nagle.

— Trzeba abyście panowie zrozumieli, że to jeszcze nie koniec biedy. Nic nie jest rozstrzygnięte. Wypuszczono was tylko dlatego, że za was poręczyłem.

Pan Travers odwrócił głowę, gdy Lingard zaczął mówić, ale d'Alcacer słuchał uprzejmie. Przez resztę drogi nikt nie wyrzekł ani słowa. Dwaj panowie weszli pierwsi na pokład. Lingard pozostał u stóp drabiny aby pomóc pani Travers. Uścisnęła mu mocno rękę i rzekła, patrząc zgóry na jego wzniesioną twarz:

— To nadzwyczajne zwycięstwo.

Przez chwilę zapatrzony jego wzrok nie zmienił wcale wyrazu, jakby się zupełnie nie odezwała. Wreszcie Lingard wyszeptał z podziwem:

— Pani rozumie wszystko.

Odwróciła oczy i musiała wyswobodzić swą rękę, do której przywarł przez chwilę w odurzeniu — jak człowiek lecący w przepaść.

### III

Pani Travers, czując wszystkimi nerwami, że Lingard za nią stoi, patrzyła poprzez lagunę. Po chwili przysunął się i stanął obok niej, tuż przy poręczy. Wpatrywała się dalej w tafłę wody, która pod niebem zachodu zmieniała się w ciemną purpurę.

— Dlaczego pan mnie unika, odkąd powróciliśmy z tamtej wyprawy? — zapytała ściszym głosem.

— Nie mam nic ciekawego do powiedzenia, póki radza Hassim i jego siostra nie wrócą z wieściami — odrzekł Lingard tym samym tonem. — Czy powiodło się memu przyjacielowi? Czy Belarab wysłuchał jego argumentów? Czy zgodził się wyleźć ze swej skorupy? A może jest w drodze? Chciałbym to wszystko już wiedzieć!... A tu ani słychu. Może wyruszył już przed dwoma dniami i jest teraz w pobliżu osady. A może coś mu strzeliło do głowy i rozłożył się obozem gdzieś w połowie drogi; nie jest także wykluczone że już przybył. Mogliśmy go nie dostrzec. Droga od wzgórz nie biegnie wzdłuż brzegu.

Chwycił nerwowo długie szkła i skierował je ku ciemnemu ostrokołowi. Słońce zapadło już za lasy, bramując wierzchołki drzew złotą nicią pod pasem z seledynu, leżącym nisko na niebie. Nieco wyżej blado-czerwony żar rozpływał się w pociemniałym błękiecie. Wieczorny cień pogłębił się nad laguną, przylgnał do kadłuba *Emmy*, i do zarysów przeciwległego brzegu. Lingard odłożył szkła.

— D'Alcacer zdaje się mnie także unikać — rzekła pani Travers. — A pan jest z nim w doskonałej komitywie, panie kapitanie.

— To bardzo miły człowiek — szepnął Lingard z roztargnieniem. — Ale mówi czasem dziwne rzeczy. Któregoś dnia zagadnął mnie, czy niema kart na okręcie, a gdy spytałem czy lubi grać w karty — ot tak, żeby coś powiedzieć — rzekł mi z tym swoim dziwnym uśmiechem, że czytał opowiadanie o ludziach skazanych na śmierć, którzy spędzali czas przed egzekucją na grze w karty ze strażnikami więzienia.



— A co mu pan odpowiedział?

— Powiedziałem, że są gdzieś pewnie karty na statku — Jörgenson musi o tem wiedzieć. Potem spytałem, czy uważa mnie za więziennego dozorcę? Przestraszył się poprostu i żałował tego co powiedział.

— To niebardzo ładnie z pańskiej strony, panie kapitanie.

— Jakoś mi się to wyrwało — ale załagodiliśmy to śmiechem.

Pani Travers oparła łokcie o poręcz i dłońmi objęła głowę. Każda poza tej kobiety była dla Lingarda niespodzianką przez czarowne wrażenia jakich doznawał. Westchnął; cisza zapadła na długą chwilę.

— Czemuż nie mogłam rozumieć każdego słowa, które zostało wypowiedziane wtedy rano.

— Wtedy rano — powtórzył Lingard. — O jakim ranku pani myśli?

— O ranku kiedy wyszłam z ostrokołu Belaraba pod rękę z panem, panie kapitanie, na czele całej procesji. Zdawało mi się, że spaceruję po wspaniałej scenie — że gram w jakiejś operze, w przepysznym widowisku, na które możnaby patrzeć z zapartym oddechem. Nie może pan sobie wyobrazić, jakie mi się to wszystko wydało nierealne, i jaką się sobie wydałam sztuczną. Pan wie, opera...

— Wiem. Byłem kiedyś kopaczem złota. Niektórzy z nas zjeżdżali do Melbourne z kieszeniami pełnymi pieniędzy. Poszedłem raz na takie przedstawienie; musiało być bardzo marne w porównaniu do tego co pani widywała. Grali jakąś historję na tle muzyki. Wszyscy na scenie śpiewali przez cały czas aż do końca.

— Jak to musiało razić pański zmysł rzeczywi-

stości — rzekła pani Travers, wciąż na niego nie patrząc. — Czy pan nie pamięta jak się nazywała ta opera?

— Nie. Nigdy sobie tem głowy nie zawracałem. Nasza paczka — nie obchodziło nas to nigdy.

— Nie pytam pana, jaka to była historia. Musiało się to panu wydać rażąco nieprawdopodobnem. Czyż prawdziwi ludzie mogliby śpiewać przez całe życie i nic innego nie robić, jak w baśni.

— Ci ludzie nie śpiewali ciągle z radości — zauważył Lingard z prostotą. — O baśniach prawie nic nie wiem.

— Mówią zwykle o księżniczkach — szepnęła pani Travers.

Lingard nie dosłyszał co mówiła. Pochylił się ku niej zlekka, ale nie patrzyła na niego — a on nie zapytał co powiedziała.

— Zdaje mi się, że baśnie są dla dzieci — rzekł. — Ale ta historia z muzyką, o której pani opowiadam, nie była dla dzieci. Zapewniam panią, że ze wszystkich przedstawień jakie widziałem, to było dla mnie najprawdziwsze. Prawdziwsze niż wszystko com widział w życiu.

Słowa Lingarda wzruszyły panią Travers; pamiętała jak niemożliwie głupią jest treść prawie wszystkich oper i wydało jej się, że w bezpośredniości tych słów jest coś rozrzewniającego, jakgdyby głodny człowiek mówił o rozkoszy, z którą jadł skórkę zeschniętego chleba.

— Pewnie pan zapomniał o wszystkim, słuchając tej historii — bez względu na jej treść — zauważyła obojętnie.

— Tak, to mnie porwało. Ale myślę, że pani zna to uczucie.

— Nie. Nigdy w życiu nie czułam nic podobnego, nawet gdy byłam małą dziewczynką.

Lingard zdawał się brać to wyznanie za dowód jej wyższości. Pochylił nieco głowę. Zresztą mogła mówić co chciała. Najbardziej mu się podobało to, że na niego nie patrzyła, bo z całą swobodą mógł się oddać kontemplacji jej rysów; wpatrywał się w zarys jej policzka, w małe ucho nawpół ukryte pod jasną siatką cieniutkich włosów, w czar odsłoniętej szyi. Cała jej osoba była niepojętym, zdumiewającym i dotykającym cudem, który mniej był realny dla wzroku, niż dla czegoś w głębi duszy, czegoś snąc niezależnego od zmysłów. Ani przez chwilę nie myślał o tej kobiecie, że jest daleka. Nietykalna — tak! Ale nie daleka. Świadomie czy nieświadomie miał niezawodne wyczucie jej ducha. A materjalnie była cudem — bliskim i świętym zarazem.

— Nie — odezwała się nagle pani Travers. — Nie porwała mnie nigdy żadna opowieść. Niema tego we mnie. Nie zapomniałam się nawet tamtego ranka na wybrzeżu — tamtego ranka, który był częścią mej własnej historii.

— Zachowała się pani pierwszorzędnie — rzekł Lingard, uśmiechając się do jej karku, ucha, do luźnego pasma włosów, do zarysu skroni przy oku. Dostrzegając trzepot jej rzęs; i odnosił wrażenie, że delikatny rumieniec na policzku raczej pachnie niż się różowi.

— Więc pan był zadowolony z mojego zachowania.

— I bardzo, mówię pani. Słowo daję, przecież w nich jakby piorun trzasł, gdy się przekonali kim pani jest właściwie!

— Powinnoby mi to pochlebiać. Muszę panu wyznać, że czułam się tylko nawpół ukryta pod przebraniem,

dosyć zła — i bardzo nieswoja. Pomagało mi z pewnością to, że się chciałam podobać.

— Nie mogę właściwie powiedzieć, aby pani im się podobała — wtrącił sumiennie Lingard. — Byli raczej przestraszeni.

— Ja panu się chciałam podobać — rzuciła nie dbale pani Travers.

Głos jakiegoś ptaka — słaby, ochryply, niecierpliwy — rozległ się od strony lasu, jakby przyzywał zbliżającą się noc. Lingard oblał się warem w gęstniejących ciemnościach. Znikły z nieba delikatne cytrynowo-żółte i lekko seledynowe odcienie; czerwony żar groźnie pociemniał. Słońce spoczywało za czarnym całunem lasu, nie objętego już złotą nicią.

— Tak, zdawałam sobie wówczas sprawę ze wszystkiego aż do niemożliwości — ciągnęła pani Travers konwersacyjnym tonem. — A winien był temu strój, który pan kazał mi włożyć na moje europejskie — chciałam powiedzieć — przebranie; bo widzi pan, w tym obecnym, bardziej doskonałym stroju jest mi dziwnie wygodnie; a jednak nie mogę powiedzieć aby te rzeczy dobrze na mnie leżały. Rękawy jedwabnej kurtki są za obcisłe. W plecach jest także ciasna, a sarong jest skandalicznie krótki. Zgodnie ze zwyczajem powinien mi spadać na stopy. Ale ja lubię swobodę ruchów. Bardzo rzadko kiedy miałam w życiu to co lubię.

— Trudno mi w to uwierzyć — rzekł Lingard. — Gdyby pani tego nie mówiła...

— Nie powiedziałabym tego każdemu — rzekła, spojrzawszy przelotnie na Lingarda, poczem odwróciła znów głowę ku zmierzchowi, który zdawał się płynąć w ich stronę po czarnej lagunie. Daleko w głębi mi-

gotało parę słabych światełek — czy na wybrzeżu, czy na skraju bardziej odległego lasu, trudno było powiedzieć. W górze gwiazdy zaczęły się pojawiać, jeszcze nikłe, jakby zanadto odległe, aby się odbić w lagunie. Tylko na zachodzie jakaś planeta świeciła przez czerwona mgłę słonecznego żaru. — Uważano — ciągnęła dalej pani Travers — że dla mego własnego dobra nie należy dawać mi zawiele swobody. Przynajmniej tak mi mówiono. Ale mam podejrzenie, że ten system dogadzał poprostu innym.

— A ja myślałem — zaczął Lingard, poczem zawahał się i urwał. Wydawało mu się niepojętem, aby wszyscy nie marzyli o zapewnieniu szczęścia tej kobiecie. A gorycz przebijająca z jej głosu zrobiła na nim wielkie wrażenie. Pani Travers nie zaciekawiało widać to, co chciał powiedzieć i po chwili dodała:

— Tak było nietylko w mojem dzieciństwie. Tamtych czasów już dobrze nie pamiętam. Przypuszczam że musiałam być bardzo nieznośnem dzieckiem.

Lingard usiłował wyobrazić ją sobie jako dziecko. Ta myśl była dla niego zupełnie nowa. Zdawało mu się, że jej doskonałość pojawiła się na świecie w stanie skończonym, dojrzałym — bez żadnych wahań czy słabości. Lingard nie miał wspomnień, któreby mogły mu pomóc w wyobrażeniu sobie dziecka z tej sfery. Dzieci, które znał, bawiły się we wsi na drodze i biegały po wybrzeżu. Był ongi jednym z nich. Potem widywał już oczywiście inne dzieci, ale się nigdy z niemi nie stykał, a przytem nie były to dzieci angielskie. Pani Travers, tak jak i on, przeżyła swe dziecięce lata w Anglii, i ten fakt właśnie uniemożliwiał mu prawie wyobrażenie sobie jej dzieciństwa. Nie zdawał sobie nawet sprawy, czy spędziła je w mieście

czy na wsi; i czy jako dziecko widziała kiedy morze. Jakim sposobem takie dziecko mogło być niezdolne? Ale przypomniał sobie, że karczone dzieci bywają nieszczęśliwe, i powiedział:

— Bardzo mi przykro.

Pani Travers zaśmiała się zlekka. Wewnątrz muślinowej klatki wszystkie kształty obróciły się w zamazane cienie. Wśród nich ukazał się d'Alcacer, który wstał z krzesła i zaczął chodzić. Milczenie pana Traversa, umyślne czy też chorobliwe, nudziło i złościło d'Alcacera, choć Bogiem a prawdą przemowy tego człowieka nie były dla niego nigdy rozrywką ani ukojeniem.

— To ładnie z pańskiej strony — rzekła pani Travers. — Pan jest zdolny do wielkiego współczucia, ale właściwie to nie wiem kto je w panu wzbudza. Ja, czy te ciężko doświadczone osoby?

— Dziecko — rzekł Lingard, nie zważając na jej drwiący ton. Dziecko może być w skrytości bardzo nieszczęśliwe.

— Skądże pan o tem wie? — zapytała.

— Przecież ja czuję także — odrzekł z pewnem zdziwieniem.

Pani Travers, odwrócona od niego, była bardzo zmięszana. I ona nie umiała sobie wyobrazić jego dzieciństwa, jakby Lingard też przyszedł na świat w pełni sił i świadomości. Odkryła w sobie pewnego rodzaju naiwność i roześmiała się zlekka. Lingard nie odzywał się wcale.

— Niech się pan nie gniewa — rzekła. — Nie przyszłoby mi nigdy do głowy śmiać się z pańskich uczuć. Zaiste, pańskie uczucia są najpoważniejszą rzeczą, jaką spotkałam na swej drodze. Nie mogłam się

powstrzymać od śmiechu z siebie samej — z pewnego zabawnego odkrycia, które zrobiłam.

— Podczas dzieciństwa? — usłyszała po chwili głęboki głos Lingarda.

— Och nie. Całe wieki później. Dziecko nie mogłoby zrobić takiego odkrycia. Czy pan wie, jaka między nami jest największa różnica? Otóż właśnie ta, że ja od dziecinnych lat żyłam jak widz patrzący na rozgrywającą się sztukę, ale nie oszukał mnie nigdy jej blichtr i hałas — wogóle nic z tego, co się działo na scenie. Czy pan rozumie co chcę powiedzieć, panie kapitanie?

Nastąpiła chwila milczenia.

— Cóż z tego? Przecież nie jesteś już dziećmi. — Niezmierna łagodność dźwięczała w głębokim głosie Lingarda. — Ale nawet jeśli pani czuła się nieszczęśliwą, niech mi pani nie mówi, że pani sobie tego odtąd nie powetowała. Przecież wszystko jest na pani skinienie. Taka kobieta jak pani...

— Pan uważa, że ze strachu cały świat powinien paść przede mną na kolana.

— Nie — nie ze strachu. — Przebłysk wesołości mignął w ściszym głosie Lingarda, który odetchnął głęboko i zaczął mówić z rozwagą. — Pani mąż....

Zawahał się chwilę, z czego skorzystała pani Travers i rzekła zimno:

— Nazywa się Travers.

Lingard nie wiedział jak to rozumieć. Wyobraził sobie, że zawinił przez pewnego rodzaju zarozumiałość. Ale jakżeż u Pana Boga ma tego człowieka nazywać? Przecież to ostatecznie jej mąż. Ta myśl była przykrą dla Lingarda, gdyż pan Travers okazywał mu wrogość w sposób dziwnie nierozsądny i irytujący.

Jednocześnie zaś Lingard czuł, że go nic ta wrogość nie obchodzi, jakby go nie obchodziła i przyjaźń tego człowieka. I nagle poczuł, że jest bardzo rozdrażniony.

— Tak. O nim mówię właśnie — rzekł pogardliwym tonem. — Nie mam specjalnego upodobania do tego nazwiska i nie zamierzam bynajmniej mówić o tym człowieku więcej niż muszę. Gdyby nie był pani mężem, nie zniósłbym jego zachowania przez godzinę. Czy pani wie coby go spotkało, gdyby nie był pani mężem?

— Nie — rzekła pani Travers. — A pan wie, panie kapitanie?

— Niezupełnie — przyznał Lingard. — Coś, coby nie poszło mu w smak, tego może pani być pewna.

— A to, co się teraz z nim dzieje, podoba mu się bardzo — zauważyła. Lingard zaśmiał się.

— Nie zdaje mi się abym mógł zrobić coś, coby było po jego myśli — rzekł poważnie. — Niech pani mi wybaczy moją otwartość, ale czasem z powodu jego obejścia niezmiernie mi trudno zachowywać się uprzejmie. Z różnemi rzeczami miałem już w życiu do czynienia, ale nigdy z pogardą.

— Wierzę temu najzupełniej — rzekła pani Travers. — Czyż pańscy przyjaciele nie nazywają pana Królem Tomem?

— Oni wszyscy mnie nic nie obchodzą. Nie mam przyjaciół. Istotnie, tak mnie nazywają...

— Pan nie ma przyjaciół?

— O nie — rzekł stanowczo. — Ludzie tacy jak ja przyjaciół nie mają.

— To zupełnie możliwe — szepnęła do siebie pani Travers.



— Nie. Nawet Jörgenson nie jest moim przyjacielem. Stary, pomyłony Jörgenson. I on też nazywa mnie Królem Tomem. Pani widzi co to jest warte.

— Tak, widzę. A raczej słyszałam jak mówił do pana. Ten biedak nie nadaje słowom właściwej intonacji, a tak wiele od tego zależy. Więc przypuśćmy, że ja będę pana nazywała w cztery oczy Królem Tomem — zaproponował głos pani Travers, odległy i kuszący wśród nocy, która nadała jej postaci bezbarwną nieuchwytność.

Pani Travers czekała w ciszy z łokciami na poręczy i głową opartą o dłonie, jakby nie pamiętając już o swych słowach. Nagle głęboki szept rozległ się tuż koło niej.

— Niechże postyszę, jak pani to mówi.

Stała bez najlżejszego ruchu. Ciemna laguna iskrzyła się słabym odblaskiem gwiazd.

— Ależ najchętniej, zaraz pan to usłyszysz — rzekła w gwiaździstą przestrzeń łagodnym, monotonnym głosem, który nieznacznie się zmieniał w miarę jak mówiła. — Królu Tomie, chyba nie pożałuje pan nigdy, że pan porzucił swą tajemniczą samotność aby do mnie przemówić. Ileż dni minęło już odtąd! A teraz jeszcze jeden upłynął. Niech mi pan powie, wiele tych dni jeszcze będzie? Tych oślepiających dni i głuchych nocy.

— Cierpliwości — szepnął. — Niech pani nie żąda ode mnie tego, co jest niemożliwe.

— Jakże pan albo ja możemy wiedzieć, co jest niemożliwe? — wyszeptwała z dziwną pogardą. — Nie odważyłby się pan tego odgadnąć. Ale mówię panu, że każdy dzień niemożliwszy jest dla mnie od poprzedniego.

Namiętność tego szeptu ugodziła go w piersi jak nóż.

— Co mam pani odpowiedzieć? — szepnął jak gdyby z rozpaczą. — Niech pani pamięta, że każdy zachód słońca to jeden dzień mniej. Czy pani myśli, że pragnę abyscie tu byli?

Gorzki, leciutki śmiech popłynął w światło gwiazd. Pani Travers usłyszała, że Lingard nagle się od niej odsunął. Nie zmieniła pozy ani trochę. Natychmiast posłyszała także, iż d'Alcacer wyszedł z klatki. Harmonijny jego głos zapytał nawpół żartobliwie:

— Zadowolona pani z rozmowy? Może mi pani coś z niej powtórzy?

— Panie d'Alcacer, pan jest ciekawy.

— Cóż robić, w naszym położeniu... Wyznaję, że... Proszę pamiętać, że pani jest naszą jedyną ucieczką.

— Pan chce wiedzieć, o czym rozmawialiśmy — rzekła pani Travers, zmieniając zwolna pozę aby zwrócić się do d'Alcacera, którego twarz była prawie niewidoczna. — No więc — mówiliśmy o operze, o realizmie i złudzeniach sceny, o ubiorach, o nazwiskach i różnych innych rzeczach w tym rodzaju.

— O niczem ważnem — rzekł uprzejmie.

Pani Travers skierowała się w stronę klatki; d'Alcacer usunął się na bok. Wewnątrz przejrzystej budowli dwóch Malajów zawieszało okrągłe latarnie, których światło padło na siedzącego w fotelu Traversa i na spuszczoną jego głowę.

Gdy zebrali się wszyscy na wieczorny posiłek, Jörgenson ukazał się nagle niewiadomo skąd — jak to było jego zwyczajem — i oznajmił przez muślin, że kapitan Lingard przeprasza, ale nie przyłączy się do towarzysstwa jak co wieczór. Potem odszedł wolnym krokiem.

Od tej chwili aż do końca posiłku i wniesienia po-  
wych łóżek towarzystwo wewnątrz siatki nie zamieniło  
nawet dwudziestu słów. Dziwaczność sytuacji utrudniała  
niezmiernie wszelką wymianę zdań; a poza tem wszyscy  
mieli myśli, których ujawnienie byłoby najzupełniej  
bezelowem. Pan Travers oddał się rozpamiętywaniu  
swej krzywdy. Była to nietyle ponura medytacja, co  
tępa, rozpacзлиwa wściekłość. Niemożność opanowania  
sytuacji rozjątrzała go do głębi. D'Alcacer był zupełnie  
zbity z tropu. Oderwany w pewnem znaczeniu od  
życia może niemniej od Jörgensona, interesował się  
jednak biegiem wypadków i nie stracił doszczętnie  
samozachowawczego instynktu. Nie był w stanie ocenić  
dokładnie położenia, należał jednak do ludzi, którzy  
w zadnych okolicznościach nie są jak tabaka w rogu.  
Nie bawił się nigdy w dowcipy, ale miał dużo po-  
gody. Jego zwykły, łagodny uśmiech dobrze go cha-  
rakteryzował. D'Alcacer był więcej Europejczykiem niż  
Hiszpanem i miał tę prawdziwie arystokratyczną na-  
turę, która skłonna jest przyznać każdemu uczciwemu  
człowiekowi coś z własnej szlachetności i w sądzie swym  
zupełnie jest niezależna od pojęć klasowych. Wierzył,  
że Lingard jest człowiekiem uczciwym i nie troszczył  
się nigdy o to jak go zaklasyfikować — chyba tylko  
z punktu widzenia jego interesującego charakteru.  
Miał coś w rodzaju szacunku dla indywidualnego wy-  
glądu i obejścia tego marynarza. Uderzało go także, że  
Lingard nie jest zbliżony do żadnego typu, że można  
go mierzyć tylko jego własną miarą. D'Alcacer po-  
wiedział sobie z wrodzoną przenikliwością, iż wielu  
z pośród konkwistadorów znanych w historii mniej  
było wartościowych, ponieważ miało z pewnością mniej  
prostoty. Nie powiedział tego jednak wyraźnie pani

Travers. Unikał w gruncie rzeczy rozprawiania z nią o Lingardzie; sądził że dość jest inteligentna aby zdać sobie dokładnie sprawę z odcieni jego postępowania. Odcienie te były subtelne, ale i pani Travers była subtelna; nie zachodziła więc potrzeba rozwodzenia się nad charakterem ich przygody. A przytem pani Travers zdawała się unikać bezpośredniej dyskusji o roli odgrywanej w ich życiu przez Lingarda. D'Alcacer był bystry i dostrzegł, że tych dwoje rozumiało się w sposób, z którego nawet sami nie zdawali sobie sprawy. Gdy tylko widział ich razem, kusiło go zawsze bardzo aby ich obserwować. I ulegał pokusie. Gdy życie człowieka zależy od przebiegu jakiejś niejasnej akcji, upoważnia to do pewnej swobody w postępowaniu. D'Alcacer widział ich razem niejednokrotnie, jak rozmawiali przy ludziach lub na osobności, i zauważył, że w ich sposobie zbliżania się do siebie, w ich postawie, w ich rozstawianiu się było coś szczególnego, i charakterystycznego, i właściwego tylko im dwojgu, jakby byli dla siebie stworzeni.

Nie mógł absolutnie zrozumieć, dlaczego pani Travers potraktowała w ten sposób jego naturalne zaciekawienie ostatnią rozmową z Człowiekiem Losu, zbywając je niewiarogodnym oświadczeniem co do treści owej rozmowy. Pogawędka o strojach, operze, o nazwiskach. Nie mógł wziąć tego na serjo. Uważał, że pani Travers powinna była wymyśleć coś bardziej prawdopodobnego; albo oświadczyć mu wprost, że nie chce o tem mówić. Powinna była wiedzieć, że nie czułby się tem wcale dotknięty. Czyż mogła nie zauważyć, że uznał zupełnie i bezwzględnie tajemnicze powikłania w jej stosunku do tego człowieka, jakby były postanowione zgóry — na samym początku świata,

Lecz odpowiedź pani Travers nie rozdrażniła d'Alcaca. Ostatecznie była to może i prawda. Pani Travers mogłaby mówić wszystko coby zechciała, nawet rzeczy niewiarogodne, gdyby miała na to ochotę — a człowiek ten zawisłby na ich ustach. Jednocześnie zaś siłą swego wpływu potrafiłaby go pobudzić do jakiegokolwiek rozmowy — z przyczyn prostych lub przewrotnych. Opera! Stroje! Tak — mówili może o Szekspirze i o muzyce na szkle! Przez prostą fantazję lub w najchytrzejszym celu. Kobiety godne swej nazwy są właśnie takie. Zasługują na wielki podziw. Wznoszą się do poziomu sytuacji, a czasem i po nad nią, gdy — zależnie od okoliczności — mają nastąpić rzeczy śmieszne lub tragiczne, które mogą pociągnąć za sobą złe skutki nawet dla Bogu ducha winnych obserwatorów. D'Alcacer myślał o tem wszystkiem bez goryczy a nawet bez ironji. Wśród świata pustych intryg miał nawpół oficjalną reputację człowieka o jednej wielkiej namiętności i lubił wszystkie kobiety. Lubił je za uczuciowość i za brak serca, lubił tragizm ich porywów, szalonych lub przebiegłych, na które patrzył z pewnego rodzaju czułością i powagą.

Nie zapatrywał się optymistycznie na położenie, lecz uznał relację pani Travers o operach i strojach za przestrożę aby więcej tego tematu nie poruszać. Dlatego właśnie milczał podczas jedzenia.

Gdy Malaje przestali już hałasować przy sprzątanii ze stołu, d'Alcacer podszedł zwolna do pani Travers i zauważył z wielkim spokojem:

— Człowiek Losu miał intuicję, że nie przyłączył się do nas tego wieczoru. Jedliśmy obiad jak kameduli.

— To aluzja do naszego milczenia?

— Niezmiernie było skrupulatne. Nie potrafili-  
byśmy zachować go lepiej, nawet gdybyśmy złożyli  
wieczyste śluby.

— Czuł się pan pewnie znudzonym?

— *Pas du tout* — zapewnił d'Alcacer z żartobliwą  
powagą. — Nie czułem nic. Ogarnęła mnie błogosła-  
wiona próżnia. Sądzę, że byłem z nas najszcześliwszy.  
Chyba, że pani także...

— Na nic pańskie usiłowania, nie odgadnie pan  
moich myśli. Gdybym pozwoliła panu do nich zaj-  
rzeć, byłby pan przerażony.

— Myśli są właściwie tylko kształtem, który przy-  
bierają nasze uczucia. Muszę pani powinszować obo-  
jętnej maski; umie pani doskonale zasłonić te okrop-  
ności, które jakoby się kryją w pani sercu. Z pani  
twarzy nic nie można wyczytać.

— Pan mówi zawsze miłe rzeczy.

— Pani, pochlebstwa moje wypływają z głębi  
serca. Zrezygnowałem już dawno z wszelkiej chęci  
podobania się. I nie usiłowałem wcale dotrzeć do pani  
myśli. Różnych rzeczy może się pani po mnie spo-  
dziewać, ale proszę zawsze liczyć na bezwzględny sza-  
cunek dla swego wewnętrznego życia. Lecz zdaje mi  
się, że pani mało dba o to — wobec maski, którą pani  
umie stworzyć na swój użytek. Zauważyłem że Czło-  
wiek Losu wcale pod tym względem pani nie do-  
równywa.

— Cóż za pretensjonalna nazwa. Czy pan tak  
mówi i do niego?

— Nie, nie mam tej czelności — wyznał spokojnie  
d'Alcacer. — Poza tem to nazwa zbyt uroczysta na  
codzienny użytek. On ma tak dużo prostoty, że mógłby  
wziąć to za żart, a tymczasem nic nie jest tak obce

moim myślom. Muszę pani wyznać, że wcale mi nie jest wesoło na duszy. Ale co on może wiedzieć o ludziach takich jak my? A gdy sobie uprzytomnię, jak mało ludzie naszego pokroju wiedzą o takim człowieku, wystarcza mi najzupełniej zwracanie się do niego jako do kapitana Lingarda. To jest zwyczajne, i kojące, i nader przyzwoite, i zadawalniające, bo kapitan to najbardziej pusty ze wszystkich tytułów. Czem jest kapitan? Każdy może być kapitanem; a do Lingarda pasuje ta nazwa równie dobrze jak każda inna. Tymczasem on zasługuje na coś szczególnego, znaczącego i wyrazistego, coś coby odpowiadało jego osobie, jego prostej i romantycznej osobie.

Zauważył, że pani Travers pilnie mu się przypatruje. Oczy ich rozłączyły się śpiesznie.

— Pańskie zdanie zrobiłoby mu przyjemność — rzuciła niedbale pani Travers.

— Obawiam się, że potraktowałby je pogardliwie.

— Nic podobnego! W to mu graj.

— Zdaje mi się, że pani go rozumie. Kobiety są dziwnie pojętne, jeśli chodzi o kwestje, które je interesują; gdy wyobraźnia ich jest pobudzona, bez namysłu puszczają jej wodze. Mężczyźni mniej mają do siebie zaufania, ale kobiety rodzą się daleko śmielszemi. Idą naprzód pod osłoną tajemnicy i milczenia, a im ciemniejszym jest to, co chciałyby zbadać, tem więcej mają odwagi.

— Czy pan chce doprawdy powiedzieć, że mię pan uważa za istotę lubującą się w ciemności?

— Mówiłem o kobietach wogóle — odparł d'Alcacer. — Inny punkt wyjścia byłby impertynencją. Tak, ciemność jest najlepszym przyjacielem kobiet. Ich śmiałość kocha ją; natomiast nagły błysk światła zbija

kobiety z tropu. Naogół biorąc, jeśli kobieta nie dotrze nawet do samej prawdy, potrafi zawsze dostać się w jej pobliże.

Pani Travers słuchała z uwagą, a gdy d'Alcacer przestał już mówić, czas jakiś nie przerywała milczenia. Wreszcie rzekła obojętnym tonem, że jeśli chodzi o Lingarda, nastęczyła jej się specjalna okazja. D'Alcacer, panujący zawsze nad sobą, zdołał ukryć odruch istotnej ciekawości pod pozorem konwencjonalnego zainteresowania.

— Doprawdy — zawołał uprzejmie. — Specjalna okazja! Jakże pani udało się ją stworzyć?

Tego było pani Travers zawiele.

— Ja miałam ją stworzyć! — wykrzyknęła z oburzeniem, choć bardzo cicho. — Jakim sposobem? Jakże byłabym mogła to zrobić?

D'Alcacer, nie okazując najłżejszej skruchy, szepnęła jakby do siebie, że istotnie kobiety rzadko kiedy zdają sobie sprawę, „jak to zrobiły“, na co pani Travers zauważyła zmęczonym głosem, iż niema dwóch mężczyzn, którzyby byli tępi w jeden i ten sam sposób. D'Alcacer zgodził się na to bez wahania.

— Tak, nasz rodzaj przedstawia większą rozmaitość. Z pewnego punktu widzenia przemawia to wybitnie na naszą korzyść. Jesteśmy interesujący... Swoją drogą nie wystawiam sobie, abym był interesującym dla pani. A Człowiek Losu?

— O tak! — szepnęła pani Travers.

— Aha! Wybitnie interesujący! — rzekł d'Alcacer tajemniczo i porozumiewawczo. — Czyżby jego tępość była aż tak kolosalna?

— Jest nieodłączna od wielkich wizji, które nie są bynajmniej pospolite i tworzyły mu jego własny świat,



— Domyślałem się tego — mruknął do siebie d'Alcacer. — Ale widzi pani, to nie są dla mnie wcale dobre nowiny. Pani ma na myśli świat marzeń, prawda? To bardzo złe, bardzo niebezpieczne. To jest prawie zgubne, proszę pani.

— Skąd takie przerażenie? Dlaczego pan protestuje przeciw światowi marzeń?

— Ponieważ nie uśmiecha mi się wcale perspektywa, że się stanę ofiarą tych Arabów. Nie jestem optymistą jak nasz przyjaciel — ciągnął dalej pocichu, kiwnąwszy głową w stronę posępnej postaci Traversa skulonego na krześle. — Nie zapatruję się na to wszystko jak na farsę i odkryłem w sobie silną niechęć do tego, aby ci okazali barbarzyńcy poderżnęli mi gardło po długiej a niedorzecznej gadaninie. Niech się pani nie pyta dlaczego. Niech pani złoży to na karb niedorzecznej słabości.

Pani Travers poruszyła się zlekka na krześle, podnosząc ręce do głowy, i w mętnej świetle latarni d'Alcacer ujrzał, że masa jej jasnych, połyskliwych włosów opadła i okryła ramiona. Chwyciła połowę włosów rękami, które wyglądały bardzo białe, i przechyliwszy zlekka głowę, zaczęła splatać warkocz.

D'Alcacer śledził przez chwilę poruszenia jej palców.

— Pani jest przerażająca — rzekł wreszcie.

— Tak? — odrzekła pytającym tonem.

— Ma pani w sobie grozę ludzi predestynowanych. Pani jest także ofiarą marzeń.

— A więc nie Arabów — wyrzekła spokojnie, zaczynając pleść drugi warkocz. D'Alcacer przypatrywał się tej czynności aż do końca. Tuż za Edytą przejrzysty cień na muślinie powtarzał najdrobniejsze jej ruchy. D'Alcacer odwrócił oczy.

— Nie! Żaden barbarzyńca nie dotknie pani. Bo gdyby do tego doszło, sądzę że on byłby zdolny własnoręcznie panią zabić.

Upłynęła minuta, nim spojrział ukradkiem w jej stronę. Siedziała, oparłszy się znów o tylną poręcz krzesła, ręce jej opadły na kolana, a głowa ujęta w warkocze wiszące z obu stron twarzy, głowa niewiarogodnie zmieniona w charakterze, mająca w sobie coś ze średniowiecza i ascezy, opuściła się sennie na piersi.

D'Alcacer czekał z zapartym oddechem. Pani Travers nie poruszyła się wcale. W przyćmionych błyskach klamer wysadzanych drogiemi kamieniami, w słabem jaśnieniu złotych haftów i mieniących się jedwabi podobna była do postaci z wyblakłego malowidła. Tylko jej szyja wydawała się olśniewająco białą w dymnem, czerwonym świetle. Zdumienie d'Alcacera było pokrewne uczuciu grozy. Już chciał się spokojnie usunąć, gdy pani Travers, siedząca wciąż bez ruchu, wyrzekła następujące słowa:

— Powiedziałałam mu, że każdy dzień wydaje mi się trudniejszym od poprzedniego. Czy pan nie widzi, jakie to wszystko jest niemożliwe?

D'Alcacer spojrział szybko poprzez klatkę ku Traversowi, który zdawał się spać, skuliwszy się na krześle; wyglądał jak nastroszony, chory ptak. Z całej jego postaci widać było wyraźnie tylko łysinę.

— Tak — szepnął d'Alcacer — to jest poprostu fatalne... Rozumiem pani niepokój, ale...

— Boję się — rzekła.

Zastanowił się przez chwilę.

— Jaką dał pani odpowiedź? — zapytał cicho.

— Odpowiedź brzmiała: cierpliwości.

D'Alcacer roześmiał się zlekka.

— Dobrze panu się śmiać — szepnęła pani Travers z udręką w głosie.

— Właśnie dlatego się śmieję. Cierpliwości. Czyż on nie czuje, jakie to wszystko okropne?

— Nie wiem. Powiedział to i odszedł — rzekła pani Travers. Patrzyła bez ruchu na swoje ręce splecione na kolanach i nagle wybuchnęła z rozpaczą: — Panie d'Alcacer, co teraz będzie?

— Ach, więc nareszcie zadała pani sobie to pytanie! Będzie to, czego nie można uniknąć; a pani wie o tem może najlepiej.

— Nie. Pytam się siebie ciągle, jak on postąpi?

— O, tego już wiedzieć nie mogę — oświadczył d'Alcacer. — Nie wiem jak postąpi, ale wiem co go spotka.

— Jego, pan mówi! Jego? — zawołała.

— Serce mu pęknie — rzekł wyraźnie d'Alcacer, pochylając się zlekka nad krzesłem, przyczem aż drgnął z przestachu nad własną zuchwałością. Czekał.

— *Croyez-vous?* — wypowiedziała wreszcie pani Travers tak zimno i omdlewająco, że dreszcz zbiegł d'Alcacerowi po grzbiecie.

Pytał się siebie, czy to możliwe aby była taką kobietą? Czyż poza sobą nic nie widziała na świecie? Czy nie była zdolną do najzwyczajszego współczucia? Nie mógł podejrzewać jej o głupotę, ale może nie miała serca i — podobnie jak niektóre kobiety z jej sfery — nie uznawała absolutnie żadnych uczuć na świecie, prócz własnych. D'Alcacer zgorszył się tem, jednocześnie zaś poczuł ulgę, ponieważ przyznawał się sobie, że się posunął bardzo daleko w swej śmiałości. Pani Travers nie była jednak dość pospolitym człowiekiem

by się obrazić. Nie podlegała drobnym małościom; podobało się to d'Alcacerowi, który się nauczył za wiele od ludzi nie wymagać. Ale nie wiedział co ma teraz zrobić. Po tem co ośmielił się powiedzieć, i po sposobie w jaki przyjęto jego śmiałość, pozostawało mu tylko jedno: zmienić temat rozmowy. Pani Travers siedziała bez ruchu. „Zachowam się, jak gdybym myślał że usnęła“, powiedział sobie i chciał się wycofać na palcach.

Nie wiedział, że pani Travers usiłuje poprostu odzyskać pełnię władzy nad sobą. Słowa d'Alcacera okropnie nią wstrząsnęły. Zdobyła się na wypowiedzenia tego obronnego „*Croyez-vous?*“, które wysunęło się z jej ust słabo i oziębłe, jakby ostatkiem słabnących sił, i poczuła że staje się sztywną i niemą. Obezwładniona przez wzruszenie, myślała: „Widział to! Co więcej jeszcze zobaczył?“ Nie postawiła sobie tego pytania ze strachem lub wstydem, lecz z obojętną rezygnacją. Po tym wstrząsie przyszło na nią uczucie spokoju. Płomienne gorąco przepłynęło przez wszystkie jej członki. Gdyby w tem dymnem świetle d'Alcacer był zajrzał w jej twarz, dostrzegłby pełen fatalizmu uśmiech, który pojawił się na jej wargach i zniknął. Lecz d'Alcacerowi nie przeszłoby nawet przez myśl nic podobnego, a zresztą uwaga jego była zwrócona w tej chwili w innym kierunku. Usłyszał stłumione okrzyki, zauważył ruch na pomostach *Emmy* i nawet pewien rodzaj hałasu poza okrętem.

— Co za dziwne odgłosy — rzekł.

— Tak, słyszę je — szepnęła niespokojnie pani Travers.

Niewyraźne kształty przesuwają się poza klatką —

bose, prawie bezgłośnie — szepcąc sekretnie malajskie słowa.

— To wygląda jakby łódź przybiła do statku — zauważył d'Alcacer, nadstawiając uważnie ucha. — Ciekaw jestem, co to ma znaczyć. W naszym położeniu...

— To może oznaczać wszystko — przerwała pani Travers.

— Dżaffir jest tutaj — rzekł jakiś głos w ciemnościach na rufie. Potem rozległo się jeszcze kilka innych słów, wśród których baczne ucho d'Alcacera pochwyciło słowo „surat“.

— Przybył jakiś wysłannik — rzekł. — Zawołają zaraz kapitana Lingarda. Ciekawym jakie myśli czy też marzenia przerwie mu to wezwanie. — Mówił to lekkim tonem, patrząc teraz na panią Travers, która zmieniła swą pozę na krzesle; sądząc z głosów tych dwojga i ich postawy, można było przypuszczać, że się znajdują na jachcie żeglującym bezpiecznie przez morze. — Pani jedna, oczywiście, będzie wiedziała o wszystkim. Nie czuje się pani trochę podnieconą?

— Zalecano mi niedawno cierpliwość — rzekła takim samym, swobodnym tonem. — Umiem czekać, i zdaje mi się, że będę musiała poczekać aż do rana.

— Nie może być jeszcze bardzo późno — rzekł. — Czas zatrzymał się z nami na długo. A jeśli to godzina przeznaczenia?

— Więc pan czuje to właśnie w tej chwili?

— Doznawałem już wiele razy tego uczucia. Z początku mnie to podniecało. Teraz niepokoję się już tylko w miarę. Zużyłem ten czas na przegląd całego życia.

— Czy doprawdy można to zrobić?

— Tak; i nie powiem abym zanudził się na śmierć.

Żyję jeszcze wciąż, jak pani widzi; ale już z wszystkim skończyłem i czuję się bardzo leniwym. Na jedno tylko miałbym ochotę. Pragnąłbym znaleźć kilka słów, któreby potrafiły wyrazić, jaki pani jestem wdzięczny za całą pani życzliwość w dawnych czasach, gdy pani mi pozwalała tak często się w Londynie odwiedzać. Czułem zawsze, że pani mię bierze za takiego, jakim jestem, a doznałem od pani tyle łaskawości, że często byłem skłonny mieć o sobie lepsze pojęcie. Ale obawiam się, że panią nudzę.

— Zapewniam pana, że nigdy mnie pan nie nudził — dawniej. Co się tyczy terażniejszości, proszę aby pan nie odchodził. Niechże pan ze mną zostanie. Nie będziemy udawali, że chce nam się spać o tej wczesnej godzinie.

D'Alcacer postawił krzesło tuż przy leżaku i usiadł.

— Tak, możliwe że to chwila decydująca — rzekł. — Proszę pani, mam do pani prośbę. Nie żądam aby pani cokolwiek mi zdradziła. I coby z tego przyszło? Gdy nadejdzie chwila przełomowa, będzie to i tak dość widoczne. Ale pragnąłbym jakiegoś ostrzeżenia, czegoś, coby poprostu dało mi czas zebrać się w sobie, niejako się opanować. Chciałbym aby mi pani przyrzekła, że jeśli los przeciw nam się obróci, pani mi da jakiś znak. Mogłaby pani, naprzykład, skorzystać z chwili, gdy będę na panią patrzył, i przyłożyć lewą rękę do czoła. O tak. To gest, którego nigdy u pani nie zauważyłem, i w ten sposób...

— Jörgenson! — rozległ się głos Lingarda na przodzie, gdzie pojawiło się nagle światło. Po chwili usłyszeli znów jego głos: — Chodź tutaj!

Potem zaczęły upływać milczące minuty. Pani Travers, oparta o poręcz fotela i d'Alcacer siedzący

na krzesła czekali bez ruchu, nie zamieniając ani słowa. Niebawem poprzez stłumione szepty i podniecenie, które ogarnęło ciemny pokład *Emmy*, pani Travers usłyszała stanowcze kroki, i Lingard ukazał się z latarnią przy muślinowej klatce.

— Czy mógłbym poprosić o chwilę rozmowy — rzekł głośno. — Nie, nie pana. Panią — dodał rozkazująco, gdy d'Alcacer wstał śpiesznie z krzesła. — Chcę mówić z panią Travers.

— Naturalnie — szepnął do siebie d'Alcacer, i otwierając drzwi klatki, aby pani Travers mogła się wymknąć, szepnął jej do ucha: — To jest chwila rozstrzygająca.

Pani Travers przesunęła się szybko koło niego, nie zdradzając najłżejszym znakiem, że usłyszała te słowa. Na tylnym pokładzie, między klatką a domkiem, Lingard czekał z latarnią w ręku. Nie było widać w pobliżu nikogo, lecz d'Alcacer czuł obecność milczących i podnieconych istot, krążących poza obrębem światła. Lingard podniósł latarnię z chwilą zbliżenia się pani Travers i d'Alcacer usłyszał jego głos:

— Dostałem wiadomości, których muszę pani udzielić. Wejdźmy do domku.

D'Alcacer widział w świetle podniesionej latarni ich głowy otoczone głębokim cieniem; wyglądało to na wizję przedziwną i symboliczną. Usłyszał panią Travers mówiącą: „Wolałabym o tych nowinach nie wiedzieć“. Ton jej słów uderzył wrażliwego obserwatora, który ściągnął usta w zdumieniu. Pomyślał że pani Travers jest przemęczona, że nerwy jej nie są już w stanie wytrzymać tej sytuacji. Ale w głosie jej nie było strachu. D'Alcacerowi błysnęła myśl, że pani Travers stała się bardzo pewną siebie, i na tem za-

trzymał się w swych rozważaniach. Ten przyjaciel kobiet był dyskretny nawet w myślach. Cofnął się wgłąb klatki i bez zdziwienia zobaczył, że pani Travers wchodzi za Lingardem do domku na pokładzie.

#### IV

Lingard postawił latarnię na stole. Światło jej było bardzo marne. Opadł ciężko na skrzynię. Czuł się też przemęczonym. Flanelowa jego koszula była otwarta u szyi. Biodra opasywał mu szeroki pas; kurtki na sobie nie miał. Przed nim stała pani Travers, prosta i wysoka, w jasnych jedwabiach, płótnach i muślinach swego egzotycznego stroju; końce szarfy, zarzucone na głowę, opadały jej na twarz; wyglądała wspaniale i tajemniczo. Z białej twarzy patrzyło jej gniewne spojrzenie. Lingard rzekł:

— Czy pani także chce mię porzucić? Mówię pani, że już teraz zrobić pani tego nie może.

— Nie myślałam wcale o porzuceniu pana; nie rozumiem o co panu chodzi. Okazuje się, że jest masa rzeczy, których zrobić nie mogę. Czy nie byłoby lepiej, aby pan mi powiedział o czemś, co mogę zrobić? Czy pan sam zdaje sobie sprawę, czego pan chce ode mnie?

— Pani może pozwolić mi na siebie patrzeć. Pani może mnie słuchać. Pani może do mnie mówić.

— Powiem szczerze, że nigdy się od tego nie uchylałam, ile razy pan tego sobie życzył. Pan mnie doprowadził...

— Ja panią doprowadziłem! — zawołał Lingard.

— Ach, więc to była moja wina — rzekła bez gniewu. — Widocznie musiało mi się przywidzieć, że



to pan przybył do mnie wśród ciemności z tem opowiadaniem o swoim niebywałem życiu. Czyż mogłam pana wtedy odprawić?

— Gdybyż tak było się stało! Dlaczego pani tego nie zrobiła?

— Czy pan chce, abym panu odpowiedziała, że nie mogłam panu się oprzeć? Jakże mogłam pana odeśłać? A pan! Dlaczego pan wrócił do mnie wówczas, pokazując mi serce jak na dłoni?

Upłynął pewien czas, nim Lingard zaczął mówić urywanemi zdaniem.

— Nie namyślałem się ani chwili. Byłem rozszalony. Nie myślałem o was jako o ludziach z wyższej sfery. Myślałem o was jako o tych, których życie trzymam w ręku. Jakże w swem zatroskaniu mogłem o pani zapomnieć? Przywiozłem z sobą twarz pani na pokład brygu. Nie wiem dlaczego. Nie patrzyłem na panią dłużej niż na innych. Cały czas byłem pochłonięty tylko tem, aby się poskromić i nie roznieść was wszystkich w puch. Nie chciałem być dla was niegrzecznym, ale okazało się że to nie jest takie łatwe, bo groźby były jedynym moim argumentem. Proszę pani, czy bardzo byłem nieprzyjemny?

Słuchała uważnie z wielkiem natężeniem, prawie z powagą. I rzekła bez najlżejszej zmiany wyrazu:

— Sądzę, że pan się zachował odpowiednio do sfery, w której podobało się Panu Bogu pana umieścić.

— Jakiej sfery? — szepnął Lingard do siebie. — Jestem, czem jestem. Nazywają mię Radzą Lautem, Królem Tomem, i tak dalej. Musiało to panią rozśmieszyć; ale mówię pani, że niema w tem nic zabawnego, kiedy takie nazwy przyczepią się do człowieka — choćby tylko przez żarty. Właśnie te nazwy

mają w sobie coś, co sprawia, że ta cała historia dla nikogo z nas nie jest drobnostką.

Stała przed nim z surową, spokojną twarzą.

— Czy pan zawezwał mię w sposób tak niepokojujący tylko po to, aby ze mną się kłócić?

— Nie, ale dlaczego pani mówi mi właśnie w tej chwili, że moje udanie się do pani o pomoc było w pani oczach tylko bezczelnością? Proszę zatem o przebaczenie, że pozwoliłem sobie pani ubliżyć.

— Pan mnie nie zrozumiał — rzekła pani Travers, nie zmieniwszy ani na chwilę wyrazu pełnego surowej zadumy. — Tak pochlebna rzecz nie spotkała mnie jeszcze nigdy i nigdy mnie już nie spotka. Ale proszę mi wierzyć, Królu Tomie, to zaszczyt dla mnie za wielki. Jörgenson ma zupełną słuszność, kiedy się gniewa na pana, że pan się obarczył kobietą.

— Jörgenson nie chciał być nieuprzejmym — zaprzeczył poważnie Lingard. Pani Travers nie uśmiechnęła się nawet na tę dbałość o formy wśród atmosfery dręczącego naprężenia, które zdawało się zawsze powstawać między nią a tym mężczyzną siedzącym na skrzyni. Podniósł na nią oczy z wyrazem niezmierniej szczeroci i prostoty; zdawało się, że nie jest w stanie wzroku od niej oderwać. Patrzyła wciąż na niego poważnie, panując nad sobą z wielkim wysiłkiem.

— Jaka pani zmieniona — szepnął.

Pogrążył się ze szczerem w najzwyczajniejszym zdziwieniu. Wydawała mu się mściwą i jakby obróconą nazawsze w kamień wobec jego zmieszania i skruchy. Nazawsze. Nagle pani Travers rozejrzała się i usiadła. Siły ją zawiodły, ale wygląd jej był wciąż surowy; oparła ręce o poręczce fotela. Lingard westchnął głęboko i spuścił oczy. Nie śmiała zwolnić napięcia

wszystkich swych mięśni, bojąc się, iż straci zupełnie panowanie nad sobą, że nie dbając o nic, ulegnie porywowi czającemu się na dnie jej popłochu — że chwyci za rękę Człowieka Losu, przycisnie ją do piersi, odrzuci precz — i zniknie, zniknie z życia jak mara. Człowiek Losu siedział niemy i pochylony, lecz można było wyczuć siłę w jego zgnębieniu. „Jeżeli się nie odezwę“, rzekła do siebie pani Travers z wielkim wewnętrznym spokojem, „wybuchnę płaczem“. Powiedziała głośno:

— Co się mogło wydarzyć? Dlaczego pan mnie tu wciągnął? Dlaczego pan mi nie mówi, co za wieści nadeszły?

— Zdawało mi się, że pani nie chce ich słyszeć. Myślę, że pani nie chce tego doprawdy. Co to panią może wszystko obchodzić? Myślę, że pani zupełnie nie dba o to co czuję, co zrobię i jaki będzie mój koniec. Myślę naprawdę, że pani nie dba i o to, jak pani sama skończy. Że pani nie dbała nigdy ani o swoje uczucia, ani o czyjekolwiek inne. Nie dlatego, aby pani była nieczuła, ale dlatego, że pani nie wie, i nie chce wiedzieć, i że pani się gniewa na życie.

Machnął niedbale ręką i wówczas pani Travers zauważyła, iż Lingard trzyma kartkę papieru.

— Czy to są te wiadomości? — spytała znacząco. — Trudno sobie wyobrazić, aby w tej dziczy pismo miało jakieś znaczenie. I któżby mógł panu przesłać wieści na papierze? Czy mogę to zobaczyć? Czy zrozumiem? To po angielsku? No, Królu Tomie, proszę tak strasznie na mnie nie patrzeć.

Wstała nagle, nie w porywie oburzenia, ale jakby u kresu wytrzymałości. Klamry sadzone drogiemi ka-

mieniami i złote hafty połyskiwały nieuchwytnie w zgięciach jej szat, które zaszeleściły tajemniczo.

— Nie mogę tego znieść — krzyknęła. — Nie mogę znieść, żeby tak na mnie patrzano. Żadna kobieta tegoby nie zniosła. Na żadną kobietę nigdy tak nikt nie patrzył. Co pan we mnie widzi? Nienawiść mogłabym zrozumieć. O co pan mię posądza?

— Pani jest bardzo nadzwyczajna — szepnął Lingard, który odzyskał panowanie nad sobą wobec tego wybuchu.

— Oczywiście, i pan jest też nadzwyczajny. Wiadoma rzecz — ciąży na nas obojgu to przekleństwo i razem musimy stawić czoło wszystkiemu, co się stanie. Ale któż u Pana Boga mógł panu przysłać ten list?

— Kto? — powtórzył Lingard. — No ten młodzik, który natknął się na mój bryg pociemku, wioząc mi łódź pełną zgryzoty w ową spokojną noc — w cieśninie Carimaty. Najciemniejsza z nocy jakie kiedykolwiek widziałem. Noc przeklęta.

Pani Travers zagryzła wargi, czekała przez chwilę, wreszcie zapytała spokojnie:

— Co on tam znów ma za trudności?

— Trudności! — zawołał Lingard. — Ten młody dureń jest niezmiernie z siebie zadowolony. Pani wie, że wówczas, kiedy go pani przysłała do mnie na rozmowę zanim pani opuściła jacht, zjawił się z nabitym pistoletem w kieszeni. A teraz wziął i zrobił to.

— Zrobił to? — powtórzyła machinalnie pani Travers. — Co takiego zrobił?

Wyrwała kartkę papieru z biernej dłoni Lingarda. W chwili gdy rozprostowywała papier, Lingard zbliżył się i stanął tuż przy niej. Przebiegła

prędko pierwsze linje, potem oczy jej się uspokoiły. Przy końcu odetchnęła szybko i podniosła oczy na Lingarda. Twarze ich nigdy jeszcze nie znalazły się tak blisko siebie i pani Travers doznała przez zdumiewającą chwilę zupełnie nowego wrażenia. Odwróciła oczy.

— Czy pani rozumie, co to znaczy? — szepnął. Ręka pani Travers opadła wzdłuż ciała.

— Tak — rzekła cicho. — Umowa zerwana.

Carter zaczynał list bez żadnych wstępów.

*„Pan zwiął w środku nocy i zabrał pan panią Travers. Nie zostawił mi pan odpowiednich rozkazów. Ale jako marynarz uważałem, że jestem odpowiedzialny za oba statki, gdy tymczasem w odległości pół mili na tamtej mieliźnie obozowało przeszło stu korsarskich zbójów, czatujących na mnie zbliska jak tygrysy gotowe do skoku. Mijały dni bez jednego słowa od pana czy pani Travers. Nie mogłem nawet pomyśleć o opuszczeniu okrętów; nie mogłem puścić się za wami włąb łądu, mając na karku tych wszystkich piratów. Niech pan się postawi na mojem miejscu. Czy może pan sobie wyobrazić mój niepokój, moje bezsenne noce? Każda noc była gorszą od poprzedniej. I wciąż ani słowa wiadomości. Nie mogłem siedzieć spokojnie i suszyć sobie głowy o rzeczy, których niepodobna mi było zrozumieć. Jestem marynarzem. Pierwszym moim obowiązkiem było zabezpieczenie statków. Musiałem skończyć z tą niemożliwą sytuacją i mam nadzieję że pan uzna, iż zrobiłem to w sposób godny marynarza. Pewnego mglistego rana podjechałem na brygu do mieliżny i kiedy mgła się podniosła, otworzyłem natychmiast ogień na oba p r a o*

dzikich, zakotwiczone w cieśninie. Z początku celowaliśmy w dal, aby pozwolić tym włóczęgom na pokładzie dać nogę i połączyć się z towarzyszami obozującymi na piaskach. Nie chciałem nikogo zabijać. Potem puściliśmy w ruch długą armatę i po upływie godziny wybiliśmy dna z obu *prao*. Dzikusy na mieliźnie wyły i wrzeszczały za każdym strzałem. Żli są potężnie, ale teraz gwiżdżę już na to, bo zatopiwszy *prao* obróciłem ich w stado niewinnych jagniąt. Nie potrzebują ginąć z głodu na tej ławicy; mają tam dwa czy trzy czółna wyciągnięte na piasek i mogą się przeprowadzić na brzeg ze swemi kobietami, kiedy im się będzie podobalo.

„Zdaje mi się, że postąpiłem jak marynarz i jak marynarz mam zamiar dalej działać. Teraz gdy już zabezpieczyłem okręty, zabiorę się bez zwłoki do ściągania jachtu z mieliżny. Zrobiwszy to, uzbroję łodzie i udam się wgląd łądu, aby znaleźć pana i właścicieli jachtu; nie spocznę póki się nie dowiem, czy jesteście jeszcze przy życiu.

„Mam nadzieję, że słowa te dotrą do pana. Ledwie załatwiliśmy się z temi *prao*, przyплыł od zachodu ów człowiek, którego pan wysłał tamtej nocy w Carimacie, aby zatrzymał naszego pierwszego oficera; człowiek ten przyholował nasz wielki gig z załogą; wszyscy czują się dobrze. Pański serang mi mówi, że to jest goniec zastługujący na największe zaufanie; nazywa się Dżaffir. Zdaje mi się, że aż nabyt mu pilno dostać się do pana jaknajprędzej. Powtarzam: okręty są zabezpieczone, tak samo jak i łodzie, i nie myślę was opuścić — żywych czy umarłych“.

— Pani się szybko orientuje — rzekł Lingard tę-  
pym głosem, a pani Travers patrzyła mu w twarz  
niespokojnymi oczami, trzymając kartkę w zaciśniętej  
dłoni. — Spisał się sprytnie — ani słowa.

— Nie wiedział — szepnęła pani Travers.

— Tak, nie wiedział. Ale czy mogłem przypuścić  
wszystkich do sekretu? — odparł Lingard równie zni-  
żonym głosem. — I komu innemu mogłem zaufać? Zda-  
wało mi się, że powinien zrozumieć bez słów. Ale jest  
za młody. Może zaiste być dumny, patrząc na to ze  
swego punktu widzenia. Spisał się gracko z tą robotą —  
niech go djabli! I oto życie nas wszystkich tutaj zależy  
od mego słowa — które jest teraz złamane, proszę pani.  
Jest złamane.

Pani Travers skinęła lekko głową.

— Byliby się raczej spodziewali, że słońce i księ-  
życ spadną z nieba — ciągnął z tłumionym ogniem.  
Wydawało się pani Travers iż ogień ten zagasł po chwili;  
usłyszała Lingarda mruczącego coś bez sensu: — ...Świat  
zapadł się dokoła.

— Co pan zrobi? — szepnęła.

— Co ja zrobię? — powtórzył Lingard łagodnie. —  
Ach tak — co zrobię. Proszę pani, czy pani nie ro-  
zumie, że ja jestem teraz niczem. Poprostu niczem.

Zatracił się w kontemplacji jej twarzy, zwróconej  
ku niemu z wyrazem ciekawości i zgrozy. Wstrząs  
świata, który się zapadł nad jego głową z powodu  
sprytu Cartera, był tak straszliwy, że stępił wrażli-  
wość Lingarda jak wielki ból albo wielka katastrofa.  
Na cóż mógł patrzeć, jeśli nie na twarz tej kobiety,  
w świecie, który w mgnieniu oka stracił swą rzeczy-  
wistość, swój kształt, swe obietnice.

Pani Travers odwróciła oczy. Zrozumiała że stawia

Lingardowi niemożliwe pytanie. To, co ona traktowała jako zagadnienie, stanowiło dla niego przełom duchowy. Było oczywiście, że czyn Cartera złamał układ zawarty z Damanem; pani Travers dość była inteligentna, aby zrozumieć iż tego rodzaju rzeczy nie dają się naprawić słowami. Nie odczuwała zgrozy ale coś nakształt konsternacji, jak gdyby zawód człowieka, który spóźnił się właśnie na pociąg. Tylko czuła to silniej. Prawdziwa trwoga musiała dopiero utorować sobie drogę do jej świadomości. Dla Lingarda był to cios w samo serce.

Nie gniewał się na Cartera. Ten chłopak postąpił jak marynarz. Troszczył się przedewszystkiem o statki. W tym nieszczęsnym zbiegu okoliczności Carter był tylko szczegółem. Właściwy powód klęski tkwił gdzieś — dalej — było to coś innego. I w tej samej chwili Lingard nie mógł się oprzeć poczuciu, że to tkwiło także w nim samym, gdzieś w niezbadanych głębiach jego natury — nieuchronne i zgubne. Szepnął do siebie: — Nie. Ja nie mam szczęścia.

Był to zaledwie słaby wyraz odkrytej prawdy; ta prawda przeniknęła go nagle, jakby wtłoczona do jego piersi przez jakąś świeżo objawioną siłę, która postanowiła, że tu jest kres jego lotu. Ale nie był to człowiek skłonny do rozpamiętywania swych uczuć. Walka z zewnątrzniemi okolicznościami była jego żywiołem i właśnie chciał porwać się do niej; ale brakowało mu teraz tego władczego instynktu, który jest połową wygranej. Wszelkiego rodzaju zmaganie się było prawdziwą treścią jego życia. Ale w tem ostatniem starciu tkwiło coś, czego nigdy jeszcze nie zaznał. To starcie zaszło w nim samym. Musiał przeciwstawić się siłom, których nie przeczuwał, wrogom, których nie mógł



spotkać u wrót. Byli wewnątrz, jak gdyby ktoś go zdradził — jakiś ukryty nieprzyjaciel. Chciał się rozejrzeć, szukając tego chytrego zdrajcy. Poczuł w sobie jak gdyby pustkę i nagle pomyślał: „Jakto! przecież to ja sam“.

W jednej chwili wróciła mu jasna, bezlitosna pamięć o Hassimie i Immadzie. Ujrzał ich w dali za lasami. O tak, istnieli — w jego piersi!

— Cóż to była za noc! — mruknął, spoglądając w oczy pani Travers. Nie przestawał na nią patrzeć ani przez chwilę. Wzrok jego trzymał ją pod czarem, choć przez całą nieskończoną minutę Lingard nie zdawał sobie sprawy z jej obecności. Na jego szept poruszyła się zlekka i znów ją zobaczył.

— Jaka noc? — szepnęła nieśmiało jak intruz.

— Niepodobna do dzisiejszej — rzekł. — Zwróciła pani wówczas moją uwagę, jak cicho jest i spokojnie. Tak. Niech pani posłucha jak teraz jest cicho.

Oboje przechylili zlekka głowy i zdawali się nadstawiać ucha. Nie było słyhać żadnego szepotu, westchnienia, szumu, plusku czy stąpięcia. Ani szmeru, ani drgnienia, żadnego wogóle dźwięku. Zdawało się, że są sami na pokładzie *Emmy*, opuszczeni nawet przez ducha kapitana Jörgensona, który powrócił do barki *Dzika Róża*, na wybrzeża Cymmeryjskiego morza.

— To jakby cisza końca — rzekła pani Travers cichym, równym głosem.

— Tak, ale to jest także fałsz — rzekł Lingard tym samym tonem.

— Nie rozumiem — zaczęła śpiesznie pani Travers po chwili milczenia. — Niech pan nie używa tego słowa. Proszę go nie używać, Królu Tomie! Sam jego dźwięk mię przestrasza.

Lingard nic nie odrzekł. Myśli jego wróciły znów do Hassima i Immady. Młody radża i jego siostra udali się byli z własnej woli w głąb kraju do Belaraba; chcieli go namówić aby wrócił i objął znów kierownictwo wszystkich spraw w osadzie. Hassim i Immada zawieźli ważne zlecenia od Lingarda, który dla Belaraba był wcieleniem prawdy i siły, bezwzględnej siły, pozwalającej Belarabowi oddawać się melancholijnym wahaniom. Lecz tych dwoje młodych miało też urok osobisty. Byli przyjaciółmi od serca Lingarda. Byli jak gdyby jego dziećmi. Poza tem wysokie ich urodzenie, wojownicze życie, wędrówki, przygody i nadzieje otaczały ich swoistym urokiem.

## V

Tego samego dnia, gdy Travers i d'Alcacer przybyli na pokład *Emmy*, Hassim i Immada wyruszyli ze swoją misją; Lingard bowiem nie mógł, oczywiście, zostawić białych z samym Jörgensonem. Jörgenson zachowywał się poprawnie, ale miał pewien nieuleczalny zwyczaj: pomrukiwał często pod wąsem, że „rzuci zapałkę między beczki z prochem“, co przejmowało Lingarda pewną nieufnością. A pozatem nie chciało się Lingardowi opuścić pani Travers.

Jedynym mądrym pomysłem Cartera było to, że wysłał Lingardowi raport przez Dżaffira. Ten mężny bojownik, pływak i oddany poplecznik nieszczęśliwych książąt, Hassima i Immady, uważał za drobnostkę tamtą misję (powierzoną mu w Carimacie przez Lingarda) mającą na celu dopędzenie głównego oficera z jachtu. Zajęło mu to wprawdzie nieco więcej czasu niż się spodziewał, ale powrócił na bryg w samą porę, aby

po paru godzinach wypoczynku wyruszyć znów do Lingarda z listem Cartera. Przed opuszczeniem brygu wysłuchał z ust Wasuba opowieści o wszystkich wypadkach, i choć twarz jego zachowała niewzruszoną powagę, w głębi duszy nie podobało mu się bynajmniej to, co zaszło na brygu.

Nieustraszony i chytry, Dżaffir był jedynym do spełniania trudnych misyj; był urodzonym wysłańcem — jak się sam wyrażał: „do noszenia ważkich słów między wielkimi mężczyznami“. Pamięć miał niezawodną i umiał powtórzyć wiernie powierzone mu słowa, czy były łagodne, czy twarde, czy dotyczyły spraw publicznych, czy też prywatnych — ponieważ nie znał trwogi. Gdy Dżaffir podjął się zlecenia, nie trzeba było pisać listu, który mógłby wpaść w ręce wroga. Gdyby posłaniec zmarł w drodze, zlecenie zginęłoby z nim razem. Miał także dar orjentowania się w każdej sytuacji i czujne oko. Należał zaiste do ludzi, którzy umieją udzielić wiarogodnych informacji kierownikom wielkich przedsięwzięć. Lingard zadał mu kilka pytań, ale w tym wypadku, oczywiście, Dżaffir mógł mieć bardzo niewiele do powiedzenia. O Carterze, którego nazywał „młodzikiem“, rzekł, iż wyglądał jak zwykle człowiek biały, kiedy jest z siebie zadowolony; potem dodał, nie czekając na wyraźne zapytanie: „Statki tam na morzu są teraz dość bezpieczne, o Radzo Laucie!“ W głosie jego nie było zachwyty.

Lingard patrzył nań bez wyrazu. Gdy Największy z Białych Ludzi zauważył, że trzeba będzie jeszcze za to bezpieczeństwo zapłacić, Dżaffir rzekł potwierdzająco: „Tak, na Allaha!“ — nie tracąc ani na chwilę groźnego spokoju. Gdy usłyszał iż Lingard żąda od niego, aby odszukał swego pana i księżniczkę Immadę,

k którzy znajdują się gdzieś w głębi kraju, w wędrownym obozie Belaraba, oświadczył że jest gotów do drogi. Najadł się dosyta, przespał ze trzy godziny na pokładzie i nie był zmęczony. Za młodych lat ogarniało go czasem zmęczenie; ale już oddawna nie znał podobnej słabości. Dżaffir nie chciał brać łodzi z wiosłarzami, która go przywiozła na lagunę. Postanowił jechać sam w małym czółnie, uważając, że nie jest to czas odpowiedni do rozgłosu i ostentacji. Tłumiony długo niepokój wyrwał mu słowa: „Mam wrażenie, tuanie, że od owej nocy, gdy przyżegłowałeś w czarnej chmurze i zabrałeś nas wszystkich z ostrokołu, radza Hassim i księżniczka Immada nie byli tak blisko śmierci“.

Lingard nic na to nie odrzekł, lecz Dżaffir pokładał w tym białym wiare, którą zachwiać było niełatwo.

— Jak ich ocalisz tym razem, Radzo Laucie? — spytał poprostu.

— Belarab jest moim przyjacielem — mruknął Lingard.

Pod wpływem troski Dżaffir stał się otwartym.

— To przyjaciel pokoju! — wykrzyknął znizonym głosem. — Któżby mógł być bezpieczny z podobnym człowiekiem? — zapytał pogardliwie.

— Nie mamy teraz wojny — rzekł Lingard.

— Ale są podejrzenia, strach, i zemsta, i gniew zbrojnych mężów — odparł Dżaffir. — Wydobyłeś białych więźniów z ich rąk jedynie siłą swoich słów. Czy nie tak, tuanie?

— I masz ich tu na pokładzie? — spytał Dżaffir, spojrzawszy przez ramię na białą i mglistą budowlę, wewnątrz której d'Alcacer rozmawiał właśnie z panią Travers przy świetle małego, olejnego płomyka.

— Tak, mam ich tutaj.

— Więc, o Radžo Laucie, możesz wszystko zażegnać, jeśli ich oddasz z powrotem.

— Czyż mogę tak postąpić? — wionęło przez wargi Lingarda w stronę wiernego zauszniaka Hassima i Immady.

— Czyż możesz postąpić inaczej? — odparł szeptem Dżaffir, wysłannik przyzwyczajony mówić otwarcie do wielkich tej ziemi. — Jesteś człowiekiem białym i masz tylko jedno słowo. A teraz idę.

Małe, zgruba obciosane czółenka zaniesiono w stronę trapu. Cień *kalasza*, krążącego z szacunkiem w ciemnościach pokładu, chrząknął już znacząco dwa razy.

— Tak, Dżaffirze, idź — rzekł Lingard — i bądź mym przyjacielem.

— Jestem przyjacielem potężnego księcia — rzekł tamten śmiało. — Lecz ty, Radžo Laucie, byłeś jeszcze większym od niego. I pozostaniesz wielkim jak długo będziesz z nami, z ludem tego morza i tego kraju. Ale cóż się dzieje z siłą twego ramienia wobec twych białych rodaków? Gdzie się ona podziewa? To też musimy wierzyć w siłę twego serca.

— Mam nadzieję, że nie zawiedzie was nigdy — rzekł Lingard, a Dżaffir wydał pomruk pełen zadowolenia. — Ale Bóg jeden patrzy w ludzkie serca.

— Tak. Ucieczką naszą jest Alláh — potwierdził Dżaffir, który przyzwyczał się do pobożnych zwrotów, obcując z ludźmi pełniącymi gorliwie praktyki religijne; było ich wielu w obrębie ostrokołu Belaraba. I rzeczywiście pokładał całą swą ufność w Lingardzie, który miał dla niego urok opatrznociowego człowieka, zesłanego przez samo niebo w krytycznej chwili. Cekał jeszcze przez chwilę, wreszcie spytał: — A jakie mam zawieźć zlecenie?

— Opowiedz radzy Hassimowi o wszystkim cò zaszło — rzekł Lingard. — I powiedz mu, aby jaknajprędzej przybył tu potajemnie z księżniczką, swą siostrą Nadszedł czas wielkich trosk. Bądźmy przynajmniej razem.

— Słusznie! Słusznie! — przytakiwał Dżaffir serdecznie. — Umierać w samotności pod naporem nieprzyjaciół, to straszny los.

Wycofał się ze światła lampy, przy której rozmawiali; zeszedł do czołna, ujął wiosło i bez pluśnięcia znikł na ciemnej lagunie.

W tej chwili właśnie pani Travers i d'Alcacer usłyszeli, że Lingard woła głośno na Jörgensona. Znajomy cień stanął natychmiast u boku Lingarda i słuchał w obojętnem milczeniu. Dopiero przy końcu opowiadania zdziwił się głośno: „Ot masz! Piwo nawarzone; jeśli chcesz, możesz je wypić“. Ale właściwie nie było takiej rzeczy na świecie, któraby mogła zdziwić albo zaskoczyć starego Jörgensona. Odwrócił się, mruczając coś pod nosem. Lingard siedział wciąż z brodą wspartą na dłoni, a ostatnie słowa Dżaffira zawładnęły nim stopniowo. Nagle wziął lampę i poszedł po panią Travers. Poszedł po nią, bo potrzebował poprostu jej fizycznej obecności, dźwięku jej głosu, ciemnego, przejrzystego spojrzenia jej oczu. Wiedział, że nie mogła mu pomóc. Idąc, zauważył że Jörgenson kazał się zebrać nielicznym Malajom i rozmieszczał ich na pokładzie, aby śledzili lagunę ze wszystkich stron. Wywoławszy z klatki panią Travers, Lingard — mimo swej walki wewnętrznej — zdał sobie sprawę, że doznaje pewnego zadowolenia, odbierając ją d'Alcacerowi. Nie mógł znieść, aby jej uwaga zatrzymała się na innym mężczyźnie, choćby tylko przez okruszynę czasu — nie mógł ustąpić nikomu najdrob-

niejszej cząsteczki jej myśli! Ządał wszystkiego dla siebie. Gdy widział, że myśl pani Travers odwraca się od niego na chwilę — ogarniał go gniew, wydawało mu się to klęską.

Po odejściu pani Travers d'Alcacer rozważał ze zdziwieniem rozkazujący ton Lingarda. Okoliczność ta wydała się ważną temu obserwatorowi, wrażliwemu na wszelkie odcienie. „To poprostu nerwy“ — powiedział sobie. „Ten człowiek jest przemęczony. Musiało coś nim wstrząsnąć“. Ale co? — dziwił się w dalszym ciągu. Wśród zastoju i naprężonego oczekiwania tych dni najlżejsze drgnięcie miało ogromną wagę. D'Alcacer nie położył się na swem łóżku polowem. Nie usiadł nawet. Zwróciwszy się tyłem do stołu, oparł się rękami o jego brzeg. Stojąc w tej niedbałej pozie zachował czujność myśli, które przez chwilę zajęły się pytaniem, czy pani Travers nie rozpieściła trochę Lingarda. Lecz wśród okoliczności, które spadły na nich tak nagle i — według d'Alcacera — kryły jakieś moralne zagadnienie, niezmiernie było trudno ustalić ściśle miarę bezwzględnych wymagań i koniecznej powściągliwości, utrzymać równowagę między śmiałością a ostrożnem postępowaniem. I d'Alcacer podziwiał naogół zręczność pani Travers.

Nie ulegało wątpliwości, że sytuacja była w jej rękach. To oczywiście nie świadczyło jeszcze o bezpieczeństwie. Trzymała ją w ręku jak jakiś niebezpieczny wybuchowy materiał. D'Alcacer myślał o pani Travers z głęboką sympatją i zainteresowaniem pozbawionem egoizmu. Spotykamy czasem na ulicy osoby zniewalające do sympatji i podziwu; ale mimo to nie wchodzimy za nimi do ich mieszkania. D'Alcacer powstrzymał się od dalszych obserwacji. Nagle spo-

strzegł, że Travers siedzi na łóżku połowem. Podniósł się zupełnie nieoczekiwanie. Przed chwilą zaledwie zdawało się, że jest pogrążony w głębokim śnie i przez dłuższy czas panowała niczem nie zamacona cisza. D'Alcacer wykrzyknął aż ze zdziwienia, na co pan Travers zwrócił powoli głowę w jego stronę. D'Alcacer zbliżył się do łóżka z pewną niechęcią.

— Pan nie śpi? — zapytał.

— Dostałem nagle dreszczów — rzekł pan Travers. — Ale teraz już nie jest mi zimno. To dziwne! Zdawało mi się, że powiał jakiś lodowaty podmuch.

— Ach tak — rzekł d'Alcacer.

— To oczywiście niemożliwe — ciągnął pan Travers. — Tutejsze zastałe powietrze nie porusza się nigdy. Lepi się wstrętne do człowieka. Która godzina?

— Doprawdy że nie wiem.

— Szkiełko mego zegarka stłukło się wtedy wieczorem na mieliźnie, kiedy ci dzicy napadli na nas tak zdradziecko — sarknął pan Travers.

— Muszę przyznać, że nigdy w życiu nie byłem tak zdumiony — zwierzył się d'Alcacer. — Pamięta pan, zatrzymaliśmy się i zapalałem cygaro.

— Nie przypominam sobie — rzekł pan Travers. — Wyciągnąłem wtedy właśnie zegarek. Wyleciał mi z rąk naturalnie, ale trzymał się na łańcuszku. Ktoś na niego nadepnął. Wskazówki są odłamane. Zegarek ciągle tyka, ale nie mogę zobaczyć która godzina. To okropnie irytujące.

— To znaczy, że pan nakręca zegarek co wieczór?

Pan Travers spojrział na niego w górę ze swego łóżka i wydał się także zdziwionym.

— No, zdaje mi się że tak. — Milczał przez chwilę. — To nie jest takie bezmyślne, jakby się panu



mogło zdawać. Moje przyzwyczajenia są wynikiem ścisłej metody. Musiałem swoje życie systematycznie uporządkować. Pan wie bardzo dobrze, że bez ścisłej metody nie byłbym mógł dać sobie rady ze swoją pracą i nie starczyłoby mi czasu na obowiązki towarzyskie, które mają naturalnie bardzo wielkie znaczenie. Mogę powiedzieć że jeśli chodzi o stronę materialną, systematyczność była podstawą mego powodzenia w życiu publicznem. Mój dzień nie zawierał nigdy pustych chwil. A teraz!... — Rozejrzył się po klatce... — Gdzie moja żona?

— Rozmawiałem z nią przed chwilą — odrzekł d'Alcacer. — Nie wiem, która godzina. Mój zegarek został na jachcie; ale wcale jeszcze nie jest późno.

Pan Travers odrzucił z niezwykłą porywcznością okrywające go bawełniane prześcieradło. Zapiął pośpiesznie kurtkę, którą rozpiął był przed położeniem się, i właśnie w chwili gdy d'Alcacer oczekiwał, że spuści gwałtownie nogi na podłogę, opadł znów na poduszki i leżał bez ruchu.

D'Alcacer czekał przez chwilę, potem zaczął chodzić miarowo po klatce. Przeszedłszy się parę razy, zatrzymał się i rzekł łagodnie:

— Obawiam się, że pan niebardzo dobrze się czuje.

— Nie wiem wcale, co to choroba — odrzekł głos z poduszki ku wielkiej uldze d'Alcacera, który się faktycznie odpowiedzi nie spodziewał. — Dobre zdrowie, to wielka pomoc w życiu publicznem. Choroba może narazić człowieka na to, że się straci jakąś jedyną sposobność. Nie chorowałem nigdy.

Wszystko to było wypowiedziane stłumionym głosem, jakby pan Travers mówił z twarzą ukrytą w poduszce. D'Alcacer zaczął znów chodzić.

— Zdaje mi się że pana pytałem, gdzie moja żona — rzekł stłumiony głos.

Z wielką przytomnością umysłu d'Alcacer nie zatrzymał się i chodził wciąż po klatce, jak gdyby nic nie słyszał.

— Wie pan, ja myślę że ona zwarzowała — ciągnął stłumiony głos. — Albo też ja zwarzowałem.

I znów udało się d'Alcacerowi nie przerwać swego miarowego spaceru.

— A wie pan co ja myślę? — rzekł zniechęca. — Myślę, że panu nie chce się o niej mówić. Myślę, że panu wogóle nie chce się mówić. A jeśli mam panu powiedzieć prawdę, to i mnie również.

D'Alcacer posłyszał od strony poduszki lekkie westchnienie i w tej samej chwili ujrzał, że słabe, mętne światło ukazuje się nazewnątrz klatki. Lecz chodził ciągle. Pani Travers i Lingard wyszli z domku i zatrzymali się przed drzwiami; Lingard postawił lampę na dachu. Byli zadaleko od d'Alcacera, aby ich mógł usłyszeć, ale widział ich; panią Travers, prostą jak strzała i ciężką sylwetę mężczyzny, który stał naprzeciw niej ze spuszczoną głową. Widział twarz jego z profilu na tle światła; lekkie pochylenie głowy wydawało się pełnem szacunku. Patrzyli sobie wprost w oczy. Oboje nie poruszali się wcale.

— Jest we mnie coś — szepnął Lingard poważnie — od czego moje serce mogłoby się stać twardszem niż kamień. Jestem Królem Tomem, Radzą Lautem, i mogę śmiało spojrzeć w twarz każdemu w tej okolicy. Muszę dbać o swoje dobre imię. Na tem polega wszystko.

— Pan d'Alcacer wyraziłby się, że wszystko zależy od honoru — wyrzekła pani Travers wargami,

które nie drżały, choć czuła od czasu do czasu przyśpieszone bicie serca.

— Niech pani to nazwie, jak pani chce. To jest coś, czego człowiek potrzebuje by móc swobodnie oddychać. I niech pani posłucha! Jak mnie pani tu widzi stojącego przed sobą — nie dbam już o to.

— Ale ja dbam — odparła pani Travers. — Tak jak mnie pan tu widzi — dbam o to. To jest coś, co istotnie do pana należy. Pan ma do tego prawo. I powtarzam, że chodzi mi o to.

— Pani dba o coś mojego? — szepnął Lingard tuż przy jej twarzy. — Dlaczego by pani miała dbać o moje prawo?

— Ponieważ — odrzekła, stojąc niewzruszenie, choć czoła ich się prawie stykały — ponieważ, jeśli kiedykolwiek powrócę do swego życia, nie chcę aby się stało jeszcze bezsensowniejszem z powodu wyrzutów sumienia.

Mówiła cicho; Lingard poczuł na twarzy jej oddech jak pieczętę. D'Alcacer w klatce uczynił znów wysiłek, aby nie przerwać swego miarowego spaceru. Nie chciał nastęrczyć Traversowi najłżejszej okazji do podniesienia się na łożku i rozejrzenia wokoło.

— Że też dożyłem tej chwili — i słyszę, że ktoś dba o coś mojego! — szepnął Lingard. — I że to właśnie pani — pani, która odjęła mi całą moją twardość.

— Nie chcę, aby pana serce było twarde. Chcę, aby było mocne.

— Nic lepszego nie mogła pani powiedzieć aby je uczynić spokojnem — popłynął szept Lingarda. — Czy miał kto kiedy takiego przyjaciela? — wykrzyknął, podnosząc głowę, jakby gwiazdzistą noc brał na świadka.

— A ja siebie pytam, czy mógłby się znaleźć na świecie drugi człowiek, któremubym wierzyła jak wierzę panu. I mówię: dobrze! Niech pan idzie i ocali to, co pan ma prawo ocalić, i niech pan nie zapomina o miłosierdziu. Nie będę panu powtarzała, że jesteśmy zupełnie niewinni. Ziemia musi być małą zaiste, jeśli wplątaliśmy się tak w pańskie życie. To dość by uwierzyć w przeznaczenie. Ale nie umiałabym zachowywać się jak fatalistka i siedzieć z założonemi rękami. A gdyby pan był człowiekiem innego rodzaju, albobym straciła nadzieję, albo ogarnęłaby mnie pogarda. Czy pan wie, jak d'Alcacer pana nazywa?

Wewnątrz klatki d'Alcacer, spoglądający z ciekawością w ich stronę, zobaczył że Lingard potrząsa przecząco głową, i pomyślał z lekkim niepokojem: „Odmawia jej czegoś“.

— D'Alcacer nazwał pana Człowiekiem Losu — odrzekła pani Travers, a oddech jej przyspieszył się nieco.

— To wielkie słowo. Wszystko jedno, on jest dżentelmenem. Chodzi mi o to, jak pani...

— Nazywam pana różnie — tylko nie pańskim imieniem — rzekła śpiesznie pani Travers. — Niech mi pan wierzy, d'Alcacer pana rozumie.

— On jest w porządku — wtrącił Lingard.

— I jest niewinny. Pamiętam, co pan powiedział: że niewinni muszą się zdać na los szczęścia. No więc, niechże pan robi to co jest słuszne.

— Pani myśli, że to jest słuszne? Pani w to wierzy? Pani to czuje?

— W tym czasie, na tem miejscu, ze strony takiego człowieka jak pan — — Tak, to jest słuszne.

Lingard pomyślał iż ta kobieta przedziwnie jest

mu wierna i nieustraszona w stosunku do samej siebie. Konieczność odwiezienia obu więźniów do ostrokołu Belaraba była teraz tak jasna i nieunikniona, że — sądził Lingard — nic w świecie nie byłoby go mogło od tego powstrzymać; ale gdzie znaleźć na ziemi drugą kobietę, któraby się tak do tego odniosła? I pomyślał, że w prawości i odwadze jest mądrość. Wydało mu się, że póki pani Travers nie stanęła u jego boku, nie wiedział nigdy, co to prawość, i odwaga, i mądrość. Zapatrzony w panią Travers, usłyszał, że zasługuje na to w jej oczach, aby mu rozkazywać i aby go błagać; i uczuł przez chwilę pełnię zadowolenia — jakby zupełnego moralnego wypoczynku.

Stał, milcząc, a pani Travers spojrzała szybko w bok i spostrzegła d'Alcadera — jak się widzi kogoś we mgle — ciemną postać stojącą tuż za ścianą z muślinu. Nie wątpiła, że patrzy w ich stronę, i że widzi ich daleko wyraźniej niż ona jego. Przyszło jej nagle na myśl jaki musi być niespokojny i przypomniała sobie, że prosił ją o jakiś znak, o jakieś ostrzeżenie w krytycznej chwili. Zrozumiała bardzo dobrze jego prośbę o chwilę czasu, by się mógł przygotować. Jeśli miał uzyskać więcej niż kilka minut, był to właśnie czas odpowiedni aby dać mu znak — znak, który sam podsunął. Pani Travers cofnęła się odrobinę, tak że światło padło na nią w całej pełni, i powolnym, wyraźnym ruchem przyłożyła lewą rękę do czoła.

— A więc — usłyszała gwałtowny szept Lingarda — a więc, proszę pani, musi się to stać dziś w nocy.

Można być prawym, nieustraszonym i mądrym, a jednak zdrzeć wobec prostej, nieuniknionej konieczności. Pani Travers drgnęła: „Dziś jeszcze! Dziś

jeszcze!“ wyszeptała. Ciemna i mglista sylweta d’Alcacara stała się mniej wyraźną. Zobaczył jej znak i cofnął się wgląb klatki.

— Tak, dziś w nocy — powtórzył Lingard. — Teraz, odrazu, w tej godzinie, w tej chwili — szeptał gwałtownie, następując na cofającą się panią Travers. Poczuela że chwycił ją szybko za ramię. — Czy pani nie rozumie, że jeśli to ma odnieść jakiś skutek, jeśli nie mają być wydani poprostu na rzeź, musi to się stać póki jeszcze ciemno na brzegu, póki uzbrojona, wrzaskliwa tłuszcza nie podpłytnie do nas w łodziach. Tak. Musi się to stać w przeciągu godziny, abym kołatał do wrót Belaraba, gdy cała osada jeszcze spać będzie.

Pani Travers nie myślała wcale protestować. Nie mogła na razie wymówić ani słowa. Ten człowiek był niezmiernie gwałtowny; puścił jej ramię równie nagle jak je pochwycił (wśród wzburzenia mignęła jej myśl, dziwaczna w tych okolicznościach, że z pewnością jutro będzie siniak w tem miejscu), a jednocześnie skrucha zabrzmiała w jego szepcie.

— A nawet i teraz jest prawie zapóźno! Droga była przede mną wyraźna, ale zobaczyłem na niej panią i serce moje upadło. Czulem w sobie pustkę i nie śmiałem spojrzeć pani w twarz. Pani mi musi wybaczyć. Nie, nie miałem prawa wątpić o pani ani przez chwilę. Mam uczucie iż powinienem paść na kolana i błagać o przebaczenie, że zapomniałem czem pani jest, że się ośmieliłem zapomnieć.

— Ależ o co chodzi, Królu Tomie?

— Wydaje mi się, że zgrzeszyłem — postłyszala. Chwycił ją za ramiona, obrócił, pociągnął parę kroków naprzód. Ręce jego były ciężkie, a siła nieod-

parta, choć sobie wyobrażał, że się z nią delikatnie obchodzi.

— Niech pani spojrzy przed siebie — burknął jej w ucho. — Czy pani coś widzi? — Pani Travers, bierna w jego nieugiętych ramionach, nie mogła nic dostrzec prócz zwartych, bezkształtnych cieni w dali na wybrzeżu.

— Nie, nic nie widzę — odrzekła.

— Widocznie pani nie patrzy we właściwym kierunku — usłyszała za sobą. Poczwała teraz swą głowę w rękach Lingarda. Zwrócił ją nieznacznie na prawo. — No a teraz pani widzi?

— Nie. Co mam zobaczyć?

— Błysk światła — rzekł Lingard, puszczając nagle jej głowę. — Błysk, który rozrośnie się w łunę, nim nasza łódź dopłynie do środka laguny.

Właśnie w chwili gdy Lingard to mówił, pani Travers dostrzegła czerwoną iskrę w oddali. Przypatrywała się dość często osadzie, niby obrazowi wymalowanemu na kurtynie, i mogła się teraz zorjentować, że iskra zapaliła się na brzegu, w punkcie najbardziej odległym od ostrokołu Belaraba.

— Chróst się zajmuje — szepnął jej Lingard do ucha. — Gdyby mieli trochę suchej trawy, jużby cały stos gorzał.

— A to znaczy...

— Znaczy, że wieść się rozeszła. Ogień pali się przed ogrodzeniem Tenggi, u końca jego wybrzeża. Tam się zebrały najtęższe głowy osady. To oznacza narady, i niepokój, i moc przebiegłych słów. — Ogni-sko Tenggi! Mówię pani, nie upłynie pół godziny, a Daman zjawi się tam aby zawrzeć przyjaźń z tłu-

stym Tengga, który gotów mu powiedzieć: „Czy ci tego nie mówiłem?”

— Rozumiem — szepnęła pani Travers. — Lingard pociągnął ją łagodnie ku poręczy.

— A teraz niech pani spojrzy na tamten koniec wybrzeża, gdzie cienie najbardziej są zwarte. To fort Belaraba, jego domy, jego skarbiec, jego stronnicy. Oto tam jest siła osady. Ja ją podtrzymałem. Ja uczyniłem ją trwałą. Ale czemu jest teraz? Jak gdyby bronią w ręku martwego człowieka. A jednak tylko stamtąd możemy się czegoś spodziewać, o ile jeszcze czas na to. Przysięgam pani, że nie ośmieliłbym się wysadzić ich na brzeg za dnia, ze strachu aby ich nie zamordowano na miejscu.

— Niema czasu do stracenia — wyszeptała pani Travers, a Lingard odrzekł równie cicho:

— Nie — jeśli i ja nie mam utracić tego, co jest mojem prawem. To pani tak powiedziała.

— Tak, powiedziałam to — szepnęła, nie podnosząc głowy. Lingard poruszył się gwałtownie u jej boku i pochylił głowę nisko nad jej ramieniem.

— A ja pani nie dowierzałem! Powinienem ucałować kraj pani sukni, jak to robią Arabowie ze swymi wielkimi ludźmi, kajając się za to, że zwątpiłem o wielkości pani serca.

— Och, moje serce — rzekła lekko pani Travers, patrząc wciąż w ogień, który strzelił nagle wgórę i stał się wielkiem ogniskiem. — Mogę pana zapewnić, że nie odegrało w świecie wielkiej roli. — Zamilkła na chwilę aby opanować swój głos, poczem rzekła stanowczo: — Niechże się to stanie.

— Jeśli mam pani powiedzieć prawdę, łódź czeka już od pewnego czasu.



— No więc...

— Proszę pani — rzekł Lingard z wysiłkiem — to są ludzie z pani sfery. — I nagle wybuchnął: — Nie mogę ich zabrać na brzeg ze związanymi rękami i nogami!

— D'Alcacer już wie. Zastanie go pan przygotowanego. Od samego początku był gotów na wszystko.

— To człowiek co się zowie — rzekł Lingard z przekonaniem. — Ale ja myślę o tym drugim.

— Właśnie, o tym drugim — powtórzyła. — A czy ja o nim nie myślę? Na szczęście mamy d'Alcacera. Pomówię najpierw z nim.

Odwróciła się od burty i poszła w stronę klatki.

— Jörgenson — rozległ się po całym pokładzie głos Lingarda — każ oświetlić przejście.

I ruszył z wolna za panią Travers.

## VI

Otrzymawszy ostrzeżenie, d'Alcacer cofnął się i oparł o brzeg stołu. Nie mógł sobie nie uświadomić, że jest do pewnego stopnia wzruszony. I rzeczywiście, gdy prosił panią Travers o jakiś znak, przypuszczał że go to przejmie — ale nie sądził, że ujrzy ten znak tak prędko. Spodziewał się że i ta noc, jak wiele innych, upłynie mu na przerywanej drzemce, wśród niewygód i niepokoju rozstrzelonych myśli. A przytem zaskoczyło go własne wzruszenie. Pochlebiał sobie, iż ma większy zasób filozofji. Przyszło mu na myśl, że ten sławny instynkt samozachowawczy jest dziwnym objawem, objawem czysto zwierzęcym. „Bo jako myślącego człowieka“, zastanawiał się, „naprawdę nie powinnioby mnie to obejść“. Może być iż niezwykłość sytuacji tak

na niego podziałała. Oczywiście. Gdyby leżał poważnie chory w hotelowym pokoju i posłyszał jakieś złowróżbne szepty, wcaleby go to nie obeszło. Tak, ale wówczas byłby naprawdę chory — a w chorobie człowiek staje się takim nieczułym. Choroba pomaga bardzo do obojętnego zachowania, które jest naturalnie jedynie właściwym zachowaniem dla światowego człowieka. Prawie żałował, że nie jest bardzo chory. Lecz pan Travers był najwidoczniej chory, a to mu śnać niewiele pomagało. D'Alcacer spojrzął na jego łóżko; pan Travers leżał tak nieruchomo, że wydało się to d'Alcacerowi wyraźnie sztucznem. Nie dowierzał tej jego postawie. Wogóle nie dowierzał panu Traversowi. Niepodobna było odgadnąć, co ten człowiek zrobi za chwilę. Nie mógł oczywiście wpłynąć na wypadki w żadnym kierunku, ale zachodziła obawa, że pozbawi wszelkiej godności sytuację, która powinna się odznaczać powagą jako zrządzenie losu, jako okazja do męstwa. D'Alcacer był bystrym obserwatorem, czujnym na najsubtelniejsze odcienie i wołał się uważać za ofiarę nie oszusta lecz prymitywnego człowieka, zaplątanego naiwnie w walkę z niesprawiedliwością niebios. Nie zastanawiał się nad swemi uczuciami, mimo to przypomniał mu się w tej chwili ustęp z francuskiego poety, stwierdzający że po wszystkie czasy ci, którzy walczyli z niesprawiedliwością niebios, zdobywali tajny podziw i miłość ludzi. D'Alcacer nie posunął się aż do miłości, ale nie mógł zaprzeczyć, że jego uczucia względem Lingarda były skrycie przyjazne i — powiedzmy — pełne uznania. Pan Travers usiadł nagle na łóżku. Jakież to przykre! — pomyślał d'Alcacer i wpatrzył się w końce swych trzewików,

W nadziei że tamten znów się położy. Ale pan Travers rzekł:

— Pan jeszcze ciągle na nogach?

— Wcale nie jest jeszcze późno. O szóstej już się ściemnia — jedliśmy obiad przed siódmą — przez to noc wydaje się dłuższą, a ja sypiam dość marnie; nie mogę zasnąć aż późno w nocy.

— Zazdroszczę panu — rzekł pan Travers z jakąś senną apatją. — Zapadam ciągle w drzemkę, a przebudzenia są okropne.

D'Alcacer podniósł oczy i zauważył, że pani Travers i Lingard znikli z obrębu światła. Podeszli do burty, gdzie d'Alcacer nie mógł ich widzieć. Pewna litość przyłączyła się do jego irytacji, wywołanej przez ustawiczne budzenie się pana Traversa. „W tym człowieku jest coś dziwnego“, pomyślał. I zaczął głośno:

— Jörgenson —

— Cóż to znowu? — burknął pan Travers.

— To nazwisko tego starego, chudego marynarza, który snuje się ciągle po pokładzie.

— Nie widziałem go. Nie widzę nikogo. Nie znam nikogo. Wolę na nic nie zwracać uwagi.

— Chciałem tylko powiedzieć, że dał mi talję kart; czy nie zagrałby pan w pikietę?

— Zdaje mi się, że nie potrafiłbym siedzieć z otwartymi oczami — rzekł pan Travers nadspodziewanie poufnym tonem. — Czy to nie zabawne? A potem nagle budzę się. To doprawdy okropne.

D'Alcacer nic na to nie odrzekł, a pan Travers zdawał się odpowiedzi nie oczekiwać.

— Kiedy mówiłem, że moja żona oszalała — zaczął nagle, tak że d'Alcacer drgnął, zaskoczony — nie myślałem tego oczywiście dosłownie. — Głos jego

brzmiał nieco apodyktycznie; wyglądało to, jakby Travers się nie orjentował, że w rozmowie ich nastąpiła przerwa, podczas której zdawał się spać. D'Alcacer nabrał jeszcze większej pewności, że drzemka Traversa była udana; skrzyżował ramiona na piersi i zaczął słuchać ze znużeniem i rezygnacją. — Chciałem właściwie powiedzieć — ciągnął pan Travers — że bzik ją napadł. Ludzie z towarzystwa podlegają różnym bzikom, jak pan o tem wie bardzo dobrze. Taki bzik sam przez się nie przedstawia nic złego, ale to jest najgorsze, że szusy mojej żony nie są nigdy podobne do tych, którym podlegają ludzie z naszego towarzystwa. Są naogół wręcz tamtym przeciwne. Ta ich osobliwość przyprawiała mię nieraz o pewien niepokój, pan rozumie — wobec pozycji jaką zajmujemy w świecie. Ludzie zaczną jeszcze mówić, że moja żona jest ekscentryczna. Proszę pana, czy pan jej gdzie nie widzi?

D'Alcacer cieszył się, że mógł odpowiedzieć przecząco: nie widział pani Travers. Nie słyszał nawet żadnych szeptów, choć był pewien, że wszyscy na *Emmie* czuwają. Lecz d'Alcacer czuł nieprzewyciężoną nieufność do pana Traversa i dodał przezornie:

— Pan zapomina, że pańska żona ma pokój w domku na pokładzie.

Nie chciał się już dalej posunąć, bo wiedział bardzo dobrze, że niema jej w domku. Pan Travers, uspokojony zupełnie tą uwagą, nie odezwał się wcale. Ale się jednak nie położył. D'Alcacer oddał się rozmyśleniom. Ta noc wywierała strasznie przygniatające wrażenie. Nagle w głębokiej ciszy rozległ się głos Lingarda, wołający na Jörgensona; uderzył złowrogo o uszy d'Alcacera, który podniósł oczy i zobaczył panią Travers przed drzwiami klatki. Rzucił się ku niej, ale

zdążyła już wejść. Widział, że jest poruszona. Zdawało się że brakuje jej tchu, że nie jest w stanie przemówić.

— Czy nie lepiejby zamknąć drzwi? — poddał d'Alcacer.

— Kapitan Lingard idzie za mną — szepnęła do niego. — Już się zdecydował.

— To doskonale — rzekł spokojnie d'Alcacer. — Wnoszę stąd, że coś usłyszymy.

— Usłyszysz pan wszystko ode mnie — wyszeptała pani Travers.

— Ach tak! — zawołał d'Alcacer bardzo cicho.

Przez ten czas Lingard wszedł również do klatki, a pomosty *Emmy* zaroily się postaciami. Słysząc było także głos Jørgensona wydającego rozkazy. Prawie przez całą minutę czworo ludzi wewnątrz klatki nawet nie drgnęło. Ciężki Malaja na przejściu rzekł nagle: „*Sudah, tuan*“, a Lingard szepnął: „Gotowe, proszę pani“.

Edyta chwyciła d'Alcacera za ramię i zaprowadziła go w kąt najdalszy od miejsca, gdzie stało łóżko pana Traversa, Lingard zaś zajął się tymczasem podkręceniem knota u latarni, jakby nagle przyszło mu na myśl, że cokolwiek będzie się działo, nie powinno się dziać w ciemności. Pan Travers odwrócił tylko głowę i spojrzał przez ramię.

— Zaraz, proszę pani — rzekł d'Alcacer pocichu, uśmiechając się na widok poruszenia pani Travers. — Zanim mi pani coś powie, pozwól mi pani zapytać, czy się pani zdecydowała? — Zobaczył ze zdumieniem, że oczy jej się rozszerzyły. Czy z oburzenia? Cisza pełna jakby podejrzeń zapadła między dwojgiem tych ludzi. D'Alcacer rzekł, tłumacząc się: — Może

nie powinienem był zadać pani tego pytania? — a Lingard dosłyszał słowa pani Travers: — Ach, nie boję się wcale panu na to odpowiedzieć.

Potem ich głosy przycichły. Lingard zawiesił lampę z powrotem i stał beczynnym w rozjaśnionym świetle; ale prawie natychmiast usłyszał, że d'Alcacer woła go przyciszonym głosem:

— Panie kapitanie!

Podszedł do nich odrazu. W tej samej chwili głowa pana Traversa odwróciła się od tych trojga ludzi; patrzył znów prosto przed siebie.

D'Alcacer, bardzo poważny, rzekł poufnie ściszym głosem:

— Pani Travers mówi mi, że trzeba nas wydać z powrotem tym Arabom z wybrzeża.

— Tak, inaczej się nie da — powiedział Lingard.

— Wyznaję, że trochę mnie to zaskoczyło — rzekł d'Alcacer; lecz gdyby nie to iż mówił nieco prędzej niż zwykle, nikt nie byłby odgadł w jego słowach najłżejszej emocji.

— Mam prawo do swego dobrego imienia — rzekł Lingard również bardzo spokojnie, a pani Travers obok niego słuchała niewzruszenie z nawpół zasłoniętymi oczyma, jak jaki duch opiekuńczy.

— Ani przez chwilę nie chciałbym podawać tego w wątpliwość — przyznał d'Alcacer. — Kwestja honoru nie podlega dyskusji. Ale istnieje także humanitaryzm. Wydać bezradnych ludzi...

— Może być! — przerwał Lingard. — Ale nie powinien pan tracić nadziei. Nie wolno mi oddać swego życia za wasze. Pani Travers wie, dlaczego. Na mojem życiu ciąży też zobowiązanie.

— I na pańskim honorze?

— Nie wiem. Obietnica jest obietnicą.

— Nie trzeba żądać od nikogo niemożliwości — zauważył d'Alcacer.

— Niemożliwości! Co jest niemożliwe? Nie wiem tego. Nie jestem człowiekiem, który gada o niemożliwości i chowa się za nią. Nie ja was tu sprowadziłem.

D'Alcacer spuścił głowę na chwilę.

— Skończyłem — rzekł z powagą. — Powiedziałem, co miałem do powiedzenia. Chyba państwo nie znajdujecie, że okazałem przesadny niepokój.

— To, co kapitan Lingard chce zrobić, jest zarazem najwłaściwszą polityką — odezwała się nagle pani Travers. Stała zupełnie nieruchomo, tylko wargi jej się poruszały; nie podniosła nawet oczu. — To jest jedynie możliwa polityka. Czy pan mi wierzy, panie d'Alcacer?... — kiwnął głową prawie niedostrzeżenie... — No więc pokładam w panu całą nadzieję, że pan nam ułatwi wszystko o ile się tylko da, i że pan nas wybawi od jakiejś ohydnej sceny. A może pan myśli, że to ja powinnabym...

— Nie, nie! Nie myślę tego — przerwał d'Alcacer. — To byłoby niemożliwe.

— Obawiam się że tak — przyznała nerwowo.

D'Alcacer skinął ręką, jakby prosząc aby dalej nie mówiła i przeszedł natychmiast przez klatkę, kierując się w stronę pana Traversa. Nie chciał się zastanawiać nad swem zadaniem. Pan Travers siedział na łóżku polowem; lekkie bawełniane prześcieradło okrywało mu kolana. Wpatrywał się w próżnię. D'Alcacer zbliżył się do niego, nie zważając na lęk, który go ogarnął wobec pozy Traversa, zdającej się wyrażać najwyższe przerażenie. „To jest okropne“, pomyślał. „On siedzi cicho jak mysz pod miotłą“.

Poruszony d'Alcacer musiał się przemóc, aby uderzyć zlekka w ramię pana Traversa.

— No, proszę pana, nadeszła chwila, kiedy trzeba będzie okazać silnego ducha — rzekł tonem swobodnym i poufałym. Pan Travers spojrzał szybko w górę na niego. — Mówiłem przed chwilą z pańską żoną. Kapitan Lingard udzielił jej pewnych wiadomości dotyczących nas obu. Pozostaje nam tylko jedno: zachować się z całą godnością na jaką nas stać. Mam nadzieję, że w razie potrzeby potrafimy obaj umrzeć.

Podczas chwili głębokiej ciszy d'Alcacer miał czas zadać sobie pytanie, czy jego twarz ma równie osłupiały wyraz jak wzniesiona ku niemu twarz Traversa. Lecz nagle ukazał się na tej twarzy uśmiech, czego d'Alcacer z pewnością najmniej się spodziewał. Niezaprzeczony uśmiech. Uśmiech nieco pogardliwy.

— Moja żona znów panu nakładła do głowy różnych swych bredni. — Pan Travers mówił głosem, który zadziwił d'Alcacera tak jak i uśmiech; w głosie tym nie było ani irytacji, ani zrzędzenia, dźwięczała w nim natomiast wyraźnie pobłażliwość. — Drogi panie, ten bzik tak nią owładnął, że byłaby w stanie opowiedzieć panu jakąkolwiek historję. Bлагierzy, medja, wróżbici, szarlatani wszelkiego rodzaju zdobywają dziwny wpływ na kobiety. Sam pan to widział. Rozmawiałem z nią przed obiadem. To wprost niewiarogodne, jaki wpływ ten bandyta na nią uzyskał. Wierzę naprawdę, że ten człowiek jest sam nawpół zbzikowany. Takim to często się zdarza, rozumie pan. Chciałem przemówić do jej rozsądku, ale machnąłem na to ręką. No, a teraz co mi pan ma powiedzieć? Ale ostrzegam, że nie wezmę tego na serjo.

Odrzucił nagłym ruchem bawełniane prześcieradło,



spuścił nogi na podłogę i zapiął kurtkę. D'Alcacer, odpowiadając mu, poznał po odgłosie kroków za sobą, że pani Travers i Lingard opuszczają klatkę, ale dokończył tego co miał powiedzieć i czekał niespokojnie na odpowiedź.

— Widzi pan! Wyszła za nim na pokład — były pierwsze słowa Traversa. — Chyba pan rozumie, że to jest tylko bzik. Nie można tego nie widzieć. Niech pan spojrzy na jej kostjum. Straciła poprostu głowę. Na szczęście świat o tem nic wiedzieć nie potrzebuje. Ale przypuśćmy że coś podobnego byłoby się zdarzyło w domu. Jakie toby było nieprzyjemne. O tak, pójdę stąd. Pójdę gdziekolwiek. Nie mogę znieść tego okrętu, tych ludzi, tej piekielnej klatki. Myślę, że zachorowałbym chyba, gdybym tu miał zostać.

Głuchy, obojętny głos Jörgensona dał się słyszeć u przejścia:

— Łódka czeka już od godziny, Królu Tomie.

— No więc — uprawiajmy cnotę z konieczności i chodźmy z dobrą miną — rzekł d'Alcacer, gotów ująć przekonywająco pod rękę pana Traversa, gdyż nie wiedział czego się po nim spodziewać.

Ale pan Travers wydawał się teraz innym człowiekiem.

— Boję się, panie d'Alcacer, że i pan nie jest bardzo silnego ducha. Wezmę z tego łóżka kołdrę... — Zarzucił ją śpiesznie na ramię i poszedł tuż za d'Alcacerem. — To dziwne, ale najwięcej ze wszystkiego dokucza mi zimno.

Pani Travers i Lingard czekali koło przejścia. Ku niezmiernemu zdumieniu obecnych pan Travers zwrócił się pierwszy do żony.

— Śmiałaś się zawsze z ludzkich bzików — rzekł —

a teraz sama masz bzika. Ale nie będziemy się nad tem rozwodzić.

D'Alcacer minął ich, uchylając czapki przed panią Travers i zszedł po trapie do łódki. Jörgenson znikł w sposób sobie właściwy, jak duch odpędzony przez egzorcyzmy, a Lingard odstąpił wgląb, zostawiając męża i żonę sam na sam.

— Myślałaś, że będę robił historie? — spytał pan Travers bardzo cichym głosem. — Zapewniam cię, że bez porównania wolę stąd pójść niż zostać. Nie przyszło ci to do głowy? Zatraciłaś wszelkie poczucie rzeczywistości, poczucie tego co jest możliwe lub nie. Myślałem właśnie dziś wieczorem, że chciałbym się znaleźć gdziekolwiek, byleby ciebie nie widzieć. Twojego szaleństwa...

Na głośny okrzyk pani Travers: „Marcinie!“ Lingard wzdrygnął się, d'Alcacer podniósł głowę, siedząc już w łodzi i nawet Jörgenson, stojący w ciemności gdzieś na przodzie, przestał mruczeć pod nosem. Jedyną osobą, zdającą się tego okrzyku nie słyszeć, był sam pan Travers, który ciągnął dalej równym głosem:

— ...na otumanienie twego umysłu — a zdawałaś się być zawsze tak wyższą nad pospolitą łatwowierność. Nie jesteś teraz sobą — ani trochę — i kiedyś mi sama przyznasz, że... Nie, jedynem wyjściem będzie zapomnieć o wszystkim, jak się wkrótce sama przekonasz. W przyszłości nie będziemy nigdy poruszali tego tematu. Jestem pewien, że zgodzisz się na to z całą gotowością.

— Jak daleko sięgasz w przyszłość? — spytała pani Travers, odzyskując głos i nawet ton, którym odezwałaby się do niego, gdyby się mieli rozstać w sieni własnego mieszkania. Mogło się zdawać, że zapytuje

męża, o której ma zamiar wrócić do domu — że lokaj stoi u otwartych drzwi, a powóz czeka na ulicy.

— Niebardzo daleko. To nie może trwać długo. — Pan Travers uczynił ruch, jak gdyby miał żonę opuścić, śpiesząc się na jakąś umówioną godzinę. — Ale, ale — rzekł, przystając — ten człowiek rozumie chyba dokładnie, że jesteśmy bogaci. Chyba wątpić o tem nie może.

— To ostatnia myśl, jaka przyszyła mu do głowy — rzekła pani Travers.

— Ach tak, naturalnie. — Pan Travers pozwolił, aby lekka niecierpliwość zaznaczyła się w jego niedbałym obejściu. — Ale nie waham się ci powiedzieć, że mam już tego wszystkiego dosyć. Jestem gotów do — hm — do ustępstw. Mogę poświęcić na to dużą sumę. Ale to całe położenie jest takie bezsensowne! Ten człowiek gotówby wątpić o mojej dobrej wierze. Czy nie byłoby właściwem, abyś — wobec swego specjalnego wpływu — napomknęła mu, że ze mną nie potrzebuje się niczego obawiać. Można liczyć na moje słowo.

— To pierwsza rzecz, oczywiście, którąby pomyślał o każdym człowieku — rzekła pani Travers.

— Czy ty nigdy nie przejrzysz? — zaczął z rozdrażnieniem pan Travers, ale urwał. — Więc tem lepiej. Daję ci wolną rękę.

— Co tak wpłynęło na zmianę twego postępowania? — spytała podejrzliwie pani Travers.

— Mój szacunek dla ciebie — odpowiedział bez namysłu.

— Chciałabym ci towarzyszyć przez czas gdy będziesz więziony. Usiłowałam go właśnie przekonać...

— Zakazuję ci tego bezwzględnie — szepnął gwał-

townie pan Travers. — Cieszę się, że sobie stąd pójdę. Nie chcę ciebie widzieć, póki twój bzik nie minie.

Oszołomiła ją ukryta gwałtowność męża. Ale natychmiast po dzikim szepcie rozległ się jego śmiech — krótki, pusty, światowy. Pan Travers dodał znacznie głośniej: — Nie przywiązuję właściwie żadnego znaczenia...

Odkoczył od żony i przechodząc przez burtę, skinął ku niej uprzejmie ręką.

Oświetlona mętnie przez latarnię, pozostawioną na dachu domku, pani Travers schyliła głowę na piersi i stała bez ruchu, jakby rozmyślając nad czemś głęboko. Trwało to tylko chwilę, poczem ruszyła z miejsca i otarłszy się o Lingarda, przeszła ze spuszczonei oczami, kierując się ku domkowi. Lingard słyszał jak zamykała drzwi. Czekał przez chwilę, uczynił ruch w stronę przejścia, ale zatrzymał się i poszedł za panią Travers do jej kajuty.

Było tam ciemno, choć oko wykol. Nie mógł dojrzeć nic absolutnie; przytłaczała go głucha cisza, nie zmacona nawet szmerem oddechu.

— Jadę na łód — zaczął Lingard, przerywając posępne, śmiertelne milczenie, otaczające ich dwoje — jego i tę kobietę, której nie mógł dojrzeć. — Chciałem się pożegnać.

— Jedzie pan na łód — powtórzyła pani Travers. Głos jej był obojętny, pusty, bezdźwięczny.

— Tak, na kilka godzin albo na zawsze — rzekł Lingard miarowym głosem. — Może będę musiał umrzeć z nimi, albo umrzeć za innych. Dla pani pragnąłbym żyć, gdybym tylko wiedział jak to uczynić. Mówię to pani, ponieważ jest ciemno. Gdyby tu było światło, nie wszedłbym za panią.

— Tobo było lepiej — wymówił ten sam bez-

dźwięczny kobiecy głos. — Przychodzi pan zawsze do mnie z tem życiem i tą śmiercią w ręku.

— Tak, to jest dla pani zawiele — wyjaśnił półgłosem Lingard. — Pani nie może nie być szczerą. I niczemu nie jest pani winna! Proszę mi nie życzyć abym żył — ale proszę mi życzyć szczęścia, bo pani niczemu nie jest winna, a będzie pani musiała zdać się na los.

— Wszystkiego najlepszego, Królu Tomie — usłyszał ją wśród ciemności, w której zdawał się teraz rozróżnić połysk jej włosów. — Zdam się na los. A niech się pan nie stara znów do mnie zbliżyć, bo mnie pan znużył.

— Bardzo temu wierzę — szepnął Lingard i wyszedł z kabiny, zamykając ostrożnie drzwi za sobą. Cisza trwała jeszcze przez jakie pół minuty; nagle krzesło przewróciło się w mroku. Zaraz potem głowa pani Travers ukazała się w świetle lampy stojącej na dachu domku. Jej nagie ramiona obejmowały odrzwia.

— Niech pan chwilę poczeka — rzekła głośno w ciemność. Nie słyszała kroków, nie widziała aby się coś poruszyło, prócz niknącej, białej postaci byłego kapitana H. C. Jörgensona, który odnosił się obojętnie do ludzkiego życia. — Proszę poczekać! Królu Tomie! — nalegała, podnosząc głos, wreszcie krzyknęła, na nic nie zważając: — Ja tego nie myślałam. Niech mi pan nie wierzy!

Po raz drugi w ciągu tej nocy głos kobiety wzbudził niepokój w męskich sercach na pokładzie *Emmy* — tylko nie w sercu starego Jörgensona. Malaje w łodzi spojrzeli w górę z ławek. D'Alcacer, siedzący na tylnej ławeczce obok Lingarda, poczuł, że lęk go przejmuje.

— Co to znaczy? — wykrzyknął. — Słyszałem pańskie imię na pokładzie. Zdaje mi się, że pana wołają.

— Odbij — rozkazał Lingard nieugięcie, nie spojrzawszy nawet na d'Alcadera. Pan Travers był jedynym, który zdawał się nie wiedzieć o niczem. W dobrą chwilę po odbiciu łódki od boku *Emmy* pochylił się ku d'Alcacerowi.

— Mam nadzwyczaj dziwne uczucie, — rzekł półgłosem. — Zdaje mi się, że jestem w powietrzu; doprawdy nie rozumiem. Czy jesteśmy na wodzie, proszę pana? Czy pan jest tego pewien? Ale naturalnie że jesteśmy na wodzie.

— Tak — rzekł d'Alcacer tym samym tonem. — Może przepływamy Styks. — Usłyszał jak pan Travers mruknął obojętnie: — To bardzo prawdopodobne — czego się d'Alcacer bynajmniej nie spodziewał. Lingard siedział z ręką na sterze jak skamieniały.

— Więc pan zmienił zapatrywanie — szepnął d'Alcacer.

— Powiedziałem mojej żonie, żeby mu zrobiła pewną propozycję — ciągnął Travers poważnym szeptem. — Żeby mu ofiarowała pewną sumę pieniędzy. Ale jeśli mam panu powiedzieć prawdę, niebardzo wierzę, aby to odniosło jaki skutek.

D'Alcacer nic nie odpowiedział, tylko zaczął się zastanawiać, czy tamto drugie, bezsensowne zachowanie pana Traversa nie było mniej przykre. Nie dało się zaprzeczyć, że pan Travers przyczynia wiele kłopotu. Chwycił nagle d'Alcadera za ramię i dodał cichym szeptem: — Wątpię o wszystkim. Wątpię, czy ta propozycja będzie kiedykolwiek zrobiona.

Zachowanie Traversa nie wywierało wielkiego wrażenia. Było w tem coś wzbudzającego litość: ten

szept, pochwycenie za ramię, dreszcz — mogło się зда-  
wać, że to dziecko się złąkło w ciemności. Ale Tra-  
vers był głęboko wzruszony. Po raz drugi tego wie-  
czoru zdziwienie d'Alcacera dosięgło granic zgrozy —  
lecz tym razem sprawił to mąż pani Travers.





CZEŚĆ VI  
ZEW ŻYCIA I OKUP ŚMIERCI



## I

— Czy pani tam nie ma zegarka Króla Toma? — rzekł głos, który zdawał się nie przywiązywać najmniejszej wagi do tego pytania. Jörgenson czekał na odpowiedź przed drzwiami pani Travers. Usłyszał cichy odgłos bardzo podobny do jęku, nagły okrzyk bólu, który się czasem słyszy w pokoju chorego. Lecz wcale go to nie wzruszyło. Nie przyszłoby mu nigdy do głowy otworzyć drzwi, chyba gdyby mu to polecono, a wówczas zobaczyłby — z zupełną obojętnością — panią Travers wyciągniętą na podłodze, z głową opartą o róg polowego łóżka (na którym Lingard nigdy nie sypiał); wyglądało to, jakby się opuściła na ziemię z klęczącej pozycji, która jest postawą modlitwy, błagań lub porażki. Pani Travers spędziła noc w zupełnej nieświadomości. Znalazłszy się w swym pokoju, rzuciła się na kolana, nie mając pojęcia dlaczego — ponieważ nie wiedziała o co się modlić, nie miała do kogo ślać błagań, a uczucia tak blahe jak rozpacz zostały za nią daleko — i trwała w tej postawie, póki wyczerpanie nie przygniotło jej do tego stopnia, że nie wierzyła już aby mogła się dźwignąć. W napół siedzącej pozycji, z czołem opartem o róg posłania i ramionami wyciągniętymi nad głową, zapadła w obojętność, rezygnację wyczerpanego ciała i wyczerpanej duszy, rezygnację, która stanowi jedyny możliwy wypoczynek dla ludzi beznadziejnie chorych i bywa nawet dość pożądana. Głos Jörgensona wyrwał panią

Travers z tego stanu. Usiadła; bolały ją wszystkie członki i była zziębnięta.

Jörgenson powtórzył za drzwiami z bezdusznym uporem:

— Czy pani nie ma tam zegarka Króla Toma?

Pani Travers dzwignęła się z podłogi. Zachwiała się, chwytając rękami powietrze i natrafiła na oparcie fotela.

— Kto tam?

Chciała także zapytać: „Gdzie jestem?” ale uprzytomniła sobie wszystko i odrazu stała się pastwą tej dojmującej zgrozy, która drzemała przez parę godzin w jej zeszywniałem ciele wyciągniętem na podłodze.

— Która godzina? — wyjąkała.

— Świta — wyrzekł niewzruszony głos u drzwi. Zdawało jej się, że to jest słowo, na którego dźwięk serce upadłoby z trwogi w każdym człowieku. Świta! Stała w przerażeniu. A bezdźwięczny głos za drzwiami nalegał.

— Pani musi tam mieć zegarek Toma!

— Nie widziałam go! — krzyknęła, jakby dręczona przez senną zmorę.

— Niech pani zajrzy do pulpitu. Gdy pani otworzy okiennicę, to pani zobaczy.

Pani Travers zdała sobie sprawę, że głęboki mrok panuje w kajucie. Jörgenson usłyszał przez drzwi iż się potknęła. Po chwili kobiecy głos, który uderzył nawet Jörgensona swym dziwnym dźwiękiem, odezwał się cicho:

— Mam go. Stoi.

— To nic. Nie chodzi mi o godzinę. Powinien być przy nim kluczyk. Czy go tam gdzie niema?

— Jest przymocowany do zegarka — odpowiedział

ze środka oszołomiony głos. Jörgenson poczekał chwilę, nim wypowiedział swą prośbę.

— Może pani zechce mi go podać? Mało już czasu!

Drzwi otworzyły się gwałtownie, czego się bynajmniej Jörgenson nie spodziewał. Myślał że tylko ręka z zegarkiem wysunie się przez wąską szparę. Ale nie cofnął się i żadnym innym znakiem nie okazał zdumienia, zobaczywszy że pani Travers zupełnie jest ubrana. Na tle nikłej jasności we framudze otwartej okiennicy ujrzał ciemną sylwetkę jej pleców i gładko zaczesaną głowę; włosy jej były wciąż jeszcze zaplecione w dwa warkoczki. W oczach Jörgensona pani Travers w swym egzotycznym ubiorze wyglądała zawsze nieprzyjemnie a nawet potwornie. Jej postawę, jej ruchy i wogóle całe zachowanie uważał za absolutnie nieodpowiednie do malajskiego ubioru — zbyt swobodne, zbyt niezależne, zbyt śmiałe, rażące. Dla pani Travers Jörgenson wyglądał na tle ciemnego korytarza jak niewyraźny zarys białego ducha i mroził ją swem zaziemskim oderwaniem.

Wziął zegarek z wyciągniętej dłoni bez słowa podziękowania, mrużąc tylko pod nosem: — Hm tak, dobrze. Nie zapomniałem jeszcze liczyć sekund jak się należy, ale zawsze wygodniej z zegarkiem.

Nie miała najlżejszego pojęcia, o co mu chodzi. I było jej wszystko jedno. W myślach jej panowało wciąż zamieszanie; dolegało jej uczucie cielesnego uciśku. Szepnęła ze wstydem:

— Zdaje mi się, że spałam.

— Ja nie spałem — mruknął Jörgenson, który rysował się coraz wyraźniej przed jej oczami. Jasność krótkiego świtu wzrastała prędko, jakby słońcu śpieszyło się spojrzeć na osadę.

— Niema strachu — dodał chełpliwie.

Pani Travers przyszło na myśl, że może i ona nie spała. Jej stan był raczej podobny do niezupełnej, nawpół świadomej, dygoczącej śmierci. Drgnęła na to wspomnienie.

— Co za straszna noc — wyszeptwała pośepnie.

Niczego nie można się było spodziewać po Jörgensonie. Pani Travers oczekiwała że zniknie — obojętny jak duch z grobu powstały — zabierając w jakimś niezemskim celu równie martwy zegarek. Ale Jörgenson nie poruszył się nawet. Był bez czucia, był prawie bez życia. Nic nie dało się z niego wyciągnąć. Lecz panią Travers porwała już fala niepokoju, mętnego jak jej wszystkie uczucia.

— Czy nie może mi pan nic powiedzieć? — krzyknęła.

Przez jakie pół minuty Jörgenson milczał, wreszcie rzekł:

— Mówiłem całemi latami do każdego, kto chciał się pytać — mruknął pod wąsem. — Do Toma mówiłem także. A Tom wiedział, co chce zrobić. Ale skąd mam wiedzieć, o co pani chodzi?

Nie spodziewała się nigdy, że usłyszy tyle słów od tego surowego cienia. Monotonny jego pomruk był fascynujący, nagła jego gadatliwość razila. Wśród głębokiej ciszy, która panowała wszędzie, zdawało się Edycie, że ani jeden człowiek nie pozostał z nią na świecie prócz cienia tego starego marynarza. Usłyszała go znów: — To, cobym mógł wam powiedzieć, stałoby się dla was gorszem od trucizny.

Pani Travers nie była otrzaskana z klasycznymi powiedzeniami Jörgensona. Machinalny jego głos, słowa, abstrakcyjny wygląd — wszystko ją przerażało. Mówił

wciąż; dosłyszała, jak mrucał obojętnie: — Ja wiem wszystko — i absurd tego twierdzenia był również przerażający. Pani Travers wzdrygnęła się i rzekła z lekkim, dziwnym śmiechem:

— Więc pan wie, dlaczego tej nocy wołałam Króla Toma.

Popatrzył w bok przez drzwi domku na rosnącą jasność dnia. Pani Travers spojrzała tam również. Nadchodził dzień. Już nadszedł! Następny dzień! Wydało jej się to klęską gorszą niż wszystko co spotkało ją w życiu, niż wszystko, co jeszcze mogło kiedykolwiek jej zagrażać. Sam ogrom jej zgrozy podtrzymał ją, zdawał się uspakajać jej wzburzenie jak niektóre rodzaje trucizn, nim zadadzą śmierć. Położyła łagodnie rękę na rękawie Jörgensona i rzekła spokojnie, wyraźnie, nalegająco:

— Pan był na pokładzie. Chcę wiedzieć, czy można mnie było usłyszeć.

— Tak — rzekł Jörgenson z roztargnieniem. — Słyszałem panią. Potem, jakby trochę przytomniejąc, dodał mniej machinalnie: — Cały okręt panią słyszał.

Pani Travers zadała sobie pytanie, czy wówczas wprost nie krzyknęła. Dotychczas nie przyszło jej to wcale na myśl. W owej chwili wydawało jej się, że starczy jej sił zaledwie na szept. Czyżby jej wołanie było doprawdy tak głośne? I śmiertelny chłód, który ubiegła noc zostawiła w jej ciele, znikł z jej członków, wydarł się z niej rumieńcem. Twarz Edyty była odwrócona od światła, i to jej dało odwagę by ciągnąć dalej. A przytem człowiek stojący przed nią był tak oderwany od ludzkich wstydów, i chełpliwości, i planów, że jakby się wcale nie liczył — chociaż czasami udawało mu się jakimś sposobem pochwycić dosłowne

znaczenie tego co do niego mówiono — i odpowiedzieć. I odpowiedzieć! Nieomylnie, bezosobowo, bez najmniejszego wzruszenia.

— Czy pan widział wtedy Toma — Króla Toma? Czy on tam był? Chodzi mi o to, czy był właśnie wówczas — w tej chwili? U przejścia się świeciło. Czy był na pokładzie?

— Nie. W łodzi.

— Już w łodzi! Czy można mnie było usłyszeć w tej łodzi, tam w dole? Pan mówi, że cały okręt mnie słyszał — i wszystko mi jedno. Ale czy on mógł mnie słyszeć?

— Więc pani chodzi o Toma? — rzekł Jörgenson tonem niedbałej obserwacji.

— Czy pan nie może mi odpowiedzieć? — krzyknęła gniewnie.

— Tom był zajęty. To nie jest dziecinna zabawka. Łódka odbijała — rzekł Jörgenson, jakby doprawdy głośno myślał.

— Więc pan mi nie chce powiedzieć? — nalegała nieustraszenie pani Travers. Nie bała się Jörgensona. W owej chwili nie bała się niczego i nikogo. A Jörgenson w dalszym ciągu głośno rozmyślał.

— Sądzę że będzie teraz wciąż zajęty, taksamo jak i ja.

Zdawało się, że pani Travers chwyci go, że będzie potrzasała tym duchem o martwym głosie, póki Jörgenson nie zacznie błagać o litość. Lecz nagle opadły jej silne, białe ramiona — ramiona wyczerpanej kobiety.

— Nigdy, nigdy się nie dowiem — szepnęła do siebie.

Spuściła oczy w ostatecznem upokorzeniu, w nie-



znośnym porywie pragnienia, jakby zapuszczała zasłonę na twarz. Żaden szmer nie zmącił samotnych jej myśli. Ale gdy podniosła oczy, Jörgenson nie stał już przed nią.

Przez chwilę widziała go, całego czarnego, w jaskrawym i wąskim otworze drzwi, poczem znikł jak pożarty przez gorącą lunę światła. Słońce weszło nad Wybrzeżem Zbiegów.

Gdy pani Travers ukazała się na pokładzie, twarz jej była jak gdyby śmiało odsłonięta, a suche i bezsenne oczy — szeroko rozwarte. Ich wzrok, nie lękający się promieni słońca, starał się przeniknąć najwewnętrzniejszy rdzeń rzeczy, na które patrzyła dzień po dniu w męce strachu i niecierpliwości. Laguna, wybrzeże, barwy i kształty wydały jej się bardziej niż kiedykolwiek jaskrawem malowidłem na olbrzymim płótnie, które kryło przejawy niepojętego życia. Ocieśniła ręką oczy. Na wybrzeżu widać było postacie, ruchliwe, ciemne centki na białym półkolu objętem ostrokołami; w głębi sterczały dachy nad gajami palm. Jeszcze dalej w głąb masa rzeźbionego, białego koralu na dachu meczetu jaśniała jak biała gwiazda świecąca w dzień. Religja i polityka — zawsze polityka. Na lewo, przed ostrokołem Tenggi mglisty majak ogniska zamienił się w słup dymu. Kilka wielkich drzew nie pozwalało dojrzeć, czy nocna narada trwa jeszcze. Poruszały się tam jakieś niewyraźne postacie. Pani Travers mogła je sobie wyobrazić: Daman, naczelny wódz morskich rabusiów, o mściwem sercu i oczach gazeli; Sentot, cierpki fanatyk w wielkim turbanie; ten drugi świątobliwy mąż z wąską przepaską na biodrach i włosami posypanemi popiołem, wreszcie Tengga, o którym mogła sobie wyrobić pojęcie z tego co słyszała — tłu-

sty, dobroduszny, podstępny, lecz gotów przelewać krew dla swych ambitnych celów, a tak bardzo śmiały, że paradował pod żółtym urzędowym parasolem przed samemi wrotami ostrokołu Belaraba — przynajmniej tak opowiadano.

Pani Travers widziała, wyobrażała sobie te rzeczy, nawet uznawała je już za realne; przestały być w jej oczach jedynie widowiskiem, urządzonem dla niej z barbarzyńskim przepychem i dziką wyrazistością. Nie mogła już żywić wątpliwości — ale i nie odczuwała tego wszystkiego bezpośrednio, jak się nie czuje głębi morza pod spokojnym jego połyskiem lub szarym zamętem jego wściekłości. Oczy jej błędziły daleko, niedowierzające i lękliwe — a potem nagle dostrzegły pustą klatkę z panującym w niej nieładem: nie uprzątniętymi łózkami, poduszką leżącą na pokładzie i zostawioną nad stołem lampą, w której zamierał płomień wyglądający na skrawek ciemno-żółtego materiału. To wszystko uderzyło ją swym brudem i jakby już ruiną — wydało jej się lichym, bezsensownym wybrykiem fantazji. Jörgenson siedział na pokładzie tyłem do klatki i był czemś zaprzątnięty. Zajęcie jego wyglądało fantastycznie i tak nawskroś dziecinnie, że lęk przejął panią Travers, gdy spostrzegła jak bardzo ten człowiek jest zaabsorbowany. Przed Jörgensonem leżało na pokładzie kilka kawałków liny — dość cienkiej i jakby brudnej — różnej długości, od paru cali do stopy mniej więcej. Jörgenson podpalił ich końce (była to zaiste zabawa godna idjoty). Paliły się ze zdumiewającą chyżością, trzaskając od czasu do czasu, i słały w ciche powietrze między burtami bardzo cienkie, ściśle równoległe nitki dymu z rozpływającym się u szczytu zakrętasem; a Jörgenson był tem tak pochłonięty, że

wystarczało na niego spojrzeć, aby stracić wszelką wiarę w normalność jego umysłu.

W nawpół otwartej dłoni trzymał zegarek. Zao-  
patrzył się także w papier i kawałek ołówka. Pani  
Travers była pewna, że nie widzi nic i nie słyszy.

— Panie kapitanie, pan pewnie myśli... — Usiło-  
wał pozbyć się jej, machając na nią ołówkiem. Nie  
chciał aby mu przerywano dziwne zajęcie. Bawił się  
naprawdę bardzo poważnie temi kawałkami liny.

— Zapaliłem je wszystkie razem — szepnął, nie  
spuszczając oka z cyferblatu zegarka. Właśnie w tej  
samej chwili najkrótszy kawałek zgasł, wypaliwszy się  
zupełnie. Jörgenson zapisał coś pośpiesznie i znów sie-  
dział bez ruchu, pani Travers zaś patrzyła na niego  
z osłupieniem, mówiąc sobie, że doprawdy nie warto  
jest żyć na świecie. Nitki dymu wiły się wciąż i roz-  
pływały przed uważnym Jörgensonem.

— Co pan robi? — zapytała posępnie pani Travers.

— Sprawdzam zegarek... konieczna ostrożność...

Nigdy jeszcze pani Travers nie widziała, aby Jör-  
genson był tak mało podobny do widma. Zdradzał  
ludzkie ułomności. Niecierpliwiło go najście pani Tra-  
vers. Dzielił uwagę między nitki dymu i cyferblat ze-  
garka z takim przejęciem, że nagle salwy wystrzałów,  
przerywających po raz pierwszy od wielu dni ciszę  
laguny i złudzenie malowanego krajobrazu, nie po-  
budziły go do podniesienia głowy. Targnął ją tylko  
zlekka w bok. Pani Travers wpatrywała się w pasma  
białego dymu, płynące nad ostrokołem Belaraba. Salwy  
ostrzych wystrzałów ucichły, a ich połączone echa wra-  
cały szybko po wodzie jak długie westchnienie.

— Co to znaczy? — zawołała pani Travers.

— Belarab wrócił — rzekł Jörgenson.

Ostatnia nitka dymu znikła i Jörgenson wstał z po-  
kładu. Przestał się zajmować zegarkiem; wetknął go  
niedbale do kieszeni razem z kawałkiem papieru i ołów-  
kiem. Wrócił do swego oderwania od ziemskiego życia,  
ale podszedł jednak do burty i raczył spojrzeć ku ostro-  
kołowi Belaraba.

— Tak, jest w domu — rzekł bardzo cicho.

— Co się teraz stanie? — krzyknęła pani Tra-  
vers. — Co trzeba zrobić?

Jörgenson zdawał się dalej głośno rozmyślać.

— Ja wiem co mam robić — wymamrotał.

— To pan szczęśliwy — rzekła pani Travers z głę-  
boką goryczą.

Zdawało jej się, że jest opuszczona przez cały świat.  
Przeciwległy brzeg laguny przybrał znów wygląd ma-  
lowanej kurtyny, która nigdy się nie podniesie aby  
odsłonić prawdę, ukrytą za oslepiającą i bezduszną swą  
wspaniałością. Zdawało się pani Travers, że zamieniła  
już ze wszystkimi ostatnie słowa: z d'Alcacerem, z mę-  
żem, nawet z Lingardem — i że wszyscy poszli za kur-  
tynę, znikając jej z oczu nazawsze. Z białych pozostał  
jeden Jörgenson, który zerwał był z życiem tak zu-  
pełnie, że sama obecność tego człowieka odbierała  
wszelki żar i tajemniczość istnieniu, zostawiając tylko  
jego straszliwą, jego oburzającą błahość. W pani Tra-  
vers podniósł się bunt. Zawołała z tłumioną pasją:

— Panie kapitanie, czy pan zdaje sobie sprawę,  
że ja żyję?

Zwrócił na nią oczy; zimna ich szklistość poskro-  
miła ją, lecz nim ją zdołała odepchnąć, coś jak bły-  
śnięcie iskry ożywiło na chwilę wzrok Jörgensona.

— Chcę tam do nich pojechać. Chcę jechać tam  
na wybrzeże — rzekła stanowczo. — Tam!

Jej nagie, wyciągnięte ramię wskazywało na przeciwległy brzeg laguny; zmartwychwstałe oczy Jörgensona prześlizgnęły się wzdłuż białej ręki i powędrowały w przestrzeni.

— Niema łodzi — mruknął.

— Musi tu być jakieś czółno. Wiem, że tu jest czółno. Potrzebuję go.

Podeszła do Jörgensona, powtarzając swe żądanie, rozkazując, starając się skupić we wzroku całą siłę woli, poczucie swego prawa do rozporządzania własną osobą, nakaz, aby jej służono do ostatniej chwili jej życia. Jörgenson nie ustąpił.

— O którego z nich pani chodzi? — spytał jego pusty, bezdźwięczny głos.

Patrzyła na niego dalej; twarz jej zastygła w surową maskę — zdołała jednak wymówić wyraźnie:

— Prawdopodobnie już od dłuższego czasu zadaje pan sobie pytanie?

— Nie. Pytam się pani teraz.

Jego twarz nie zdradziła się z niczem przed śmiałymi i znużonemi oczyma pani Travers.

— Cóżby pani mogła tam zrobić? — dodał Jörgenson tak bezlitośnie, tak nieodparcie i szczerze, jakby był wcieleniem tego wewnętrznego głosu, który w każdym z nas się czasem odzywa — a jest przykry jak słowa Jörgensona i równie trudno nań odpowiedzieć.

— Niech pan pamięta, że nie jestem cieniem lecz żyjącą kobietą. Mogę żyć i mogę umrzeć. Niech mię pan wyśle, abym podzieliła ich los.

— Chciałaby pani tego naprawdę? — spytał obudzony Jörgenson głosem mającym w sobie coś nadspodziewanie żywego, jakąś słabą wibrację, której już od lat nikt nie słyszał. — Tam czeka może śmierć — mruknął, popadając znów w obojętność.

— Cóż z tego? — zapytała niedbale. — Chcę tylko zadać Tomowi jedno pytanie i usłyszeć jego odpowiedź. Oto czego pragnę. I muszę to osiągnąć.

## II

Wzdłuż upalnej i mrocznej leśnej ścieżki, poniechanej, zarosniętej, zdławionej przez dzikie życie dżungli, rozlegał się słaby szelest listowia. Dżaffir, sługa książąt, wysłannik wielkich mężów, szedł pochylony z szerokim tasakiem w rękę. Był nagi do pasa, podrapane jego plecy i ramiona ociekały krwią. Mrowie kąśliwych owadów tworzyło chmurę nad jego głową. Zgubił swą kosztowną i starożytną chustę, a gdy przystanął w miejscu, gdzie ścieżka rozszerzała się nieco i jął nad słuchiwać, każdy byłby go wziął za zbiega.

Zaczął machać ramionami, uderzając się po łopatkach, po głowie, po dyszących żebrach. Potem zniechęcony i znów nad słuchiwał przez chwilę. Odgłos strzelaniny, nietyle osłabionej przez odległość co zduszonej przez gąszcz lasu, dosięgnął jego uszu; byłby mógł policzyć oddzielne strzały gdyby miał ochotę. „Już się biją w lesie“ — pomyślał. Potem znów schylił się nisko i rzucił w tunel roślinny, zostawiając za sobą ohydny chmurę much, których pozbył się istotnie na chwilę. Nie uchodził jednak przed okrucieństwem owadów, gdyż żaden człowiek nie mógł się spodziewać, że go opuści ta eskorta — a Dżaffir w swym życiu wiernego gońca przyzwyczał się już do tego aby być żywcem jedzonym — jeśli można użyć tak przesadnego wyrażenia. Zgięty prawie we dwoje, sunął i kluczył wśród drzew poprzez gęste podszycie; jego brunatne ciało ociekało potem, silne członki — jak ulane z nie-

śmiertelnego brązu — połyskiwały skroś zielonych liści, które się wiecznie rodzą i wiecznie umierają. Mimo rozpaczliwego pośpiechu Dzaffir nie był już teraz zbiegiem; był poprostu człowiekiem, któremu strasznie się śpieszy. Ucieczkę swoją rozpoczął od skoku i biegu, dając dowód wielkiej przytomności umysłu; było to proste wyjście z krytycznego położenia. Wyjście z krytycznej sytuacji bywa naogół proste, jeśli się jest dość bystrym by o niem w czas pomyśleć. Dzaffir zdał sobie sprawę, że zaniechano pościgu; przeniósł się na ścieżkę i biegł wciąż z tą samą szybkością, gdyż zostawił swego radcę i księżniczkę Immadę osaczonych przez nieprzyjaciół na skraju lasu — a właściwie wziętych do niewoli przez oddział Tenggi.

Niezdecydowanie Belaraba wyczerpało nawet dziedziczną cierpliwość Hassima w sprawach tego rodzaju. Wypada bezwarunkowo, aby ważne układy były rozłożone na szereg dni, aby te same żądania i argumenty powtarzały się w jednakowych słowach w ciągu wielu następujących po sobie rozmów, i aby dawano na nie te same wymijające odpowiedzi. Sprawy państwa wymagają zachowania tak pełnego godności, jakby nawet czas był zależny od potężnych i mądrych władców. Takim jest postępowanie ambasad i taką dostojną cierpliwość posłów. Lecz w tym przełomowym okresie niecierpliwość Hassima wzięła górę; i choć, podróżując z siostrą w świetle bogobojnego Belaraba, nie odstępował od tradycyjnego, cichego tonu rozmowy i spokojnego obejścia, miewał jednak chwile gniewu, niepokoju, przygnębienia. Jego związki przyjaźni, przyszłość, los jego ojczyzny, wszystko było rzucone na szalę — a obóz Belaraba wędrował krętymi drogami w głębi kraju, jakby zależał od chwiejnych myśli

władcy, stanowiących wierny wizerunek niepewnego losu.

Zdarzało się często, że na całodzienne przemowy Hassima Belarab raczył łaskawie odpowiadać jednym, jedynym słowem: „Dobrze“. Podrzedniejsze osoby towarzyszące władcy traktowały Hassima z uszanowaniem; lecz młody radża zdawał sobie sprawę z opozycji pochodzącej z kobiecej części obozu, która działała przeciw niemu, ulegając służalczo kaprynowi nowej żony Belaraba; młodą tę kobietę, wcale łagodną i łaskawą dla osób od siebie zależnych, poniosła wyobraźnia, wzbudzając w niej chciwość łupów, płynącą jedynie z prostoty i naiwności. Cóż mógł ofiarować jej Hassim, ten wędrowny, ubogi cudzoziemiec? Nic. Bogactwo jego oddalonej ojczyzny było tylko pustą gadaniną, opowieścią wygnańca szukającego pomocy.

W nocy Hassim musiał wysłuchiwać niepokoju i wątpliwości Immady; ta jedyna towarzyszka jego życia — dziecię tej samej matki — była odważną jak mężczyzna lecz bardzo kobiecą w swych obawach. Zwierzała mu się z nich szeptem głęboko w noc, gdy obóz wielkiego Belaraba spoczywał objęty snem, a płomienie ognisk opadły, zostawiając tylko żar. Hassim uspakajał siostrę z powagą. Ale i on był rodem z Wajo, gdzie mężczyźni są śmielsi i bystrzejsi od innych Malajów. A także bardziej energiczni; energia zaś kojarzy się zawsze z wewnętrznym ogniem. Hassim stracił cierpliwość i pewnego wieczoru oświadczył swej siostrze, Immadzie: — Jutro opuścimy tego władcę pozbawionego rozumu i wrócimy by się połączyć z naszym białym przyjacielem.

Tedy nazajutrz rano Hassim i Immada porzucili obóz dążący wprost do osady i udali się w swą własną



drogę. Szli samotną ścieżką między dżunglą a polankami. Towarzyszyło im dwóch dworzan, ludzi Hassima, mężów z Wajo; to też księżniczka Immada, jeśli miała po temu ochotę, mogła się kazać nieść na wzór możliwych niewiast z Wajo, które nie potrzebują dotykać stopą ziemi, chyba że tak im się podoba. Księżniczka Immada była przyzwyczajona do trudów, które są udziałem wygnańców i wołała iść pieszo, ale od czasu do czasu pozwalała się nieść na krótki dystans, licząc się z uczuciami swych dworzan. Posuwali się szybko podczas rannych godzin i Hassim się spodziewał, że dotrą przed wieczorem do brzegu laguny, w pobliżu kadłuba *Emmy*. O południu spoczęli w cieniu, blisko ciemnej sadzawki, za którą las już się kończył i tam zetknęli się właśnie z Dżaffirem, co było dla wszystkich trojga wielką niespodzianką. Spotkanie dało im sposobność do długiej rozmowy. Dżaffir, przysiadłszy na piętach, opowiadał miarowym głosem. Słuchano go z zapartym oddechem. Relacja o bohaterskim czynie Cartera nie dotarła jeszcze do obozu Belaraba. Wieść ta wstrząsnęła Hassimem, lecz właściwy mu półuśmiech, z jakim przysłuchiwał się Dżaffirowi, nie zmienił się ani na chwilę. Natomiast księżniczka Immada krzyknęła z rozpaczą i załamała ręce. Zapadło głębokie milczenie.

Zaiste, wobec złowrogiej wielkości faktu nawet tym Malajom zabrakło słów, a Dżaffir, pochyliwszy głowę, uszanował przerażenie swego księcia. W chwilę potem, zanim ich gromadka, siedząca wokoło kilku tlejących szczap, zdołała się otrząsnąć z wrażenia, porwali się wszyscy na nogi, zaskoczeni hałaśliwym zbliżaniem się spornego oddziału. Nie zdążyli się ukryć, gdyż spostrzeżono ich odrazu. Oddział był uzbrojony,

jakby wyruszał na jakąś wojenną wyprawę. Wśród wojowników Sentot z przepaską na biodrach i rozwianą, potarganą czupryną, podskakiwał, wymachując rękami, jak szalencie, którym był rzeczywiście. Zatrzymali się w zdumieniu na widok małej gromadki, lecz postawa ich była najwidoczniej wroga. Za oddziałem sunęła ostrożnie okazała postać, której towarzyszyło dwóch ludzi niosących miecze. Radża Hassim usiadł spokojnie z powrotem na pniu powalonego drzewa. Immada położyła lekko rękę na ramieniu brata, a Dżaffir, znów przykucnąwszy, patrzył w ziemię, zbierając siły; każdy muskuł jego ciała był czujnie napięty.

— Wojownicy Tenggi — mruknął z pogardą.

W grupie zbrojnych ludzi ktoś krzyknął; odpowiedziały mu nawoływania z oddali. Nie można było myśleć o oporze. Hassim zsunął ukradkiem z palca pierścień z szmaragdem, a Dżaffir wziął go ruchem prawie niedostrzegalnym. Radża nie spojrział nawet na wiernego gońca.

— Nie omieszkaj oddać tego białemu — szepnął.

— Twój sługa słyszy, o radžo. To czar o wielkiej sile.

Cienie rosły ku wschodowi. Wszyscy milczeli, a grupa zbrojnych ludzi zdawała się bliżej przysuwać. Immada, zarzuciwszy na twarz koniec szarty, patrzyła na sunący oddział jednym niezastłoniętym okiem. Z boku oddziału Sentot wykonywał jakiś powolny taniec, ale i on jakby zaniemówił.

— Ruszaj — szepnął radża Hassim z oczyma patrzącymi nieruchomo w przestrzeń.

Przez sekundę lub dłużej Dżaffir siedział bez ruchu, potem nagłym skokiem wznosił się z ziemi w powietrze

i uderzył o gąszcz dżungli, wstrząsając potężnie listowiem; zniknął natychmiast jak pływak, skaczący w wodę z wysoka. Głęboki pomruk zdumienia rozległ się wśród zbrojnej grupy: ktoś rzucił włócznię; huknął strzał; trzech czy czterech ludzi wpadło do lasu, lecz wróciło wnet, uśmiechając się z zakłopotaniem, a tymczasem Dżaffir, dopadłszy dawnej ścieżki, która zdawała się prowadzić we właściwym kierunku, biegł samotnie, ocierając się z szelestem o liście, z nagim parangiem w rękę i chmarą much nad głową. Słońce chyliło się ku zachodowi i rzucało pociski światła skroś ciemnej ścieżki. Dżaffir biegł sprężystym truchtem, rozglądając się czujnie; szerokie jego piersi dyszały; trzymał pierścień ze szmaragdem na wskazującym palcu ręki mocno ściśniętej, jakby się obawiał, że klejnot może się zsunąć, ulecieć, że jakaś niewidzialna siła wyrwie mu go, wykradnie zapomocą jakiegoś czaru. Nikt nie mógł przewidzieć, co nastąpi. Po świecie włóczyły się złe siły, potężne zaklęcia, straszliwe zjawy. Goniec książąt i wielkich ludzi, obarczony ostatniem posłaniem swego władcy, bał się gęstniejącego leśnego mroku. Złośliwe mary mogły czyhać w ciemnościach. Lecz słońce jeszcze nie zaszło. Widział jego twarz poprzez liście, biegnąc brzegiem laguny. Coby się stało, gdyby Allah powołał go nagle do siebie, gdyby zmarł podczas biegu!

Odetchnął głęboko na skraju wody, mniej więcej o sto jardów od tkwiącego na brzegu kadłuba *Emmy*. Przypływu już nie było; Dżaffir wszedł na kłodę leżącą w wodzie i z jej końca okrzyknął *Emme*, wołając aby mu przysłano łódź. Odpowiedział głos Jørgensona. Słońce znikło za lasem opasującym lagunę. Jak okiem sięgnąć panował spokój na czarnej wodzie.

Przypłynął po niej lekki powiew, i Dżaffir, stojący u brzegu w oczekiwaniu na czółno, wzdrygnął się zlekka.

W tej samej chwili Carter, wyczerpany trzydziestogodzinną znojną pracą na czele białych i Malajów przy ściąganiu statku z mielizny, osunął się na leżak pani Travers na pokładzie jachtu *Hermit* i rzekł do wiernego Wasuba: „Pamiętaj, stary, postawić dobrą wachtę dziś w nocy“ — poczem spojrzął z zadowoleniem na zachodzące słońce i usnął.

### III

Na przodzie *Emmy* nad piętą bukszprytu wznosiło się wysokie okratowanie, skąd oko mogło ogarnąć całą przestrzeń pokładu i dostrzec każdy ruch załogi. Miejsce to było zabezpieczone od podsłuchujących, choć naturalnie widoczne ze wszystkich stron. Słońce zaszło właśnie — w tej samej chwili gdy Carter odczuwał najwyższe zadowolenie — a Jörgenson i Dżaffir usiedli obok siebie na okratowaniu i — widzialni lecz niedostępni, imponujący i tajemniczy — zaczęli pocichu rozmawiać.

Każdy ze zbiegów z Wajo, obecnych na pokładzie *Emmy*, czuł, że zbliża się chwila decydująca. Byli przygotowani na wszystko i serca ich były spokojnie. Wszyscy ci straceńcy, gotowi na walkę i śmierć, nie troszczyli się o to, jak będą żyć lub umierać. Z panią Travers było inaczej. Zamknęła się w domku na pokładzie i dręczyła się strasznie temi samymi zagadnieniami,

choć i ją ogarnęła już taka desperacja, że gotowa była powitać z ulgą niemal każde rozstrzygnięcie.

Ze wszystkich ludzi na *Emmie* ona jedna nie wiedziała nic o tej naradzie. Pograżona w bezcelowych rozmyślaniach, zauważyła tylko, że wszelkie szmery na statku ucichły. Nie było słycać żadnych kroków, żadnego szelestu. Widok Jörgensona i Dżaffira, zatopionych w naradzie, wywarł takie wrażenie, że nikomu nie chciało się poruszyć.

Zmierzch ogarniał stopniowo obie postacie na przodzie: Jörgenson i Dżaffir rozmawiali, siedząc nieruchomo, niby rzeźbione posągi Europejczyka i Azjaty, których kontrast uwydatniało jeszcze poufałe zbliżenie. Gęstniejący mrok przysłonił ich prawie zupełnie, gdy powstałi wreszcie jakby niespodzianie, wywierając tym nagłym ruchem wstrząsające wrażenie na widzach. Lecz nie rozeszli się odrazu. Tkwili na swem wysokiem stanowisku, jakby czekając aż nastanie zupełna ciemność, odpowiedni kres dla tajemniczego ich obcowania. Dżaffir opowiedział Jörgensonowi całą historję pierścienia, symbolu przyjaźni, która dojrzała i umocniła się w ową noc klęski, gdy uciekali z dalekiego kraju, śpiącego niewzruszenie pod gniewem i ogniami niebios.

— Tak, tuanie — ciągnął Dżaffir — ten pierścień został wysłany pierwszy raz do białego nocą, wśród śmiertelnych niebezpieczeństw, jako dar na wspomnienie przyjaźni. Zaniósł go wówczas, jak to czynię obecnie. I wtedy i dziś został mi powierzony z rozkazem, abym się przekradł i wręczył go na potwierdzenie mych słów. Wypełniłem to, a biały uciszył, rzekłbyś, burzę by mego radzę ocalić. Taki człowiek jak on nie mógłby odjechać i porzucić męża, którego nazwał raz

przyjacielem. Powierzone mi zlecenie było tylko póżegnaniem, ale czar pierścienia działał tak silnie, że przyciągnął całą potęgę białego na pomoc mojemu księciu. A teraz nie kazano mi nic powiedzieć. Radza Hassim nic nie żąda. Ale cóż z tego? Z łaski Allaha wszystko jest po dawnemu: miłosierdzie Najwyższego, siła pierścienia, serce białego człowieka. Nic się nie zmieniło, tylko przyjaźń się stała dawniejszą, a przywiązanie wzrosło wskutek przebytych razem niebezpieczeństw i długoletnich wspólnych przeżyć. Dlatego, o tuanie, nie lękam się wcale. Ale jakże teraz dotrzeć z pierścieniem do Rady Lautu? Jakże mu go wręczyć? Wystarczyłby na to czas ostatniego oddechu, gdyby przebili mię włócznią dopiero u jego stóp. Lecz niestety! Gąszcz pełen jest ludzi Tenggi, a brzeg otwarty; nie mogę się nawet spodziewać, że dotrę do wrót.

Jörgenson słuchał, patrząc w dół, z rękami zagłębionymi w kieszeniach kurtki. Dżaffir odstłonił całą głębię zwątpienia, do jakiego był zdolny.

— Ucieczka nasza jest w Bogu — wyszeptał. — Ale co mamy robić? Czy twoja mądrość, tuanie, nie znajdzie jakiego podstępu?

Jörgenson nie odpowiedział. Zdawało się, że żaden podstęp nie przychodzi mu na myśl. Lecz Bóg jest wielki; Dżaffir czekał naprzeciw białego — stojącego bez ruchu — niespokojny lecz cierpliwy, skłopotany lecz pełen nadziei, mimo swej posepności, zaś noc płynąca z mrocznego, bliskiego lasu skryła ich obie postacie przed wzrokiem przypatrujących się ludzi. Wobec milczenia Jörgensona Dżaffir zaczął mówić rzeczowo. Ponieważ Tengga odrzucił maskę, Dżaffir przypuszczał iż gdyby wysiadł na brzeg, zostałyby nie-

tylko napadnięty, wzięty do niewoli, lecz nawet zabity — gdyż nie spodziewano się aby człowiek taki jak on poddał się bez walki, choćby się mógł ocalić ucieczką na rozkaz swego pana. Napomknął, że podczas wykonywania swych ważnych czynności umiał przemykać się jak cień, czołgać jak wąż, i prawie ryc się w ziemi. Jest przecież Dżaffirem, którego nigdy nikt nie pokonał. Żadne bagno, trzęsawisko, wielka rzeka czy dzungla nie mogą go zatrzymać. I teraz powitałby je z radością, gdyż sprzyjają pod wielu względami przebiegłemu wysłannikowi. Ale tu jest otwarty brzeg, a innej drogi niema, i tak jak rzeczy stoją, każdy krzak wokoło, każdy pień drzewa, każdy cień domu lub płotu może kryć ludzi Tenggi lub rozjuszonych stronników Damana, bo niektórzy z nich zdążyli już pewnie dotrzeć do osady. Jakżeby mógł się spodziewać, że przebędzie przestrzeń między skrajem wody i wrotami, które teraz będą z pewnością zamknięte dniem i nocą? Nietylko on sam, ale i ktokolwiekby z *Emmy* może być pewien, że zostanie napadnięty i przebity dwudziestu ciosami.

Zastanawiał się przez chwilę w milczeniu.

— Nawet ty, tuanie, nie mógłbyś tego dokazać!

— Prawda — mruknął Jörgenson.

Gdy się rozejrzał po dłuższej chwili rozmyślania, nie było już Dżaffira u jego boku. Malaj zeszedł z kraty i prawdopodobnie przykucnął gdzieś na piętach w jakimś ciemnym zakątku na jucie. Jörgenson znał go dobrze i wiedział, że Dżaffir spać nie pójdzie. Będzie siedział zatopiony w myślach, które przyprawią go wreszcie o szaleństwo; opuści *Emmę* w jakikolwiek sposób, popłynie na tamten brzeg i zginie wśród walki. Jednym słowem wpadnie w szal; wyglądało

bowiem na to, że niema wyjścia z sytuacji. A Lingard nie dowie się oczywiście o pojmaniu Hassima i Im-mady, gdyż pierścień nie dosięgnie go wcale — pier-scień, który umie opowiedzieć swoją historję. Nie, Lingard nic się nie dowie. Nie dowie się nic o lu-dziach znajdujących się poza ostrokołem Belaraba, póki nie nadejdzie koniec — wszystko jedno jaki — dla tych osób żyjących ludzkim życiem. Czy dla Lingarda byłoby lepiej wiedzieć, czy nie — tego Jör-genson rozstrzygnąć nie umiał. Przyznał samemu sobie, że oto jest coś, na co on, Jørgenson, nie umie dać odpowiedzi. Wszystkie możliwości były wątpliwe, niepewne, jak wogóle rzeczy odnoszące się do życia. Dopiero zwróciwszy się na chwilę myślą do siebie samego, Jørgenson poczuł, że wątpliwości go opusz-czają. Wiedział naturalnie, co ma zrobić.

Na chudem, ukrytem w mroku obliczu Jørgen-sona nie poruszył się żaden rys, nie drgnął żaden mięsień, gdy stary marynarz schodził z kolei z okra-towania i szedł na rufę wzdłuż pokładu *Emmy*. Jego wyblakłe oczy, co napatrzyły się tylu rzeczom, nie usiłowały przeniknąć nocy i nie rzuciły ani jednego spojrzenia na niemych, czuwających ludzi, o których się otarł. Gdyby mu nagle błysnęło w twarz świa-tłem, byłby się wydał człowiekiem wędrującym przez sen: lunatykiem pogrążonym w wiecznym uśpieniu. Pani Travers usłyszała jego kroki wzdłuż ściany domku. Usłyszała je — i opuściła znów głowę na nagie ra-miona, zarzucone na niewielki pulpit, przed którym siedziała.

Jørgenson, stojąc przy poręczy, zauważył słabą, czerwonawą jasność w masywnej czerni dalszego brzegu. Notował fakty szybko, pobieżnie, niedbale, jako objawy



nie związane niczem z jego własnym, widmowem istnieniem — istnieniem ducha nawiedzającego ziemię. Wszystko to były tylko epizody gry w życie, wciąż ludzi zaprzatającej. Wiedział aż nadto dobrze, jak dalece warto przejmować się jej przebiegiem. Porzucił był już tak dawno zwyczaj długich rozmyślań, że nagły powrót do nich irytował go niesłychanie, tembardziej iż chodziło o to by dojść do jakiejś konkluzji. W tym świecie wiecznego zapomnienia, którego zakosztował, nim Lingard skłonił go do wejścia w ludzkie życie, wszystko było rozstrzygnięte raz na zawsze. Gniewało go własne skłopotanie; stanowiło jakby resztkę tej śmiertelności złożonej ze spraw i pragnień, od których — jak mniemał — uwolnił się bezpowrotnie. Przez naturalne skojarzenie pogardliwa jego irytacja ogarniała także osobę pani Travers; jakże bowiem mógł myśleć o Tomie Lingardzie, o tem co było dobre lub złe dla Króla Toma, nie myśląc także o kobiecie, która potrafiła rozniecić coś nakształt iskry nawet w jego własnych, zagasłych oczach? Jej osoba nie miała znaczenia, ale tu chodziło o nieskazitelność Toma. Musiał myśleć o Tomie, o tem co było dla niego złem lub dobrem w tej bezsensownej, śmiertelnej grze jego życia. Doszedł ostatecznie do wniosku, że wręczenie pierścienia Tomowi Lingardowi jest pożądane. Trzeba mu wręczyć pierścień — i koniec na tem. Trzeba tylko wręczyć mu pierścień.

— To pomoże mu się zdecydować — mruknął Jorgenson pod wąsem, jakby pod wpływem jakiegoś niejasnego przekonania. Dopiero teraz poruszył się zlekka i odwrócił od wysokich ognisk na odległym brzegu. Pani Travers usłyszała znów jego kroki wzdłuż ściany domku — ale tym razem nie podniosła już

głowy. Ten człowiek pozbawiony snu był szalony, dziecinny i nieugięty. Był niemożliwy. Włóczył się bez celu po pomostach tego statku...

A jednak Jörgenson poszedł szukać Dżaffira z bardzo wyraźnym celem.

Przedewszystkiem poddał jego rozwadze następującą obserwację: oto jedyną osobą na świecie — co do której istnieje najodleglejsza możliwość, iż dotarłaby tej nocy do wrót Belaraba — jest ta wysoka, biała kobieta, którą Radza Laut przywiózł na *Emme* — żona jednego z uwięzionych białych naczelników. Zdumienie wyrwało Dżaffirowi okrzyk, lecz nie myślał temu przeczyć. Możliwe że z wielu powodów, i prostych, i bardzo zawiłych, ci synowie złego ducha, oddani Tendze i Damanowi, powstrzymają się od zabicia białej kobiety, idącej samotnie od brzegu laguny do wrót Belaraba. Tak, była pewna możliwość, że ona przejdzie bez szwanku.

— Szczególniej jeśli będzie niosła płonąca pochodnię — mruknął Jörgenson pod wąsem. Powiedział Dżaffirowi, że biała kobieta siedzi teraz pociemku i rozpacza, milcząc, jak to jest u nich w zwyczaju. Rano podniosła wielki krzyk, żeby jej pozwolono połączyć się z białymi na wybrzeżu. On, Jörgenson, odmówił jej czołna. Od tamtej chwili zamknęła się w domku na pokładzie w wielkiej rozpacz.

Dżaffir wysłuchiwał tego bez szczególnego współczucia. A gdy Jörgenson dodał: — Myślę, Dżaffirze, że spełnię teraz jej wolę — odpowiedział z największą obojętnością: — Tak, na Allaha! Puść ją, co to szkodzi. — A Jörgenson dodał:

— Tak. Ona może zanieść pierścień Radzy Lautowi.

Jörgenson ujrzał że Dżaffir — groźny, ponury, nie-

wzruszony Dżaffir -- drgnął wyraźnie. Z początku wydawało się niemożliwym, aby Malaj dał się namówić do rozstania z pierścieniem. To pojęcie było zbyt potworne aby przeniknąć do jego duszy, aby poruszyć jego serce. Ale poddał się w końcu z uroczystym szeptem: „Bóg jest wielki. Może to jej los“.

Jako mąż rodem z Wajo, nie uważał aby kobiety nie zasługiwały na ufność, lub były niezdolne do wykonywania zadań wymagających odwagi i rozsądku. Przewyciężywszy swe osobiste uczucia, wręczył pierścień Jörgensonowi z jednym tylko zastrzeżeniem: „Pamiętaj, tuanie, że w żadnym razie nie powinna go włożyć na palec“.

— Niech go zawiesi na szyi — poddał natychmiast Jörgenson.

Gdy Jörgenson szedł ku domkowi, przyszło mu na myśl, że nuż coś strzeli do głowy tej kobiecie, którą Tom Lingard za sobą pociągnął — nuż nie będzie chciała opuścić *Emmy*? Niewiele go to obeszło. Wszyscy ci ludzie działali naoslep. Nawet i on w danej chwili działał naoslep. Pragnął tylko skierować myśl Lingarda ku Hassimowi i Immadzie, aby mu pomóc w decyzji i nakłonić go do bezwzględnej wierności jego zamierzeniom; nie miał pozatem żadnego innego celu. Życie tych białych było bez znaczenia. Należeli do gatunku ludzi, których stopy śladów nie zostawiają. Ta kobieta będzie użyta za nieświadome narzędzie. A jeśli nie zechce wyruszyć, wówczas będzie musiała pozostać na statku — również w nieświadomości. Jörgenson nic jej nie powie.

I rzeczywiście przekonał się, że pani Travers nie chce poprostu mieć z nim do czynienia. Nie chciała wcale go słuchać. Oświadczyła mu — słyszał znużony

ej głos, zamknięty w ciemnościach kajuty — aby odszedł i nie męczył jej więcej. Ale duch kapitana Jörgensona niełatwo poddawał się egzorcyzmom. I on był też tylko głosem w ciemnościach nazewnątrz domku — nieubłaganym głosem, nalegającym aby wyszła na pokład i wysłuchała go. Znalazł wreszcie słowa, które do niej trafiły.

— Chcę pani powiedzieć coś o Tomie. Pani mu przecież dobrze życzy, nieprawdaż?

Nie mogła już teraz odmówić wyjścia na pokład, a znalazłszy się tam, wysłuchała cierpliwie tego białego ducha, który mruczał i szeptał nad jej spuszczoną głową.

— Zdaje mi się, panie kapitanie — odezwała się gdy zamilkł — że pan sobie poprostu ze mnie żartuje. Po pańskim zachowaniu dziś rano nie chcę z panem wcale mówić.

— Mam czótno dla pani — mruknął Jörgenson.

— Pan ma teraz coś innego na widoku — odcięła się żywo pani Travers. — Ale pan nie chce mi tego wyjawić. O co panu chodzi?

— O dobro Toma.

— Czy pan jest naprawdę jego przyjacielem?

— Przywiózł mię tutaj. Pani to wie. Opowiadał pani wiele rzeczy.

— Tak. Ale zapytuję siebie, czy pan jest zdolny do tego aby być czyimś przyjacielem.

— Pani siebie zapytuje! — powtórzył Jörgenson, bardzo spokojny i nasepiony. — Jeśli ja nie jestem jego przyjacielem, to chciałbym wiedzieć, kto nim jest.

Pani Travers spytała szybko:

— Co ma znaczyć ten pierścień? Co to za pierścień?

— Należy do Toma. Już od lat.

— I on go dał panu? Czy mu na nim nie zależy?

— Nie wiem. To jest tylko taki sobie przedmiot.

— Ale ma jakieś znaczenie w pana i jego oczach. Prawda?

— Prawda. Tom będzie wiedział, co to ma znaczyć.

— A co to znaczy?

— Tom jest dla mnie za bliski, abym nie trzymał języka za zębami.

— Jakto! Przede mną?

— A kim pani jest? — odpowiedział niespodzianie Jörgenson. — On już i tak za dużo pani powiedział.

— Może — szepnęła pani Travers jakby do siebie. — Więc pan chce żeby mu zawieźć ten pierścień? — spytała głośniej.

— Tak. Natychmiast. Dla jego dobra.

— Czy pan jest pewien, że to dla jego dobra? Dlaczego pan nie...

Urwała. Ten człowiek był beznadziejny. On nigdy nic nie powie i niepodobna go do tego zmusić. Był nietykalny, niedosiężny... Był martwy.

— Niech mu pani tylko to odda — mamrotał Jörgenson, jakby opanowany przez jakąś myśl. — Niech pani wsunie mu to spokojnie do ręki. Już on zrozumie.

— Co to jest? Rada, ostrzeżenie, hasło do czynu?

— To może być wszystkim — wyrzekł Jörgenson pośepnie, lecz jakby zmiękczonej tonem. — To dla jego dobra.

— Ach, gdybym mogła wierzyć temu człowiekowi! — rozmyślała nawpół głośno pani Travers.

Lekkie chrząknięcie Jörgensona można było wziąć za wyraz współczucia. Ale nic nie powiedział.

— Doprawdy, to jest wprost nadzwyczajne! — krzyknęła pani Travers z nagłą energią. — Dlaczego pan do mnie przyszedł? Dlaczego ja mam to zrobić? Dlaczego pan chce, abym właśnie ja mu to zawiozła?

— Powiem pani dlaczego — rzekł bezbarwny głos Jörgensona. — Ponieważ niema tu na pokładzie ani jednego człowieka, któryby mógł się spodziewać, że dostanie się do środka tamtego ostrokołu. Dziś rano powiedziała pani sama, że gotowa jest pani umrzeć za Toma — albo razem z Tomem. No więc, niech pani zaryzykuje. Pani jest tutaj jedną jedyną, która ma niejakię szanse przedostania się — a może Tom czeka.

— Jedną jedyną — powtórzyła pani Travers i posunęła się nagle naprzód, wyciągając rękę, przed którą Jörgenson cofnął się krokiem wtył. — Mam ryzykować? Dobrze! Gdzie ten tajemniczy pierścień?

— Mam go w kieszeni — rzekł natychmiast, lecz upłynęło prawie pół minuty, nim pani Travers poczuła, że Jörgenson wciska jej do wpiólotwartej ręki przedmiot o charakterystycznym kształcie. — Niech go nikt nie zobaczy — upominał ją szeptem. — Niech go pani schowa. Może go pani zawiesi na szyi?

Pani Travers ścisnęła mocno pierścień w dłoni.

— Tak, dobrze — szepnęła śpiesznie. — Wrócę za chwilę. Niech pan każe wszystko przygotować. — Z temi słowy znikła w domku i natychmiast nitki światła ukazały się w szparach między deskami. Pani Travers zapaliła tam w środku świecę. Zajęta była zawieszaniem pierścienia na szyi. Pojedzie natychmiast. Tak — zaryzykuje to dla Toma.

— Nikt nie może się oprzeć temu człowiekowi —

mruknął do siebie Jörgenson i jeszcze bardziej sępniał. — Nawet ja mu się nie oparłem.

#### IV

Jörgenson, zobaczywszy że czółno oddala się od statku, przestał żyć duchowo. Nie trzeba już było się zastanawiać ani wysilać swej pomysłowości. Skończył z tem wszystkim. Pojęcia jego były dokładnie ustalone i mógł przebiegać je myślą z zaziemskiem odezwaniem — jak duch — podobnie jak nawiedzał pokład *Emmy*. Na widok pierścienia Lingard wróci do Hassima i Immady, którzy teraz również byli więźniami; Jörgenson wcale jednak nie myślał, aby im groziło poważne niebezpieczeństwo. Rzecz tak się miała po prostu, że Tengga zdobył zakładników, których Jörgenson uważał za bliskich Lingardowi. Byli mu istotnie bliscy. Zjednoczył się z nimi silnie, bardzo silnie. Byli z nim związani i mieli do niego prawo — zupełnie taksamo, jak wiele lat przedtem ludzie tej samej rasy mieli prawo do Jörgensona. Tylko że Tom jest człowiekiem znacznie większej miary. Jest człowiekiem bardzo wielkiej miary. Mimo to Jörgenson nie widział dlaczego Tom miał ująć swemu losowi — któremu uległ on, Jörgenson — dlaczego miał uniknąć wchłonięcia, ujarznienia przez tamtych, zespolenia się z nimi — w przegranej czy też zwycięstwie. To była nieunikniona konieczność i Jörgenson nie wątpił, że na wezwanie pierścienia Lingard nie cofnie się przed nią. Jörgenson dążył do tego, aby Lingard przestał się zajmować tymi białymi — należącymi do gatunku ludzi, których stopy śladów nie zostawiają.

Może na pierwszy rzut oka wysłanie tej kobiety

do Lingarda nie było najlepszą drogą do celu. Ale Jörgenson miał wyraźne wrażenie, które potwierdziła mu jeszcze poranna rozmowa z panią Travers, że tych dwoje pokłóciło się na dobre. Co było naturalnie nieuniknionem. Cóżby Tom Lingard mógł mieć do czynienia z jakąkolwiek kobietą? Jedyna kobieta w życiu Jörgensona została przez niego nabyta za pewną ilość bawełnianych tkanin i kilka mosiężnych strzelb. Ten fakt musiał na jego sąd oddziaływać; w danym wypadku podobna transakcja była oczywiście niemożliwa i dlatego wypadek ten nie był poważny. Poprostu nie istniał. Co natomiast istniało, to stosunek Lingarda do wygnańców z Wajo, to wielkie, wojownicze przedsięwzięcie, na jakie żaden z żeglarzy tych mórz nigdy się jeszcze nie porwał.

Że Tengga był o wiele skłonniejszy do rokowań niż do walki, co do tego stary marynarz nie miał najlżejszej wątpliwości. Nie obchodziło wcale Jörgensona, jak Lingard da sobie radę z Tenggą. Przyjdzie mu to dość łatwo. Nic nie stało na przeszkodzie aby Lingard Tenggę odwiedził i pomówił z nim władcym tonem. Wszystkie pragnienia tego ambitnego Malaja polegały na tem, że chciał korzystać z bogactw Lingarda, z jego siły, z jego przyjaźni. Mniej więcej na rok przedtem Tengga napomknął raz Jörgensonowi: „Z jakiego powodu Belarab zasługuje bardziej na przyjaźń ode mnie?“

Była to wyraźna propozycja, odsłonięcie najtajniejszych zamysłów tego człowieka. Jörgenson, naturalnie, odpowiedział głębokiem milczeniem. Jego rzeczą była opieka nad zapasami, nie zaś dyplomacja.

Jörgenson wysilił się bardzo na logiczny tok myśli, chcąc doprowadzić do skutku wyjazd pani Travers



i teraz pragnął jaknajprędzej zapomnieć o tej całej sprawie. Ostatnia myśl z tem związana była ściśle praktyczna. Przyszło mu do głowy, że dobrzeby było zwrócić jakimś sposobem uwagę Lingarda na lagunę. W morskim języku pojedyncza rakietka jest właściwie znakiem wzywającym pomocy, ale w danych okolicznościach trzy rakietki puszczane jednocześnie mogłyby przesłać ostrzeżenie. Wydał odpowiedni rozkaz i patrzył jak rakietki wzbiły się pięknie w górę, siejąc czerwone iskry; wysoko w powietrzu rozpadły się na białe gwiazdy z trzykrotnym, szybko powtarzającym się hukiem. Jörgenson zaczął znów chodzić wzdłuż całego pokładu; był przekonany, iż teraz Tom zgadnie że coś się święci i postawi czujną wartę nad laguną. Te tajemnicze rakietki zaniepokoją z pewnością Tengge wraz z jego przyjaciółmi i wzbudzą wielkie podniecenie w osadzie, ale to wcale Jörgensona nie obchodziło. Panował tam taki zamęt, że trochę więcej podniecenia nie zrobi już różnicy. Czego się jednak Jörgenson nie spodziewał, to muszkietowego strzału, który się rozległ w lesie naprzeciw dziobu *Emmy*. Stary marynarz stanął jak wryty. Słyszał wyraźnie jak kula uderzyła o wygięty przód statku. „Jakiś porywczy osioł wystrzelił“, rzekł do siebie pogardliwie. Ujawniło mu to poprostu, że jest już obłączony od strony wybrzeża; znikły jego wątpliwości co do zamiarów Tenggi. Widocznie Tengga był gotów na wszystko. Tom miał jeszcze czas, naturalnie, opanować kilku słowami sytuację, chyba że... Jörgenson uśmiechnął się groźnie w ciemnościach i zaczął znów chodzić niezamordowanie po rufie.

Zabawiło go że ogień, który palił się dniem i nocą przed ogrodzeniem Tenggi, został nagle zgaszony. Wyobraził sobie szaloną bieganinę z bambusowemi wia-

drami do brzegu laguny, zamęt i pośpiech ludzi poręczających się nawzajem wśród wielkiego syku wody i kłębow pary. Przerazenie tłustego Tenggi przemówiło do poczucia humoru Jörgensona i zajęło go na jakie pięć sekund. Potem wziął lunetę z dachu domku.

Wybuch trzech białych gwiazd nad laguną ukazał mu był na mgnienie czarną plamkę czółna wiozącego panią Travers. Nie mógł teraz tej plamki przez szkła odnaleźć, zbyt było ciemno; lecz część brzegu, ku której czółno się kierowało, leżała niedaleko rogu ostrokołu, najbliżej laguny. Jörgenson rozróżniał tę część ostrokołu w słabym, różowawym blasku ognisk palących się wewnątrz ogrodzenia. Był pewien, że Lingard patrzy w stronę *Emmy*, wybrawszy najdogodniejszy otwór w palisadzie jaki tylko mógł znaleźć.

Ponieważ oczywiście pani Travers nie mogła sama przepłynąć przez lagunę, dwóch ludzi ją tam wiozło, a za sternika miała Dżaffira. Choć Dżaffir przystał na plany Jörgensona, pragnął jednak towarzyszyć pierścieniowi na miejsce przeznaczenia — tak daleko jak tylko się dało. Tylko zagniony przez straszną ostateczność rozstał się z talizmanem. Przykucnąwszy w rufie, obracał wiosło z boku na bok, patrząc na oparcie płóciennego leżaka, który zabrano z pokładu i umieszczono w środku czółna dla pani Travers. Wyciągnęła się na nim z zamkniętymi oczami, spowita w ciemność, czując niewyraźnie pierścień wiszący nisko na piersi. Czółno było dość duże i płynęło bardzo wolno; obaj Malaje zagłębiali wiosła bez plusku. Pani Travers nie czuła wcale, że płynie. Przelotne znużenie ogarnęło wszystkie jej członki; poddawała się biernie tej przygodzie. Wyczerpały ją myśli, podobnie jak Jörgensona. Poddała się także nocnej ciszy, pełnej zbudzonych namiętności i śmier-

telnym zamysłom. Uległa pewnemu złudnemu wrażeniu; wydało jej się, że wypoczywa naprawdę. Poraz pierwszy od wielu dni zakosztowała ulgi samotności. Ci towarzyszący jej ludzie nie liczyli się wcale. Nie mogła do nich mówić; nie mogła ich zrozumieć; czółno posuwało się może mocą jakiegoś zaklęcia — jeśli się posuwało naprawdę. Jak człowiek śpiący i nawpół tego świadom, tak i ona gotowa była sobie powiedzieć: „Co za dziwny sen“.

Cichy głos Dżaffira wkradł się w ów sen spokojnie, rozkazując wiosłarzom aby się zatrzymali; szalupa zwolniła biegu i stanęła najwyżej o dziesięć jardów od lądu. Jörgenson zaopatrzył był łódkę w pochodnię, którą należało zapalić przed przybiciem do brzegu, nadając temsamem jawny charakter tej rozpaczliwej wyprawie. „A jeśli pochodnia ściągnie na nas strzały“, rzekł Dżaffir do Jörgensona, „wówczas zobaczymy, czyjem przeznaczeniem jest zginąć tej nocy“.

— Tak — mruknął Jörgenson — Zobaczymy.

Jörgenson ujrzał nakoniec słabe światło pochodni na tle czarnego ostrokołu. Wytężył słuch, aby się przekonać czy nie rozlegnie się salwa z muszkietów, ale żaden dźwięk nie przypłynął do niego po szerokiej powierzchni laguny. Tam u brzegu człowiek z pochodnią, drugi wiosłarz i sam Dżaffir, kierujący czółno ku lądowi łagodnymi ruchami wiosła — wszyscy mieli świecące źrenice, i naprężony wyraz twarzy, zdradzający ciche podniecenie. Czerwony blask uderzył o zamknięte oczy pani Travers, ale nie podniosła powiek, póki nie poczuła, że czółno dotyka brzegu. Dwaj Malaje wyskoczyli z niego natychmiast. Pani Travers wstała porywczo. Nikt nie rzekł ani słowa. Wysła, potykając się, z czółna i prawie zanim zdążyła stanąć pewnie na nogach, wepchnięto jej do ręki po-

chodnię. Gorąco i bliskość płomienia oszołomiły ją i oślepiły, póki nie podniosła instynktownie pochodni wysoko nad głowę. Przez chwilę stała nieruchomo, trzymając w górze palący się gwałtownie płomień, z którego opadało wolno kilka iskier.

Nagie, brązowe ramię, oświetlone z góry, wskazało jej kierunek i pani Travers zaczęła iść ku jednostajnej, czarnej masie ostrokołu. Gdy się po kilku krokach obejrzała, laguna, wybrzeże, czołno, ludzie, których przed chwilą opuściła, stali się już niewidzialni. Szła samotnie — niosąc w górze jaśniejącą pochodnię — po ziemi, która była niemyym cieniem, usuwającym jej się z pod nóg. Wreszcie dosięgła pewniejszego gruntu, a ciemna, długa palisada, nietknięta jeszcze światłem pochodni, wydała jej się olbrzymią i przerażającą. Pani Travers czuła, że ze wzruszenia gotowa jest paść na ziemię. Ale szła ciągle naprzód.

— Trochę bardziej na lewo — krzyknął silny głos.

Zatargał każdym włóknem jej ciała, pobudzając ją jak zew trąby, pobiegł w dal, napełnił cały przestwór. Pani Travers stała przez chwilę nieruchomo, potem odrzuciła daleko płonącą pochodnię i pobiegła naosłep z wyciągniętymi rękoma ku potężnemu głosowi Lingarda, zostawiając za sobą światło palące się z trzaskiem. Potknęła się i nie przewróciła tylko dlatego, że ręce jej się oparły o grubo ciosane pale. Ostrokół wznosił się wysoko nad jej głowę; przypadła do niego z rozpostartymi ramionami, cisnąc się całym ciałem do chropowatej powierzchni tej olbrzymiej, nieprzebytej palisady. Słyszała przez nią ciche głosy i jakieś ciężkie uderzenia; za każdym z nich czuła pod nogami lekką wibrację gruntu. Obejrzała się lękliwie; zobaczyła w ciemności tylko gasnący żar odrzuconej pochodni i ciemne

lśnienie laguny, bramujące matowy mrok wybrzeża. Wyteżone źrenice Edyty zdawały się rozróżniać w ciemnościach jakieś tajemnicze ruchy; ovladnęło ją nieodparte przerażenie, dygocąca męka trwogi. Czy przybije ją szerokie ostrze do ściany?... do tej wysokiej, niewzruszonej, drewnianej ściany, do której się cisnęła rozpaczliwie, jakby się mogła spodziewać że przedostanie się przez nią samą siłą swego przerażenia. Nie miała pojęcia gdzie się znajduje; w rzeczywistości zaś stała trochę na lewo od głównych wrót i prawie dokładnie pod jedną ze strzelnic ostrokołu. Niezmierną jej trwoga przeszła w odrętwienie. Przestała słyszeć, widzieć, nawet czuć kontakt powierzchni, do której przywarło jej ciało. Głos Lingarda, rozlegający się gdzieś w niebie nad jej głową, kierował nią — wyraźny, bardzo bliski, pełen niepokoju.

— Niech się pani nisko pochyli. Jeszcze niżej.

Zastygła krew jej ciała jęła leniwie pulsować. Pani Travers schyliła się nisko — jeszcze niżej — tak nisko że musiała uklęknąć, i wówczas poczuła słaby zapach drzewnego dymu, zmieszany z niewyraźnym szmerem niespokojnych głosów. Słyszała je przez otwór nie wyższy od swej klęczącej postaci i nie szerszy od dwóch kołów. Lingard mówił:

— Nie mogłem ich nakłonić, aby odsunęli rygle u wrót.

Pani Travers nie była w stanie przemówić ani słowa.

— Czy pani tam jest? — spytał niespokojnie Lingard, tak blisko że zdawała się czuć jego oddech na twarzy. To przywróciło jej życie; zrozumiała наконец co ma zrobić. Przesunęła głowę i ramiona przez otwór; ktoś chwycił ją porywczo pod pachy i pociągnął

z nieodpartą siłą, tak że szarfa, zaczepiona frendzlą o nierówne pale, została zdarta z jej głowy. Ten sam gwałtowny chwyt podniósł ją i postawił na nogi bez żadnego z jej strony wysiłku. Zdawała sobie sprawę iż Lingard usiłuje coś powiedzieć, ale bełkotał tak niewyraźnie, przejęty zdumieniem i rozkoszą, że dosłyszała tylko słowa: „Pani... pani...” powtarzane w uniesieniu. Nie puścił jej; jego wybawczy, nieodparty chwyt zmienił się w ciasne przytulenie, w miążdzący uścisk, w gwałtowne zawładnięcie nią przez jakąś wcieloną moc, która zerwała pęta, nie dając się już opanować. Jak przed chwilą potężny głos Lingarda, tak teraz jego wielka siła zdawała się wypełniać przestrzeń swą przemożną, niezaprzeczoną władczością. Za każdym razem gdy pani Travers chciała bezwiednie oprzeć się jej potędze, siła reagowała, potwierdzając swą dziką wolę, swą porywającą moc. Edyta poczuła kilkakrotnie że traci grunt pod nogami; przejęło ją uczucie bezsilności bez lęku, tryumfu bez uniesienia. Stało się, co było nieuniknione. Przewidziała to — a teraz wśród mroku ten człowiek, którego ramionom usiłowała się oprzeć, pozostał dla jej oczu — dla jej przymkniętych oczu — cieniem na tle czerwonego blasku ognisk. Nagle mignęło jej przez myśl: „Zgniecie mnie na śmierć, wcale o tem nie wiedząc“.

Był jak jakaś ślepa moc. Edyta zamknęła oczy. Głowa jej przechyliła się wtył. Bynajmniej nie instynktownie, lecz ze świadomą rezygnacją i jakby w poczuciu sprawiedliwości, poddała się jego ramionom. Miało to taki skutek, jakby nagle przebiła mu serce. Puścił ją tak raptownie i zupełnie, że byłaby padła na ziemię, gdyby nie zdążyła chwycić go za ramię. Zdawał się być na to przygotowanym; przez chwilę zawisła

całym ciężarem na jego nieugiętem ramieniu, które nawet nie drgnęło. Pani Travers słyszała za sobą ciężki łomot uderzeń w drzewo, niewyraźne szeptu i poruszenia.

Jakiś głos rzekł nagle: „Gotowe“ — z takim naciskiem, że choć nie mogła oczywiście tego zrozumieć, sam dźwięk pomógł jej do odzyskania władzy nad sobą; a gdy Lingard zapytał prawie szeptem: „Dlaczego pani nic nie mówi?“ odpowiedziała natychmiast: „Muszę zaczerpnąć tchu“.

Wokoło nich ustały wszystkie dźwięki. Ludzie zabili znów otwór w palisadzie, przez który Lingard porwał Edytę w chwilę zapomnienia — i zostawił ją bez tchu, lecz nieugiętą. Jakby wypełniwszy jakiś nieodparty nakaz, Edyta poczuła że ogarnia ją wewnętrzna pogoda, spokój nie zmacony żadną myślą; trzymała się wciąż ramienia, które ani drgnęło — jak ramię z żelaza — a jednocześnie szukała ukradkiem po ziemi sandału, co spadł jej z nogi. O tak, nie ulegało wątpliwości — dała się porwać z ziemi bez wstydu i bez żalu. Ale nie chciała za nic w świecie aby się Lingard dowiedział o tym upuszczonym sandale. Ten zgubiony sandał był symboliczny jak odsłonięty welon. On o tem nie wie. Nie trzeba aby się dowiedział. Gdzież ten sandał? Była pewna że wcale nie ruszyli się z miejsca. Wtem natrafiła nań stopą i opierając się na Lingardzie, schyliła się aby zapiąć rzemyk. Gdy się wyprostowała, trzymając wciąż Lingarda za ramię, spojrzeli sobie w twarz. Lingard, stężały z wysiłku, z jakim panował nad sobą, czuł że przewalają mu się przez serce fale najburzliwszego z mórz, jakie tylko mógł sobie przypomnieć; kobieta zaś była jakby pozbawiona wszelkich uczuć i myśli przez to co przeżyła,

powoli jednak odzyskiwała świadomość położenia i pamięć najbliższej przeszłości.

— Czuwałem u tej strzelnicy przez godzinę, od chwili kiedy przybiegli do mnie z wiadomością o rakietach — rzekł Lingard. — Byłem wtedy zamknięty z Belarabem. Zobaczyłem jak się zapaliła pochodnia i jak pani wyszła na brzeg. Zdawało mi się, że śnię. Ale co mogłem zrobić? Pragnąłem do pani się rzucić, lecz się nie odważyłem. Ta kępa palm pełna jest ludzi. A także i domy, które pani widziała wówczas, gdy pani przybyła razem ze mną na to wybrzeże. Pełno tam ludzi. Zbrojnych ludzi. Łatwo pociągnąć za kurek, i gdy raz strzelanina się zacznie... A pani szła otwartem wybrzeżem z tą pochodnią nad głową. Nie odważyłem się wypaść z ostrokołu; pani była bezpieczniejszą sama. Miałem siłę zostać tam wewnątrz i patrzeć jak pani szła w górę po brzegu. Nie! Żaden żyjący człowiek nie oglądał nigdy takiego widoku. Dlaczego pani tu przyjechała?

— Czy pan nie oczekiwał nikogo? Nie mnie, ale jakiegoś posłańca?

— Nie — rzekł Lingard, dziwiąc się swej sile panowania nad sobą. — Dlaczego on pozwolił pani przyjechać?

— Pan mówi o kapitanie Jörgensonie? Ach, z początku odmówił. Powiedział, że musi słuchać pańskich rozkazów.

— Jakże pani dała sobie z nim radę? — rzekł Lingard najłagodniejszym swym głosem.

— Wcale się nie starałam — zaczęła i nagle zamilkła. Pytanie Lingarda — choć nie zdawał się czekać na odpowiedź — obudziło na nowo jej podejrzliwość co do zmiany frontu Jörgensona. — Nie potrze-



bowalam wiele mówić przy końcu — ciągnęła, trochę jeszcze zdyszana, i czuła że jej indywidualność, zmiażdżona do cna w uścisku tych ramion, odzyskuje znowu swą pełnię wobec nieruchomej uwagi, z jaką Lingard jej słuchał. — Kapitan Jörgenson uważał mię zawsze za zawadę. Może postanowił pozbyć się mnie wbrew pańskim rozkazom. Czy on jest zupełnie przy zdrowych zmysłach?

Rozluźniła palce, które trzymały mocno żelazne ramię; opadło zwolna wzdłuż boku Lingarda. Edyta odzyskała w zupełności władzę nad sobą. Ustępowało powoli wrażenie pozbawiające ją jeszcze tchu — wrażenie krótkiego lotu nad tą ziemią, w którą wparte były teraz silnie jej stopy. „Więc to jest wszystko?“ zapytała siebie bez goryczy, lecz jakby z czułą pogardą.

— On jest tak dalece przy zdrowych zmysłach — zabrzmiał potężny głos Lingarda — że gdybym go był usłuchał, nie znalazłaby mnie pani tutaj.

— Jakto, tutaj? W tym ostrokole?

— Nigdzie — odrzekł.

— A coby wówczas się stało?

— Bóg jeden wie — odpowiedział. — Coby było się stało, gdyby świat nie został stworzony w siedem dni? Znam panią tylko tyle czasu mniej więcej. Zaczęło się to od mego przyjscia do pani w nocy — zjawiłem się nocą jak złodziej. Gdzież ja to u diabła słyszałem? A ten człowiek, którego pani jest żoną, myśli zem nie lepszy od złodzieja.

— Powinno panu wystarczyć, że ja nie pomyliłam się nigdy w sądzie o panu, że przybywam do pana w mniej niż dwadzieścia cztery godziny od chwili, gdy pan opuścił mię pogardliwie pogrążoną w rozpacz. Niech pan nie udaje, że pan nie słyszał jak za

panem wołałam. O tak, słyszał mię pan. Cały okręt mię słyszał, bo nie miałam wstydu.

— Tak, przybyła pani — rzekł Lingard gwałtownie. — Ale czy pani doprawdy tu jest? Nie mogę wierzyć swym oczom. Czy pani tu jest naprawdę?

— Ciemno tu, na szczęście — rzekła pani Travers. — Ale czy pan może o tem wątpić? — spytała znacząco.

Uczył nagły ruch w jej kierunku, zdradzając taką namiętność, że pani Travers pomyślała: „Tym razem nie wypuści mnie żywej“ — a jednak oto stał przed nią jakby wryty — rzekłbyś, że się wcale nie poruszył. Było to bardziej nadzwyczajne, niż gdyby ziemia zachwiała mu się nagle pod nogami, nie naruszając jego równowagi. Lecz grunt pod stopami pani Travers nie drgnął wcale; przez sekundę oszołomiło ją tylko zdumienie — ale nie z powodu jej własnego opanowania, tylko wobec olbrzymiej władzy, jaką ten człowiek miał nad sobą. Gdyby Edyta nie czuła się tak dziwnie wyczerpaną duchowo, byłaby się może poddała tej sile. Ale zdawało jej się że niema w niej nic, coby warte było poddania — i głos jej brzmiał zupełnie spokojnie, gdy rzekła:

— Niech mi pan poda rękę, panie kapitanie. Nie możemy stać całą noc na tem miejscu.

Gdy ruszyli z miejsca, pomyślała: „Jest prawdziwa wielkość w tym człowieku“. Był wielki nawet w swem zachowaniu. Nie przeproszał, nie wyjaśniał, nie poniżał się, nie unosił; nawet dreszcz nie przebiegł po jego ciele, mieszczącem tę śmiałą, zmaconą duszę. Wiedziała o tem, gdyż palce jej spoczywały lekko na ramieniu Lingarda; szła zwolna u jego boku, jakby ją prowadził do obiadu. A jednak nie mogła przypuszczać

ani przez chwilę że i ten człowiek, jak ona, próżen jest wszelkiego wzruszenia. Nigdy jeszcze nie czuła tak wyraźnie, jaka w nim niebezpieczna tkwi siła. „On jest doprawdy bez litości“ — myślała. Wyszli właśnie z cienia wewnętrznych oszańcowań u wrót, gdy rozległ się za nimi nieco ochryply głos, powtarzający z naciskiem jakieś słowa w tonie przeprosin; nawet pani Travers zrozumiała, że to jest coś w rodzaju utartej formuły. Te słowa brzmiały: „Tu jest ta rzecz — tu jest ta rzecz — tu jest ta rzecz“. Oboje się odwrócili.

— Ach, to moja szarfa — rzekła pani Travers.

Niski, krępy wyrostek o szerokiej twarzy, mający za całe ubranie parę białych spodni, podawał szarfę przerzuconą przez obie ręce jak przez patyki, trzymając ją z szacunkiem możliwie najdalej od swojej osoby. Lingard wziął od niego szarfę, a pani Travers natychmiast jej załadła.

— Niech pan nie zapomina o przyzwoitości — rzekła. — To jest przecież moja zasłona na twarz.

Już ją zarzucała na głowę, gdy Lingard powiedział:

— To niepotrzebne. Idziemy do tych panów.

— A jednak włożę tę szarfę — rzekła pani Travers. Przysłuży mi się podwójnie: po pierwsze ze względu na przyzwoitość, po drugie jako środek ostrożności. Póki nie będę mogła spojrzeć w lustro, nic mnie nie przekona, że się coś nie zmieniło w mej twarzy. — Lingard zwrócił się ku niej i wpatrzył w nią usilnie. Mając już twarz zasłoniętą, wytrzymała śmiało jego wzrok. — Niech mi pan powie, panie kapitanie, ile oczu patrzyło na nas przed chwilą?

— Czy to panią obchodzi? — zapytał.

— Nic a nic — odrzekła. — Miljon gwiazd patrzyło na nas także — i cóż z tego? Nie należą do świata który znam. To samo odnosi się i do oczu. Nie należą do świata, w którym żyję.

Lingard pomyślał: „Nikt nie należy do jej świata“. Nigdy jeszcze nie wydała mu się bardziej niedostępna, bardziej od niego różną i bardziej odległą. Żar kilku niewielkich ognisk oświetlał tylko ziemię i pozwalał dojrzeć czarne zarysy ludzi leżących w smudze przejrzystego dymu. Tylko jedno z tych ognisk, palące się trochę dalej przed kwaterą więźniów, rzucało blask — ale niezbyt wielki. Nie oświetlał ciemnej przestrzeni między słupami ani głębokiej werandy na górze, gdzie wśród gry światła można było dojrzeć tylko parę głów i połysk włóczni. Lecz w dole czarny kształt człowieka siedzącego na ławce występował z wielką wyrazistością. Drugi bardzo czarny cień rzucił garść chróstu do ogniska i odszedł. Człowiek siedzący na ławce podniósł się. Był to d'Alcacer. Lingard i pani Travers podeszli do niego bardzo blisko. Zdawało się, że zaniemówił z niezmiernego zdumienia.

— Pan się nie spodziewał... — zaczęła pani Travers, nieco zmieszana jego milczeniem.

— Nie wierzyłem własnym oczom — wtrącił d'Alcacer, który wyglądał również na zakłopotanego. Lecz wrócił wnet do swego zwykłego tonu i wyznał z prostotą: — Nie myślałem w tej chwili o pani. — Przesunął ręką po czole. — Właściwie nie zdaję sobie sprawy, o czem przed chwilą myślałem.

W świetle strzelających w górę płomieni pani Travers dojrzała twarz d'Alcacera. Nie było na niej uśmiechu. Edyta nie pamiętała aby d'Alcacer był kiedy taki

poważny i jakby daleki. Puściła ramię Lingarda i poszła do ogniska.

— Wyobrażam sobie że pan przebywał bardzo daleko, panie d'Alcacer.

— To jest wolność, której nic nas nie może pozbawić — zauważył, obserwując bacznie w jaki sposób twarz pani Travers była zasłonięta szarfą. — Może i byłem bardzo daleko, lecz mogę panią zapewnić, że nie wiem gdzie się obracałem. Niecałą godzinę temu panowało tu wielkie podniecenie z powodu jakichś rakiet, ale nie brałem w niem udziału. Nie było nikogo, komubym mógł zadać jakieś pytanie. O ile zrozumiałem, pan kapitan był zajęty niesłychanie ważną rozmową z tutejszym królem czy też gubernatorem.

Zwrócił się wprost do Lingarda.

— Pozwolę sobie zapytać, do jakiej konkluzji panowie doszli? Ten Arab jest podobno bardzo opieszaly.

— Nie dopuściliby naturalnie do bezpośredniej napaści na panów — rzekł Lingard. — I od tego jesteście panowie zabezpieczeni. Ale muszę przyznać, że jest na mnie dość rozgniewany. Zmęczyła go ta cała historia. Kocha pokój nad wszystko w świecie. Ale jeszcze się z nim nie porozumiałem.

— O ile mogłem się zorientować z tego co mi pan przedtem powiedział — rzekł d'Alcacer, rzuciwszy bokiem szybkie spojrzenie na odsłonięte i baczne oczy pani Travers — i o ile rozumiem, ów człowiek mógłby osiągnąć natychmiast pokój, którego pragnie, wypędzając nas obu, pana Traversa i mnie, pod włócznie tamtych rozwścieczonych barbarzyńców. A niektórzy z jego doradców namawiają go, aby to zrobił nie później niż o świecie — tak to przynajmniej rozumiem.

Lingard stał przez chwilę zupełnie nieruchomo.

— Tak jest mniej więcej — rzekł obojętnie i odszedł ciężkim krokiem, nie spojrzawszy na d'Alcadera i panią Travers, którzy po chwili znaleźli się naprzeciw siebie.

— Słyszała pani? — rzekł d'Alcacer. — To oczywiście w żadnym razie pani nie dotyczy, a jeśli chodzi o niego, zanadto jest sławny, aby mogli go zgładzić tak lekkomyślnie. Gdy się to wszystko skończy, wyjdzie pani tryumfalnie z ostrokołu, wsparta na ramieniu Lingarda; gdyż niema w tem nic, coby mogło pomniejszyć jego wielkość, jego bezwzględną wartość w oczach tych ludzi — i zaiste we wszystkich innych oczach.

D'Alcacer mówił, nie patrząc na panią Travers; gdy umilkł, zajął się odsunięciem ławki od ognia. Usiedli na niej oboje. D'Alcacer trzymał się wciąż w pewnej odległości. Edyta nie podniosła zasłony, a oczy jej bez twarzy wydały się d'Alcacerowi dziwnie niezbrane i niepokojące.

— Utrafił pan w sedno — rzekła. — Wszystko to wspaniale pan ułożył — aż do mego tryumfального wyjścia. No a co potem? Nie, nie potrzebuje pan odpowiadać; to nie ma znaczenia. Zapewniam pana, że nie przyjechałam tutaj w przewidywaniu tryumfального wymarszu, jak to pan nazywa. Przyjechałam aby — określając to w najpospolitszy sposób — ocalić waszą skórę — i moją.

Głos jej dochodził stłumiony do uszu d'Alcadera, odmienny w charakterze, a nawet w intonacji. Z nad białej, haftowanej szarfy oczy jej przeszyły d'Alcadera w świetle ognia, czarne i tak spokojne, że nawet czerwone skry odbitego ogniska nie drgały w nich wcale,

D'Alcacer nie pokazał po sobie silnego wrażenia, jakie na nim wywarła. Pochylił nieco głowę.

— Sądzę że pani wie doskonale, co pani robi.

— Nie! nie wiem — powiedziała z taką żywością, jakiej nigdy jeszcze u niej nie widział. — Przedewszystkiem nie myślę wcale, aby Lingard był zupełnie bezpieczny, jak pan to sobie wyobraża. Sławnym jest rzeczywiście, temu nie przeczę. Ale pan rozdziela życie i śmierć ze zbyt wielką pewnością siebie...

— Wiem, co mi przypadnie — szepnął łagodnie d'Alcacer.

Zapadła chwila ciszy; d'Alcacer poczuł się w końcu zmieszany wzrokiem pani Travers i odwrócił oczy. Płomienie ogniska opadły. W ciemnym kompleksie budowli, który można było nazwać pałacem Belaraba, powstało pewne ożywienie; przesuwali się ludzie, słychać było wołania i odpowiedzi, włączyły się światła, wydobywając nagle z mroku jakiś przysadzisty słup, róg domu, okap niskiego dachu; jednocześnie zaś pod gołym niebem, w obrębie ostrokołu, zbrojni ludzie spali u gasnących ognisk. Pani Travers powiedziała nagle:

— Ten Jörgenson nie jest nam życzliwy.

— Możliwe.

D'Alcacer wypowiedział to bardzo cicho; siedział pochylony, trzymając splecione ręce między kolanami. Pani Travers przycisnęła nieznacznie ręce do piersi i wyczuła pierścień — gruby, ciężki, ozdobiony wielkim kamieniem. Wisiał na jej sercu, ukryty i zagadkowy. Co on znaczy? Co może oznaczać? Jakie mógłby wywołać uczucia, do jakiego pobudzić czynu? I myślała ze skruchą, że powinna była oddać go Lingardowi odrazu, bez namysłu, bez wahania. „Oto jest!

Po to przyjechałam. Aby panu to dać". Tak — ale przyszedł czas, kiedy wogóle nie była zdolna myśleć o niczem, a potem miała już — niestety — sposobność do namysłu. I przypomniała sobie wrogie, pogardliwe spojrzenie Jörgensona, którem ogarnął ją od stóp do głów wówczas o świcie, po nocy samotnej udręki. Teraz siedzi tu, zasłonięta przed przenikliwymi oczami, a ten drugi mężczyzna, d'Alcacer, bawi się w proroka. O tak — tryumfalnie! Wiedziała już teraz, co to jest tryumf. Poczuła lęk przed tym pierścieniem. Była gotowa zedrzeć go z szyi i odrzucić precz.

— Nie dowierzam mu — rzekła.

— Ach tak — wykrzyknął d'Alcacer stłumionym głosem.

— Myślę o tym Jörgensonie. Wydaje mi się takim bezlitosnym jakimś stworem.

— On jest obojętny na wszystko — rzekł d'Alcacer.

— Może to maska.

— Proszę pani, czy pani ma na to jakie dowody?

— Nie — odparła pani Travers bez wahania — mam swój instynkt.

D'Alcacer zamilkł na chwilę, jakby jego myśli pobiegły w zupełnie inną stronę, wreszcie rzekł łagodnym, prawie żartobliwym tonem, zwracając się do pani Travers:

— Gdybym był kobietą, ufałbym zawsze swej intuicji.

— Gdyby pan był kobietą, panie d'Alcacer, nie powinabym mówić do pana w ten sposób, gdyż toby wzbudziło pańskie podejrzenia.

D'Alcacerowi mignęło przez głowę, że może wkrótce nie będzie już ani mężczyzną ani kobietą, lecz bryłą



zimnej gliny. Myśli jego były żywe, czujne, i nie zahamowane przez niebezpieczeństwo. Ucieszył się z przybycia Edyty poprostu dlatego, że był bardzo w tym ostrokołe osamotniony; pan Travers przechodził fazę dąsania się, któremu towarzyszyły napady dreszczów, Lingarda zaś d'Alcacer prawie nie widział od chwili gdy wylądowali, ponieważ Człowiek Losu zupełnie był pochłonięty rokowaniami w głównej szopie Belaraba. D'Alcacerowi nie była przyjemną myśl, że jego życie jest przedmiotem uciążliwych targów. Adherenci wodza i zbrojni ludzie z załogi ostrokołu zwracali na niego napozór bardzo mało uwagi, a z tego wnioskował, że jego niewola jest zupełna i beznadziejna. Gdy chodził popołudniu tam i napowrót w cieniu szałasów podobnego do olbrzymiej szopy, gdzie pan Travers trzął się i oddawał dąsom oraz mizantropji, zauważył że na dalszych werandach ukazują się od czasu do czasu zakwefione postacie kobiet z otoczenia Belaraba, zerkających zdaleka ciekawie na białego. Wszystko to było przykre. Niezmiernie mu było trudno przebrnąć przez ten okres swego zagrożonego życia. Tak, ucieszył się z przybycia pani Travers, która wniosła nutę tragizmu w posępną próżnię.

— Mogę panią zapewnić, że podejrzliwość nie leży w mojej naturze, i mam nadzieję, że pani ze swej strony nie będzie mnie nigdy podejrzewała, bez względu na to czy moje postępowanie będzie powściągliwem czy otwartem. Szanuję tajemnicę pani przekonań, ale czy Jörgenson nie dał pani sposobności do...

— On mnie nienawidzi — rzekła pani Travers i ściągnęła brwi, widząc że uśmiech pojawia się na wargach d'Alcacera. — To nie jest z mojej strony złudzenie. Najgorsze jest to, że nie ja wywołuję jego

nienawiść. Sądzę że moja egzystencja jest mu najzupełniej obojętna. Jörgenson mnie nie cierpi, ponieważ widzi we mnie jakby was obu, którym grozi niebezpieczeństwo i którzy jesteście źródłem tych kłopotów, podczas gdy ja...

— Tak, tak, z pewnością — rzekł śpiesznie d'Alcacer. — Ale Jörgenson nie ma prawa robić z pani kozła ofiarnego. Bo gdyby tu pani nie było, zimny rozsądek wmięszalby się do tego i powstrzymałby Lingarda w jego namiętnej dążeniu do wprowadzenia na tron wygnańca. Gdybyśmy zostali zamordowani, narobiłoby to z pewnością w swoim czasie trochę hałasu, a na Lingarda padłoby podejrzenie, że był współnikiem tych dzikich i nieludzkich Arabów. Ktoby brał wówczas pod uwagę wielkość jego marzeń, zobowiązania jego honoru, rycerskie uczucia? Nicby go nie mogło obronić przed podejrzeniem. A takiego człowieka, jakim on jest, rozumie pani (ale przecież pani go zna daleko lepiej ode mnie), toby moralnie zabiło.

— O Boże! — szepnęła pani Travers. — Wcale mi to na myśl nie przyszło. — Zdawało się, że te słowa się zagubiły w fałdach szarfy, nie dosięgając d'Alcadera, który ciągnął dalej łagodnym swym głosem:

— Ale tak jak jest teraz, może się czuć w każdym razie bezpiecznym. Będzie miał w pani świadka, który go oczyści z zarzutów.

Pani Travers podniosła się nagle; starając się wciąż nie odkryć twarzy, zarzuciła koniec szarfy na ramię.

— Boję się tego Jörgensona — zawołała z tłumioną pasją. — Niepodobna zrozumieć co ten człowiek zamyśla. Uważam go za tak niebezpiecznego, że gdyby mi naprzykład powierzył jakieś zlecenie mogące wpłynąć na sytuację, tobym je... przemilczała.

D'Alcacer spojrział na nią zdumiony. Pani Travers rzekła spokojnie poprzez fałdy szarfy, odwołując się do jego sądu:

— Proszę pana, pan potrafi spojrzeć na to bezstronnie; czy nie miałabym do tego prawa?

— Jakże to, czy Jörgenson coś pani powiedział?

— Wyraźnie — nie, oprócz paru zdań, których właściwie nie mogłam zrozumieć. Zdawało mi się, że mają jakiś ukryty sens, że on przywiązuje do nich tajemnicze znaczenie, którego mi nie śmiał wyjawić.

— To było ryzyko z jego strony — wykrzyknął d'Alcacer. — I zaufał pani. Ciekawym dlaczego właśnie pani!

— Któżby odgadł co mu się roi po głowie? Proszę pana, jedyny jego cel — to odciągnąć od nas kapitana Lingarda. Zrozumiałam to dopiero przed kilku minutami. Błysnęło mi to nagle. Pragnie tylko odsunąć go od nas.

— Odsunąć go — powtórzył d'Alcacer, nieco oszłomiony zapalem, z którym wygłosiła to przekonanie. — Z pewnością nie chcę bynajmniej — tak jak i pani — aby się kapitan Lingard od nas odsunął. I mówiąc otwarcie, nie wierzę aby Jörgenson mógł na to wpłynąć. Ale w zasadzie — jeśli pani czuje, że Jörgenson może to zrobić, to niech pani... tak, gdybym był na pani miejscu, zdaje mi się, że ukryłbym coś, czego bym nie mógł zrozumieć!

Pani Travers wysłuchiwała go aż do końca. Jej oczy — wydały się d'Alcacerowi niewiarogodnie ciemnymi — śledziły niejako każde ze słów, które wypowiadał powoli; gdy skończył, milczeli oboje przez dłuższą chwilę. Wreszcie odwróciła się i odeszła z gestem, który zdawał się mówić: „Niechaj tak będzie“.

D'Alcacer krzyknął w ślad za nią:

— Niech się pani zatrzyma! Proszę nie zapominać, że tu chodzi nie tylko o głowę pani męża, ale i o moją. Mój sąd nie jest...

Przystanąła na chwilę i odstoniła usta. Czysty jej głos rozległ się wśród głębokiej ciszy dziedzińca; postacie u najbliższych ognisk poruszyły się z cichymi okrzykami zdziwienia.

— O tak, pamiętam czyje głowy mam ocalić — zawołała. — Ale któż na świecie ocali tego człowieka przed nim samym?

## V

D'Alcacer siadł z powrotem na ławce: „Ciekawym co też ona wie“, myślał, „i do czego się przyczyniłem“. Zastanawiał się także nad swym zachowaniem: gdzie kończyła się jego szczerłość, a gdzie zaczynał bardzo naturalny wstręt, aby ci dzicy Arabowie nie zamordowali go skrycie z barbarzyńskim okrucieństwem. Taka nagła śmierć byłaby bardzo surową — odartą z wszelkich pomocnych złudzeń — jak poczucie wolnej woli u samobójcy, bohaterstwo żołnierza lub uniesienie męczennika. „Czy nie należałoby uciec się do czegoś w rodzaju walki?“ — rozmyślał. Wyobraził sobie, że się rzuca na nagie włócznie bez najmniejszego zapалу. A może byłoby lepiej wyjść na spotkanie losu (gdzieś poza obrębem ostrokołu na tem ohydnych wybrzeżu) z godnością i spokojem. „Brr! najprawdopodobniej dźgną mnie po bestjalsku włócznią w plecy“ — myślał z wewnętrznym dreszczem. Nie był to z pewnością dreszcz strachu; d'Alcacer nie przywiązywał wielkiej wagi do życia. Wywołała ten dreszcz

odraza, gdyż był człowiekiem kulturalnym i choć nie miał złudzeń w stosunku do cywilizacji, musiał przyznać wyższość jej metodom. Zapewniały pewien wykwint form, poprawność w postępowaniu i określoną opiekę przeciw groźnym niespodziankom. „Jakież to wszystko marne“ — pomyślał. Potem przyszło mu do głowy, że kobiety są bardzo przemyślne. „W gruncie rzeczy“ — medytował dalej z niezwykłym u siebie cynizmem — „mają tylko jeden środek ratunku, ale ten naogół popłaca — tak, popłaca“.

Zdziwiła go własna bezwstydną gorycz w tej właśnie chwili. To było bardzo nie na miejscu. Sytuacja zanadto się powikłała, aby ją uzależniać od cynicznej lub bezwstydnej nadziei. Niczemu nie można było zaufać. W chwili gdy nad tem rozmyślał, spostrzegł nagle, że Lingard się zbliża. Podniósł szybko głowę. D'Alcacer nie odnosił się obojętnie do swego losu, a nawet do losu Traversa. Byłby się chętnie dowiedział... Ale wystarczyło mu jedno spojrzenie na twarz Lingarda. „Nie warto go pytać“ — rzekł sobie — „bo go w tej chwili nic nie obchodzi“.

Lingard siadł ciężko na drugim końcu ławki, a d'Alcacer, patrząc na jego profil, przyznał w duchu, że nigdy jeszcze nie widział twarzy o tak wybitnie męskiej piękności. Była to twarz bardzo wyrazista, ale to, co wyrażała w owej chwili, sięgało poza granice dotychczasowych przeżyć d'Alcacera. A przytem jej spokój stanowił hamulec dla pospolitej ciekawości i nawet dla pospolitych obaw. Nie, nie warto było zadawać mu żadnego pytania. A jednak należało coś powiedzieć, aby rozproszyć czar, aby ściągnąć z powrotem na ziemię tego człowieka. Lecz Lingard odezwał się pierwszy.

— Dokąd poszła pani Travers?

— Poszła... tam, dokąd z natury rzeczy pragnęła pójść przede wszystkim, skoro zdołała do nas się dostać — odrzekł d'Alcacer, wyrażając się z najwyższą oględnością ze względu na drażliwą sytuację.

Milczenie Lingarda uczyniło się jakby jeszcze wyrazistszem. Odezwał się znowu:

— Ciekaw jestem, co też tych dwoje ma sobie do powiedzenia?

Pytanie jego mogło się zwracać do całego obszaru mrocznej ziemi, ale odpowiedział na nie d'Alcacer swym uprzejmym tonem:

— Czy to pana bardzo zadziwi, panie kapitanie, jeśli panu powiem, że tych dwoje ludzi doskonale się nawzajem rozumie? Tak? Nie spodziewałby się pan tego? No więc zapewniam pana, że o siedem tysięcy mil stąd nikogoby to nie zdziwiło.

— Zdaje mi się, że pana rozumiem — rzekł Lingard — ale czyż pan nie wie, że ten człowiek jest nieprzytomny? Przecież to prawie warjat.

— Tak, on majaczy potrochu już od siódmej — rzekł d'Alcacer. — Ale niech mi pan wierzy, panie kapitanie — ciągnął poważnie, ulegając najzupełniej bezinteresownemu popędowi — że nawet w swych majaczeniach ten człowiek jest dla niej o wiele zrozumialszy i o wiele bardziej zdolny ją zrozumieć, niż... ktokolwiek inny w promieniu stu mil wokoło.

— Ach! — rzekł Lingard bez żadnego wzruszenia — więc pan się temu nie dziwi. Więc dla pana to jest zrozumiałe.

— Tak, bo — widzi pan — ja wiem.

— Co pan wie?

— Znam mężczyzn i kobiety, panie kapitanie których pan...

— Nie znam ani jednej kobiety.

— Powiedział pan teraz najistotniejszą prawdę — rzekł d'Alcacer, a Lingard po raz pierwszy odwrócił powoli głowę i spojrzał na swego sąsiada, siedzącego na ławce.

— Czy pan przypuszcza, że ona jest też nieprzytomna? — spytał przestraszonym głosem.

D'Alcacerowi wyrwał się cichy okrzyk. Nie z pewnością tego nie myśli. Jest to zaiste oryginalny pogląd — że warjaci mają coś w rodzaju wspólnej logiki, która czyni ich dla siebie zrozumiałymi. D'Alcacer mówił dalej, usiłując jak najbardziej swój głos złagodzić.

— Nie, panie kapitanie; sądzę iż kobieta, o której mówimy, włada sobą w całej pełni i zawsze będzie sobą władała.

Lingard odchylił się wtył i objął rękami kolana; zdawało się, że przestał słuchać. D'Alcacer wyciągnął z kieszeni papierosnicę i patrzył długi czas na trzy tkwiące w niej papierosy. Była to reszta zapasu, który miał przy sobie w chwili gdy go pojmano. Wydzielał sobie racje z największą surowością. Wolno mu było zapalić papierosa tylko przy jakiejś szczególnej okazji; a teraz zostały tylko trzy, które muszą mu wystarczyć do końca życia. Papieros uspakaja, łagodzi, pomaga przybrać odpowiednią postawę. I tylko trzy pozostały! Jeden trzeba zachować na rano; d'Alcacer zapali go, nim przejdzie przez bramę przeznaczenia — bramę ostrokołu Belaraba. Papieros działa kojąco, pomaga odpowiednio się zachować. Czy to jest właściwa okazja do wypalenia jednego z dwóch ostatnich? D'Alcacer, prawdziwy Latyńczyk, nie bał się wnikać w siebie od

czasu do czasu. Zapucił się w najtajniejsze głębie swej istoty, a potem spojrzął na nocne niebo. Jako podróżnik i sportowiec, spoglądał dawniej często na gwiazdy, sprawdzając jak czas się posuwa. Posuwał się dziś bardzo powoli. D'Alcacer wyjął papierosa, zamknął z trzaskiem papierosnicę, pochylił się nad żarem ogniska. Potem wyprostował się i wypuścił przejrzystą chmurę dymu. Człowiek u jego boku, siedzący z pochyloną głową i rękoma obejmującymi kolana, wyglądał jak symbol posępnej medytacji. Takie pozy spotyka się czasem na rzeźbach starożytnych nagrobków. D'Alcacer zaczął znów mówić:

— Ona jest typową kobietą, a jednak należy do tych, których po wszystkie czasy bardzo jest mało na świecie. Nie dlatego aby były czemś bardzo rzadkiem, ale dlatego, że na szczytach mało jest miejsca. Takie kobiety są tęczowemi blaskami na twardej i ciemnej powierzchni ziemi. Albowiem świat jest twardy, panie kapitanie, zarówno w tem co pamięta, jak i w tem co zapomina. Dla takich kobiet właśnie ludzie się trudzą na ziemi i pod ziemią; dla nich artyści wszelkiego rodzaju przyzywają natchnienia.

Lingard zdawał się nie słyszeć ani słowa. Broda jego wspierała się o piersi. D'Alcacer ocenił długość swego papierosa i ciągnął równym głosem, z którego przebijał pewien smutek.

— Tak, jest ich niewiele. A jednak są wszystkim. Ozdabiają nasze życie. Są wdzięcznymi postaciami na tle szarej ściany, leżącej po tej stronie naszego wspólnego grobu. Wiodą coś nakształt obrzędowego tańca, który większość z nas postanowiła brać na serjo. Jest to postanowienie bardzo obowiązujące, a szczerłość i dobra wiara, i honor nie mają z niem



nic wspólnego. Naprawdę bardzo obowiązujące. Biada temu albo tej, która je zerwie. Natychmiast po opuszczeniu korowodu gubią się.

Lingard odwrócił bystro głowę i zobaczył, że d'Alcacer patrzy na niego z głęboką uwagą.

— Gubią się w labiryncie — ciągnął spokojnie d'Alcacer. — Wędrują po nim, rozpaczając nad sobą. Zadrżałbym, gdyby komuś z mych bliskich miał przypaść podobny los. Czy pan wie, panie kapitanie, jaki jest koniec ludzi zbłąkanych w labiryncie? — ciągnął, trzymając Lingarda pod swym spokojnym wzrokiem. — Nie?... Więc panu powiem. Kończą na tem, że nie-nawidzą samych siebie i umierają w rozczarowaniu i rozpaczy.

D'Alcacer położył lekko kojącą dłoń na ramieniu Lingarda, jakby lękając się siły tych słów. Lecz Lingard patrzył ciągle w węgle żarzące się u jego stóp i pozostał nieczułym na przyjazne dotknięcie. A jednak d'Alcacer nie mógł przypuszczać, że go Lingard nie słyszał. D'Alcacer skrzyżował ramiona na piersiach.

— Nie wiem doprawdy, dlaczego mówię panu to wszystko — rzekł jakby się usprawiedliwiając. — Mam nadzieję, że nie przeszkodziłem panu myśleć.

— Nie mogę myśleć o niczem — oświadczył niespodzianie Lingard. — Wiem tylko, że pański głos był przyjazny; a pozatem —

— Trzeba jakoś przepędzić taką noc jak dzisiaj — rzekł d'Alcacer. — Nawet gwiazdy jak gdyby się ociągały w swym biegu. Ludzie wierzą, iż tonący człowiek musi nieodparcie przejrzeć całe swe życie. Poczułem właśnie, że dno usunęło mi się z pod nóg, i to co mówiłem dotyczy moich własnych przeżyć. Jestem pewien, że pan mi wybaczy. Wszystko co po-

wiedziałem sprowadza się do tego: zupełnie jest naturalnem, że nam się zachciewa księżyc, ale byłoby to dla nas zgubne, gdyby nasze pragnienia zostały spełnione. Coby który z nas zrobił, gdyby подарowano mu księżyc? Mówię o nas wszystkich — przeciętnych śmiertelnikach.

Zapadło milczenie; po chwili Lingard rozplótł ręce obejmujące kolana, podniósł się i odszedł. D'Alcacer śledził ze spokojnem zaciekawieniem jego wielką, niewyraźną postać, póki nie znikła w kierunku olbrzymiego drzewa, które pozostało w środku ostrokołu po wyrąbanym lesie. Najgłębszy mrok nocy rozesał się po warownym dziedzińcu Belaraba. Nawet żar ognisk poczerniał, świecąc gdzieniegdzie iskrą; a kształty ludzi we śnie pogrążonych z trudnością można było odróżnić od twardego gruntu, gdzie spoczywali na matach z ramionami wyciągniętymi wzdłuż ciała. Pani Travers zjawiała się wkrótce tuż obok d'Alcacera; powstał natychmiast.

— Marcin śpi — rzekła głosem, któremu noc zdawała się używać tajemniczości i spokoju.

— Cały świat śpi — zauważył d'Alcacer tak cicho, że pani Travers ledwie go dosłyszała. — Oprócz pani, i mnie, i jeszcze jednego człowieka, który mnie opuścił aby błądzić po nocy.

— Był z panem? Dokąd poszedł?

— Zdaje mi się, że poszedł tam gdzie jest najciemniej — odrzekł tajemniczo d'Alcacer. — Nie warto go szukać; ale jeśli pani postoi nieruchomo i zatrzyma oddech, usłyszysz pani zaraz jego kroki.

— Co on panu powiedział? — szepnęła pani Travers.

— Nie pytałem go o nic. Wiem tylko, że stało się coś, co pozbawiło go władzy myślenia... Czy nie

lepiej abym wrócił do chaty? Trzeba żeby don Martin miał kogoś przy sobie, gdy się obudzi.

Pani Travers siedziała bez ruchu i wstrzymywała niekiedy oddech, w niejasnej obawie, że usłyszy te kroki wędrujące w ciemności. D'Alcacer znikł. Pani Travers znów przestała oddychać. Nie było słyhać nic. Żadnego dźwięku. Tylko noc wydała się jej oczom jeszcze ciemniejszą. Czy to jego kroki?.. „Gdzie mogłabym się ukryć?“ mignęło jej przez myśl. Ale nie poruszyła się wcale.

Opuściwszy d'Alcacera, Lingard snuł się wśród ognisk, aż znalazł się pod wielkim drzewem, tem samem o które opierał się Daman w dzień wielkiej rozprawy, gdy biali więźniowie zostali oddani pod opiekę Lingarda na określonych warunkach. Lingard szedł w głuchym mroku, jeszcze czarniejszym pod rozpostartymi konarami jedyne go świadka przeszłości, który przez niezliczone pokolenia nie oglądał ludzi na tem wybrzeżu strzeżonem przez płytkie morze, wkoło tej laguny osłoniętej przez dżunglę. Stary olbrzym, stojący pod spokojnem nocnem niebem bez wstrząśnień i szmerów wśród swych olbrzymich członków, przyglądał się jak niespokojny człowiek wędruje przez głuche ciemności w światło gwiazd.

W tej odległej części dziedzińca było tylko kilku wartowników, którzy — sami niewidzialni — patrzyli na białą postać Lingarda, chodzącego bezustanku tam i napowrót. Wiedzieli dobrze kto to jest. To ten wielki biały człowiek. Bardzo wielki człowiek. Bardzo bogaty. Posiadacz ognistej broni, mocen rozdzielać cenne dary i śmiertelne ciosy — przyjaciel ich władcy, wróg ich

wrogów, znany im od lat i zawsze tajemniczy. Stali na swych stanowiskach, przyciśnięci do ostrokołu obok wygodnych strzelnic, rzucając wtył spojrzenia i zamieniając nikłe szeptu od czasu do czasu.

Lingardowi mogło się zdawać że jest sam. Zatracił kontakt ze światem. To, co powiedział d'Alcacerowi, było najzupełniej prawdziwe. Nie myślał o niczem. Był w położeniu człowieka, który, rzuciwszy wzrokiem przez otwarte drzwi raju, stał się nieczułym na wszystkie ziemskie kształty i sprawy pod wpływem tej przelotnej wizji; i — porwany najwyższem uniesieniem — patrzy nawet na siebie tylko jako na podmiot wzniesłego przeżycia, które człowieka wywyższa lub uniestwia, uświęca lub skazuje na piekło — tego rozstrzygnąć nie umiał. Każda niejasna myśl, każde przelotne uczucie były jakby marnem natręctwem w obliczu najpotężniejszego wspomnienia. Nie mógł znieść nic poza tem.

Gdy usiłował nawiązać rokowania z Belarabem po przybyciu pani Travers, przekonał się iż nie jest w stanie ich dalej prowadzić. Tylko tyle miał władzy nad sobą, że zdołał spokojnie przerwać konferencję. Wskazał na spóźnioną godzinę, co było wymówką zupełnie nieodpowiednią w stosunku do ludzi dla których czas jest niczem, i których życie i czynności nie stosują się do zegara. W gruncie rzeczy Lingard nie zdawał sobie dokładnie sprawy ze swoich słów i postępów, gdy wychodził od Belaraba, zostawiając wszystkich oniemiałych ze zdumienia wobec zmiany w jego obejściu i wyglądzie. Podejrzliwe milczenie zapadło na długi czas w wielkiej izbie posłuchań — aż wreszcie naczelnik dał hasło do rozejścia się lekkim poruszeniem ręki i paru spokojnemi słowami.

\* \* \*

Z brodą opartą na dłoni, w pozie sybilli usiłującej wyczytać przyszłość z żaru gasnących węgli, pani Travers — nie powstrzymując już oddechu — czuła obok siebie kroki, których oczekiwała z niepokojem, wyrzutami sumienia i nadzieją.

Nie zmieniła pozy. Ciemno-czerwony żar oświetlał ją mętnie — jej twarz, białą rękę zwisającą z boku, nogi w sandałach. Niepokojące kroki zatrzymały się tuż koło niej.

— Gdzie pan był przez cały ten czas? — rzekła, nie patrząc na niego.

— Nie wiem — odrzekł Lingard. Mówił szczerą prawdę. Nie wiedział. Od chwili gdy wypuścił z ramion tę kobietę, zanikło w nim wszystko prócz mglistych jakichś pojęć. Wypadki, rzeczy, konieczności życia nie istniały — stracił z nimi kontakt. I wcale go to nie obeszło. Wszystko było błahe i jałowe; nie starczyło mu cierpliwości na te sprawy. Obrażony i zadziwiony Belarab, d'Alcacer o przyjaznem dotknięciu i życzliwym głosie, śpiący i czuwający ludzie, osada pełna niespokojnego życia i niespokojne, płytkie morze — wszystko odsunęło się od niego w nieskończoność liściowej pogardy. Może to rzeczywiście istnieje. Może to czeka na niego. Więc niechaj czeka; niech wszystko czeka, do jutra lub do kresu dni — kresu który może każdej chwili nastąpić, nic go to nie obchodzi — w każdym razie niech wszystko czeka do jutra.

— Wiem tylko — mówił dalej Lingard z takim naciskiem, iż pani Travers podniosła głowę — że gdziekolwiek pójdę, poniosę z sobą panią przytuloną do mojej piersi.

Wrażliwe ucho pani Travers pochwyciło w jego głosie ton tłumionego uniesienia i świtającej trwogi —

żar i niepewność tych słów. Na ich dnie czuła wciąż tak silnie fizyczną rzeczywistość, że nie mogła się powstrzymać i rzekła szeptem:

— Czy pan chciał na śmierć mnie zmiażdżyć?

Odpowiedział tym samym tonem:

— Nie mógłbym. Pani jest za silna. Czy byłem brutalny? To niechący. Mówiono mi często, że nie znam własnej siły. Zdawało mi się, że pani nie może przejść przez ten otwór i dlatego panią chwyciłem. W moich rękach przedostała się pani zupełnie łatwo. I nagle przyszło mi na myśl: — Teraz się muszę upewnić.

Zatrzymał się, jakby mu zbrakło tchu. Zachowując wciąż tę samą pozę, szepnęła, niby szukając ukrytej prawdy:

— Upewnić się?

— Tak. A teraz jestem już pewien. Pani tu jest — tutaj! Przedtem nie mogłem wiedzieć.

— Ach tak, przedtem nie mógł pan wiedzieć — rzekła.

— Nie mogłem.

— Więc pan szukał rzeczywistości.

Powtórzył, jakby mówiąc do siebie samego:

— A teraz jestem już pewien.

Jej stopa w sandale, cała różowa od tlejących resztek ogniska, czuła żar bijący od węgla. Ciepła noc otuliła ciało Edyty. Będąc wciąż jeszcze pod wrażeniem siły Lingarda, poddała się na chwilę spokojowi, który ogarnął łagodnie jej serce, jak powietrze nocy przeniknięte słabą jasnością gwiazd.

— Cóż to za przejrzysta dusza — pomyślała.

— Pani wie, że ja zawsze w panią wierzyłem — zaczął znów Lingard. — Pani wie o tem. Otóż — nigdy

nie wierzyłem w panią równie silnie jak teraz, gdy pani tak siedzi — właśnie tak — w tem słabem świetle, przy którym ledwie panią mogę dojrzeć.

Przyszło jej na myśl, że nie słyszała nigdy głosu, któryby jej tak się podobał — oprócz jednego. Ale tamten należał do wielkiego aktora; ten człowiek zaś był tylko sobą na świecie — i niczem więcej. Przekonywał, wzruszał, niepokoił, łagodził przez wrodzoną sobie szczerłość. Zapragnął się upewnić — i upewnił się prawdopodobnie; tu pani Travers — zbyt zmęczona by opanować swe rozstrzelone myśli — rzekła sobie z pewnym humorem, że najwidoczniej rozczarowania nie doznał. Pomyślała: „On we mnie wierzy. Jakie to zdumiewające. Ze wszystkich ludzi, którzy mogli we mnie uwierzyć, musiałam znaleźć właśnie tutaj tego człowieka. Wierzy we mnie bardziej niż w siebie samego“. Nagły poryw wyrzutów sumienia zakłócił spokój Edyty i wyrwał jej okrzyk.

— Panie kapitanie, zapominamy w jakich warunkach się spotkaliśmy, zapominamy o tem co się dzieje. Nie wolno nam zapominać. Nie chcę powiedzieć, że pan źle umieścił swoje zaufanie, ale muszę coś panu wyznać. Muszę panu wyznać, jak to się stało, że się tu znalazłam dziś w nocy. Jörgenson...

Przerwał jej gwałtownie, nie podnosząc jednak głosu.

— Jörgenson? Kto jest Jörgenson? Pani przyjechała do mnie, bo inaczej pani zrobić nie mogła.

Te słowa zaparły jej oddech.

— Ale ja muszę panu powiedzieć. W moim przyjeździe jest coś, czego nie mogę zrozumieć.

— Nie może mi pani powiedzieć nic, czegobym już nie wiedział — rzekł błagalnie. — Niech pani nic

nie mówi. Niech pani siedzi spokojnie. Jutro będzie na to dość czasu. Jutro! Noc dobiega końca i nie obchodzi mnie nic na świecie prócz pani. Niech to pani zostawi. Niech mi pani udzieli swego spokoju.

Nigdy jeszcze nie słyszała w jego słowach takiego akcentu; poczuła dla niego wielką, tkliwą litość. Dlaczego mącić te chwile, które pragnął przedłużyć — których nigdy już nie zazna na ziemi? Zamilkła niezdecydowana. Dostrzegła, że się poruszył w ciemności, jakby się nie mógł zdobyć na to by sięść na ławce. Lecz nagle rozproszył uderzeniem nogi żarzące się węgle, opuścił się na ziemię u jej nóg, i nie zdziwiła się wcale, poczuwszy ciężar jego głowy na kolanach. Nie zdziwiła się wcale — lecz wzruszyło ją to głęboko. Po co ma go dręczyć wszystkimi temi sprawami wolności i niewoli, gwałtów i intryg, życia i śmierci. Był w takim usposobieniu, iż nie można mu było nic mówić; i wydało jej się, że i ona mówić nie ma ochoty, że w swem wielkiem współczuciu poprostu mówić nie może. Wszystko co mogła dla niego uczynić, to położyć lekko rękę na jego głowie i odpowiedzieć bez słowa na lekkie drgnięcie jego ciała — westchnienie czy szloch — które ją unieruchomiło w niespokojnem wzruszeniu.

W tym samym czasie mniej więcej, po drugiej stronie laguny, Jørgenson, podniósłszy oczy, sprawdził położenie gwiazd i powiedział sobie, że noc trwać już długo nie będzie. Pragnął aby uczyniło się jasno. Miał nadzieję, że Lingard już coś zdziałał. Ognisko przed ogrodzeniem Tenggi zostało znów zapalone. Siła Toma była bez granic — w zasadzie bez granic. I nic mu się stać nie mogło.



Stare oczy Jörgensona błędziły wśród połysków i mroków wielkiej tafli wody między „Emmą“ a tym wrogim brzegiem; nagle wydało mu się, że rozróżnia płynący cień, charakterystyczny kształt człowieka siedzącego w drobnem czółenku.

— O! Ya! Człowieku! — zawołał. — Czego chcesz? — Inne oczy odkryły również ów cień. Ciche szepty podniosły się na pokładzie *Emmy*. — Jeśli nie odezwiesz się natychmiast, strzele! — krzyknął dziko Jörgenson.

— Nie strzelaj, biały mężu — odparł płynący cień, cedząc uroczyście wyrazy. — Jestem posłańcem niosącym przyjazne słowa. Słowa wodza. Przybywam od Tenggi.

— Nie tak dawno trafiła w nasz statek kula — także od Tenggi — rzekł Jörgenson.

— To był przypadek — protestował głos z laguny. — Cóżby to mogło być innego? Czy jest wojna między tobą a Tenggą? Przecież jej niema. O biały mężu! Tengga pragnie tylko długiej z tobą rozmowy. Wysłał mnie, prosząc abys przybył na brzeg.

Na te słowa lęk pewien przejął serce Jörgensona. To zaproszenie znaczyło, że Lingard nic nie przedsięwziął. Czy Tom śpi, czy zwarjował?

— Przedmiotem rozmowy ma być pokój — oświadczył z naciskiem cień, który podpłynął już znacznie bliżej do kadłuba.

— Nie do mnie należy rozmawiać z wielkimi wodzami — odparł ostrożnie Jörgenson.

— Lecz Tengga jest twoim przyjacielem — dowodził nocny goniec. — A przy jego ognisku zasiadają także i inni przyjaciele — twoi przyjaciele, radza Has-sim i księżniczka Immada, którzy zasyłają ci pozdro-

wienia i którzy oczekują, że oczy ich spoczną na tobie przed wschodem słońca.

— To kłamstwo — rzekł machinalnie Jörgenson i pogrzyżył się w myślach, zaś cień posłańca, wypowiadającego te słowa, zamilkł zgorszony, choć oczywiście nie spodziewał się ani na chwilę, aby mu uwierzono. Ale nigdy nie można przewidzieć, w co biały człowiek uwierzy. Goniec chciał wywołać wrażenie, że Hassim i Immada są otoczeni wielkimi honorami, jako goście Tenggi. Przyszło mu nagle na myśl, iż Jörgenson może nie wiedzieć o wzięciu ich do niewoli. I mówił dalej w tym samym sensie.

— Wszystkie moje słowa są prawdziwe, o tuanie. Radza z Wajo i jego siostra przebywają z moim panem. Zostawiłem ich siedzących u ognia po prawej ręce Tenggi. Czy udasz się na wybrzeże aby być powitany przez przyjaciół?

Jörgenson zastanawiał się głęboko. Pragnął teraz zyskać jaknajwięcej na czasie, aby Lingard mógł doprowadzić do skutku pośrednictwo, które nie mogło zawieść. Ale nie miał bynajmniej zamiaru zaufać przyjaznym uczuciom Tenggi. Nie dlatego, aby się nie chciał narażać; wydawało mu się to poprostu zupełnie bezcelowem.

— Nie! — odrzekł — nie mogę się udać na brzeg. My biali mamy swoje zwyczaje. Jestem dowódcą tego statku, a moim wodzem jest Radza Laut, biały człowiek jak i ja. Wszystkie ważne słowa on wypowiada i jeśli Tengga jest takim wielkim wodzem, niech zaprosi na rozmowę Radzę Laut. Zaiste, to jedyny właściwy sposób postępowania dla Tenggi, jeśli jest takim wielkim wodzem jak twierdzi.

— Radza Laut uczynił już wybór. Przebywa z Be-

larabem i z białymi, których wtłoczono do ostrokołu Belaraba jak schwytaną w sidła zwierzynę. Dlaczegoobyś nie miał tymczasem przepawić się na wybrzeże — jest przecież oświetlone i otwarte — i porozmawiać przyjaźnie z przyjaciółmi Tenggi, których serca osłabły od wielu wątpliwości: z radzą Hassimem, i księżniczką Immada, i Damanem — wodzem mężów z morza? Oni nie wiedzą już teraz komu zaufać, jeśli nie tobie, tuanie, strażnikowi wielkich bogactw —

Dyplomata w czółenku zamilkł na chwilę, aby nadać szczególną wagę końcowemu argumentowi:

— Bogactw, których obronić nie możesz. Wiemy ilu zbrojnych ludzi jest z tobą.

— To wielcy wojownicy — zauważył obojętnie Jörgenson i rozparł się łokciami na poręczy, patrząc w unoszącą się na wodzie czarną plamę o charakterystycznym kształcie, od której płynęły słowa chytrego wysłańca Tenggi. — Każdy z nich wart jest dziesięciu takich ludzi, jakich możecie znaleźć w osadzie.

— Tak, na Allaha. Nawet dwudziestu zwykłych ludzi. Zaiste, masz ich dość aby prowadzić wielki bój, ale zamało by zwyciężyć.

— Bóg jeden daje zwycięstwo — rzekł nagle głos Dżaffira, który stał bez ruchu u boku Tenggi, przysłuchując się rozmowie.

— Wielka prawda — brzmiała odpowiedź, wypowiedziana bardzo konwencjonalnym tonem. — Czy przybędziesz na wybrzeże, o wielki mężu, aby zostać przywódcą wodzów?

— Już byłem nim dawniej — rzekł Jörgenson z wielką godnością — a teraz pragnę tylko spokoju. Ale nie udam się na wybrzeże między ludzi, których dusze są tak bardzo stroskane, póki radza Hassim i jego

siostra nie wróca na pokład tego statku i nie opowiedzą mi o swej nowej przyjaźni z Tengga.

Lęk Jörgensona zwiększał się z każdą chwilą; zdawało mu się, że nawet powietrze staje się cięższem wobec zbliżającej się klęski — wśród tej nocy, która nie była ani wojną ani pokojem — i przemawiała tylko głosem wysłańca Tenggi, słodkim w tonie choć groźnym w treści.

— Nie, to się stać nie może — rzekł ów głos. — Ale, tuanie, Tengga naprawdę jest gotów przybyć na pokład tego statku, aby się z tobą rozmówić. Gotów jest przybyć każdej chwili i nawet, tuanie, zamierza wybrać się tu już niezadługo.

— Tak, z pięćdziesięciu wojennemi łodziami, pełnemi dzikiej hałastry z Wybrzeża Zbiegów — rozległ się z nad poręczy głos Dżaffira jako sarkastyczny komentarz do tych słów. Złowrogi pomruk: „Być może“ — podniósł się z czarnej wody.

Jörgenson milczał; zdawało się, że oczekuje jakiegoś natchnienia z góry. Nagle przemówił głosem jakby nie z tego świata:

— Powiedz ode mnie Tendze, że jeśli przywiezie z sobą radzę Hassima i siostrę radży, to i on i jego główni wojownicy zostaną dobrze przyjęci na tym statku, bez względu na to ile łodzi towarzyszyć im będzie. To mi jest obojętne. A teraz możesz odплыć.

Nastało głębokie milczenie. Goniec widocznie odjechał, trzymając się cienia przy brzegu. Jörgenson zwrócił się do Dżaffira.

— Śmierć wśród przyjaciół jest świętem — zacytował mrukliwie pod wąsem.

— Na Allaha, tak jest zaiste — potwierdził Dżaffir z ponurym ogniem.

## VI

W trzydzieści sześć godzin później Carter, znalazłszy się w kajucie brygu sam na sam z Lingardem, podczas przerwy w rozmowie czuł nieledwie gnębiący, głuchy spokój płytkich wód, czekających na nowy zachód słońca.

— Nie spodziewałem się nigdy, że zastanę kogośkolwiek z was przy życiu — zaczął znów Carter swym zwykłym, swobodnym tonem, lecz jego obejście było teraz znacznie mniej niedbałe, jakby w ciągu tych dni odpowiedzialności — przeżytych wśród mielizn na Wybrzeżu Zbiegów — dojrzały jego zapatrywania na świat, i na miejsce które w nim zajmował.

— Naturalnie — mruknął Lingard.

Obojętność tego człowieka, którego widywał zawsze działającego pod wpływem tajnej namiętności, wydała się przerażającą Carterowi, pełnemu młodzieńczej a poważnej energii. Od chwili gdy znalazł się znów twarzą w twarz z Lingardem, usiłował skryć wstrząsające wrażenie jakiego doznał — z delikatnością, której nie zawdzięczał wychowaniu, lecz wrodzonej, dziecięcej wprost intuicji.

Wyjaśniając Lingardowi, w jaki sposób radził sobie na Wybrzeżu Zbiegów, usiłował jednocześnie zgłębić tę nową tajemnicę, i żadna siła nie powstrzymałaby go od tego. A przytem był dość młody aby pragnąć choć słowa pochwały.

— No, panie kapitanie — dowodził — jakby to się panu spodobało, gdyby pan zastał po powrocie na piaskach tylko nawpół spalone szczątki okrętów?

Czekał przez chwilę, i przejęty szczerem współ-

czuciem odwrócił oczy od tego nieruchomego wzroku, od tej zgnębionej twarzy i zapadłych policzków, od tej postaci o niepokromionej sile, pozbawionej ożywiającego ją ognia. Powiedział sobie: „On mnie wcale nie słyszy“ — i podniósł głos, nie zmieniając swego opanowanego tonu:

— Wczoraj rano byłem w kajucie, gdyśmy poczuli ten wstrząs, lecz huk dotarł do nas tylko jako głębokie dudnienie. Jednym skokiem znalazłem się u schodów, ale ten szacowny Shaw stał tam przedemną i wrzeszczał: „Trzęsienie ziemi“! Potem — bodajem zdechł, jeśli kłamię — noga mu się obsunęła i poleciał głową w dół aż na dno schodni. Musiałem się zatrzymać i podnieść go, zdążyłem jednak w czas na pokład i widziałem potężną, czarną chmurę, prawie że masywną, która wysunęła się z za lasu jak balon. Stała tam dość długo. Niektórzy z naszych *kalaszów* na pokładzie przysięgali, że widzieli czerwony błysk nad wierzchołkami lasu. Ale trudno mi w to uwierzyć. Domyśliłem się odrazu, iż coś wyleciało w powietrze tam na wybrzeżu. Mignęło mi najpierw przez głowę, że nigdy już pana nie zobaczę i postanowiłem natychmiast się przekonać, co pan taił przedemną. Nie, panie kapitanie! Niech pan się co do tego nie myli! Nie miałem zamiaru was opuścić — żywych czy umarłych.

Patrzył bacznie na Lingarda, mówiąc te słowa, i ujrzał pierwszy dreszcz ożywienia na tej zniszczonej twarzy. Zobaczył nawet, że wargi kapitana drgnęły; nie wydały jednak żadnego dźwięku i Carter odwrócił znów oczy.

— Może byłby pan lepiej zrobił, gdyby mi pan był wszystko powiedział; ale pan zostawił mnie tutaj samiuteńkiego, jako swojego zastępcę. Wziąłem się więc

do roboty — takiej jaką przed sobą widziałem. Jestem marynarzem. Powierzono mi dwa okręty. I oto ma je pan oba, może pan odjechać na nich czy zostać, bić się czy uciekać — jak pan woli.

Śledził z zapartym oddechem wysiłek, na jaki Lingard musiał się zdobyć, aby wyrzec słowa upragnionej pochwały:

— Zuch z pana!

— I jestem w dalszym ciągu na pańskie rozkazy — dodał Carter porywczo, poczem odwrócił śpiesznie wzrok od Lingarda, widząc że ten usiłuje się uśmiechnąć ale bez skutku. Carter nie wiedział co teraz zrobić: pozostać w kabinie, czy też zostawić samemu sobie, zostawić bez oparcia tego silnego człowieka. Z nieśmiałością najzupełniej obcą swemu charakterowi, której sam nie mógł zrozumieć, mruknął zachęcająco, wchodząc z zakłopotaniem w swoją rolę:

— Możeby pan się trochę położył, panie kapitanie? Przez ten czas mogę zająć się wszystkim w razie potrzeby. Zdaje mi się, że pan jest strasznie zmęczony.

Lingard stał pochylony nad stołem naprzeciw Cartera, wspierając się sztywno na obu rękach, i patrzył osłupiałym wzrokiem — może na niego? Carter był bliski rozpacz. Tak dalej być nie mogło. Zobaczył z ulgą, że Lingard potrząsa zlekka głową.

— Nie, panie Carter. Pójdę chyba na pokład — rzekł kapitan słynnego brygu *Błyskawica*, błędząc wzrokiem po kabinie. Carter usunął się zaraz na bok, ale Lingard poruszył się dopiero po chwili.

Słońce już było zaszło, nie zostawiając tego wieczoru żadnego śladu swej wspaniałości na niebie czystym jak kryształ, na wodach bez jednej zmarszczki. Zdawało się, że wszelkie barwy zniknęły ze świata.

Nadchodzący cień, subtelny jak aromat, wznosił się z czarnego brzegu który leżał wpoprzek wschodniego półkola; a cisza wewnątrz horyzontu była tak doskonałą, iż można było pomyśleć, że się jest poza czasem. Bryg i szkuner, zwrócone dziobem w tę samą stronę, tkwiły na kotwicy w środku głównej cieśninki, czarne i podobne do zabawek na przejrzystych głębiach, wśród głuchoj ciszy wieczoru. Lingard błędził zwolna tu i tam po tylnym pomoście, skrzyżowawszy ramiona i spuściwszy głowę na piersi. U jego boku Carter, bliski i niemy jak cień, chodził za nim, przejęty troskliwością i niepokojem...

Doznawał pierwszy raz w życiu podobnego uczucia. Nigdy jeszcze tak się nie troszczył ani o siebie, ani o żadnego innego człowieka. Indywidualność jego wzbogacała się o nowe przeżycia, a że był bardzo prosty, przyjmował to wtajemniczenie lęklawie, nie dowierzając sobie samemu. Zauważył z naiwnym niepokojem, iż Lingard nie spojrzał ani na niebo, ani na morze, ani na swój statek, ani na szkuner za rufą; ani na pokład, ani w górę, ani gdziekolwiek. Nie spojrzał na nic! I Carter poczuł, że jest jakoś bardziej samotny i pozbawiony oparcia niż wówczas, gdy ten człowiek zostawił go samego, powierzając mu dwa statki, tkwiące na płytce morzu jak w matni i otoczone ponurą jakąś tajemnicą. Odkąd Lingard powrócił, Carter zamiast pożądanej ulgi czuł iż dziesięćkroć większa odpowiedzialność ciąży na jego młodych barkach. Był głęboko przeświadczony, że trzeba coś zrobić aby się Lingard ocknął.

— Panie kapitanie — wybuchnął z desperacją, — pan nie może powiedzieć abym paua zanudzał od chwili, kiedy powitałem pana dziś rano na pokładzie,



ale ja przecież muszę dostać jakieś instrukcje. Co z nami będzie? Czy mamy się bić, czy uciekać?

Lingard zatrzymał się nagle i teraz już Carter nie wątpił, że kapitan na niego patrzy. Świadczył o tem wyraźnie poważny i badawczy jego wzrok. „Aha!“ pomyślał Carter. „To nim wstrząsnęło“ — i czując, że nieśmiałość go opuszcza, skorzystał z okazji.

— Bo nie ulega kwestji, panie kapitanie, że bez względu na to co będzie, jeśli pan mnie nie weźmie na statek, zostanie pan bez oficera. Lepiej powiem panu odrazu, że wylałem stąd tego szacownego, bzikowatego, tłustego Shawa. Demoralizował całą załogę. Powiedziałem mu wczoraj, żeby poszedł i zabrał swoje manatki, bo go posyłam na jacht. Nie byłby mógł narobić większego harmidru, gdybym mu zaproponował, że go wyrzucę za burtę. Ostrzegłem go, że jeśli się nie wyniesie spokojnie, każę go związać jak barana wiezionego na rzeź. Zeszedł jednak z trapu na własnych nogach, pokazując mi pięść i obiecując, że się postara aby mię powiesili jako korsarza. Na jachcie nie może być szkodliwym. A teraz, panie kapitanie, na pana kolej rozkazywać a nie na mnie — Bogu dzięki!

Lingard odwrócił się nagle. Carter pozostał na miejscu. Po chwili usłyszał, że go kapitan woła z drugiej strony pokładu i poszedł tam z pośpiechem.

— Co to było z tym człowiekiem, którego pan znalazł wczoraj wieczorem na wybrzeżu? — spytał Lingard najłagodniejszym swym głosem. — Zdaje się, że mi pan o tem coś mówił, kiedy wróciłem na statek?

— Usiłowałem panu opowiedzieć — rzekł szczerze Carter, — Ale wkrótce dałem pokój. Pan zdawał się

nie zwracać najmniejszej uwagi na to co mówię. Miałem wrażenie, że pan chce aby pana zostawić w spokoju. I co ja mogę wiedzieć o pańskich zwyczajach, panie kapitanie? Czy pan zdaje sobie sprawę, że od dzisiejszego ranka byłem pięć razy na dole i zaglądałem do pana? Siedział pan tam...

Zatrzymał się, a Lingard rzekł:

— Był pan pięć razy w kajucie?

— Tak. A za szóstym razem postanowiłem ściągnąć na siebie pańską uwagę. Nie mogę zostać bez rozkazów. Trzeba pilnować dwóch okrętów, tyle rzeczy jest do zrobienia...

— Niema już nic do zrobienia — przerwał Lingard pocichu lecz takim tonem, że Carter zamilkł na chwilę.

— Nawet i to byłoby dla mnie pewnego rodzaju wskazówką — ośmielił się wreszcie powiedzieć. — Nie mogłem pana zostawić tam w spokoju; słońce było już bliskie zachodu a przed nami długa noc.

— Czuję się jeszcze ogłuszonym — rzekł Lingard, patrząc prosto w twarz Carterowi, jakby śledził skutek tego wyznania.

— Czy pan był bardzo blisko tego wybuchu? — spytał młody człowiek ze współczuciem i ciekawością, szukając śladów katastrofy w powierzchowności Lingarda. Ale nic nie dostrzegł. Zdawało się, że ani jeden włos kapitana nie został osmalony.

— Blisko — mruknął Lingard. — Tak jakby to było w mojej głowie. — Ścisnął skronie rękami, które wkrótce opadły. — A co się dzieje z tym człowiekiem? — spytał nagle. — Skąd on się tu wziął?... Pewnie już teraz nie żyje — dodał z zazdrością.

— Owszem, panie kapitanie. Ma widać twardą

skórę — odrzekł Carter. — Opowiem panu wszystko. Jak już panu mówiłem, zdecydowałem się was nie opuścić, żywych czy umarłych, i wczoraj, kiedy słońce popołudniu stoczyło się już trochę niżej, obsadziłem ludźmi dwie łodzie i podjechałem do brzegu, mierząc głębokość, aby znaleźć przejazd. Chciałem wrócić na statek i zacząć was szukać — z brygiem — albo i bez brygu — ale to nie należy do rzeczy. Spostrześliśmy trzy czy cztery płynące kłody. Jeden z *kalaszów* w mojej łódce dojrzał na jednej z nich coś czerwonego. Przyszło mi na myśl, że warto podjechać i przekonać się co to jest. Był to sarong tego człowieka. Zaplątał się w gałęzie i powstrzymał go od zsunięcia się w wodę. Mówię panu, chyba nigdy nie byłem taki szczęśliwy jak wówczas, gdyśmy się przekonali, że ten człowiek jeszcze oddycha. Myślałem, że jeśli zdołamy go przywołać do życia, będzie mógł opowiedzieć mi wiele rzeczy. Kłoda, na której zawisł, wypłynęła z ujścia tego strumienia, i obliczyłem, że mógł się na niej znajdować najwyżej z pół dnia. Kazałem go znieść na dół przez główną lukę i umieścić w hamaku na międzypokładzie. Ledwie dyszał, ale w nocy przyszedł do siebie i wy dostał się z hamaka, aby się położyć na macie. Widać tak mu było wygodniej. Odzyskał mowę dopiero dziś rano; zszedłem zaraz do kajuty, aby panu o tem donieść, ale pan nie zwrócił na mnie żadnej uwagi. Powiedziałem panu także, kto to jest; nie wiem czy pan mnie słyszał czy nie.

— Nie pamiętam — wyszeptał Lingard.

— Dziwni są ci Malaje. Dziś rano był ledwie żywy, a teraz podobno rozmawiał przez godzinę z Wasubem. Czy pan zejdzie do niego, panie kapitanie, czy też mam posłać paru ludzi, aby go przynieśli na pokład?

Lingard wyglądał przez chwilę jak oszołomiony.  
— Któż to może być? — zapytał.

— Otóż to jest człowiek, którego pan wysłał w pogoń za naszym gigiem wówczas w nocy, kiedy pana spotkałem. Jak to oni go nazywają? Dżaffir, zdaje mi się. On chyba był u pana tam na lądzie, panie kapitanie? Czy nie dotarł do pana z listem, który mu wręczyłem? Wyglądał mi na wielkiego zucha. Poznałem go w chwili gdyśmy go zdjęli z tej kłody.

Lingard chwycił się za więź najwyższego masztu, która nawinęła mu się pod rękę. Dżaffir! Dżaffir! Najwierniejszy z wiernych; goniec w ostatecznych chwilach; śmiały i oddany sługa! Rozpacz przygniotła Lingarda.

— Nie, nie potrafię tego znieść — szepnął do siebie, patrząc na czarne jak atrament wybrzeże leżące przed jego oczami wśród wszechogarniającego cienia, który zasnuwał powoli szarą przejrzystość płycizn. — Niech pan mi przyśle Wasuba. Zejdę do kajuty.

Skierował się ku osłonie zejścia i nagle przystanął.

— Czy nie było dziś łodzi z jachtu? — zapytał, jakby coś nagle przyszło mu na myśl.

— Nie, panie kapitanie — odrzekł Carter. — Nie mieliśmy dziś z jachtu żadnych wiadomości.

— Niech mi pan przyśle Wasuba — powtórzył z powagą Lingard, idąc wdół po schodach.

Stary serang, wchodząc bez szelestu, zobaczył, że jego kapitan — wiele razy tak go widywał — siedzi pod złożonemi gromami, napozór jak zawsze silny na ciele, jak zawsze potężny w swem bogactwie i wiedzy o tajnych słowach, które rozkazują ludziom i żywiołom. Stary Malaj przykucnął o parę stóp od Lin-

garda, oparł się grzbietem o gródź wykładaną satynowem drzewem i splótł ręce między kolanami, wznosząc stare oczy o czujnym, życzliwym wyrazie ku twarzy białego człowieka.

— Wasubie, teraz wiesz już wszystko. Czy oprócz Dżaffira nie został nikt przy życiu? Czy wszyscy zginęli?

— Obyś żył wiecznie! — odrzekł Wasub.

— Zginęli wszyscy! — wyszeptał Lingard ze zgrozą, a Wasub skinął zlekka głową po dwakroć. Jego załamujący się głos brzmiał żałościwie.

— To wszystko prawda! Wszystko prawda! Zostałeś sam, tuanie — zostałeś sam jeden!

— Takie było ich przeznaczenie — rzekł wreszcie Lingard z wymuszonym spokojem. — Ale czy ci Dżaffir powiedział, jak to nieszczęście się stało? Jakim sposobem ocalał — abyś go znalazł?

— Pan jego kazał mu wyruszyć — a on usłuchał — zaczął Wasub i utkwiał wzrok w suficie, mówiąc za ledwie dość głośno, by Lingard mógł go usłyszeć. A kapitan, pochylony naprzód na krześle, wzdrygał się w duchu przed każdym słowem, które go dochodziło, a jednak za nic w świecie nie byłby żadnego opuścił.

Ta katastrofa spadła mu na głowę jak grom z błękitu, o wczesnej porannej godzinie dnia poprzedniego. Z brzaskiem Belarab posłał po Lingarda, aby prowadzić dalej rozpoczętą rozmowę.

Lingard poczuł nagle, że pani Travers usuwa rękę z jego głowy. Przywołał go do przytomności jej głos, szepczący poufnie do ucha: „Niech pan wstanie. Ja-

cyś ludzie nadchodzą". Wstał z ziemi. Światło było mętne, powietrze pełne mgły; Lingard zaczął stopniowo rozróżniać kształty nad głową i u swych stóp: drzewa, domy, ludzi śpiących na ziemi. Nie poznawał ich. To była tylko okrutna zmiana snu. Któż może wiedzieć co jest rzeczywistością na tym świecie? Rozglądał się oszołomiony; był wciąż pijany potężnym napojem zapomnienia, który zdobył dla siebie. Tak, ale to ona pozwoliła mu czarę pochwycić. Spojrzał na kobietę siedzącą na ławce. Nie drgnęła. Trwała nieruchomo w tej samej pozycji przez wiele godzin, darząc go na jawie snem nieskończonego kojącym, niezmiernym szczęściem bez dźwięku i ruchu, bez myśli, bez wesela; szczęściem pełnym niesłychanej błogości — jak marzenie obejmujące świat cały, marzenie przeniknięte smutkiem i pachnące miłością. Nie poruszyła się wcale przez długie godziny.

— Jesteś najhojniejszą z kobiet — rzekł. Pochylił się nad nią. Patrzyła szeroko rozwartymi oczyma. Wargi jej były zimne. To go nie zdziwiło. Wyprostował się i stał u jej boku. Żar przepala wszystko, ale ona ze swymi zimnymi wargami wydała mu się niezniszczalną — i może nieśmiertelną!

Nachylił się znów, lecz tym razem ucałował tylko frendzlę jej szarfy. Potem odwrócił się i ruszył na spotkanie trzech ludzi, którzy pojawili się za rogami chaty mieszczącej jeńców i szli ku niemu miarowymi krokami. Zażądali aby się stawił w izbie obrad. Belarab już nie spał.

Posłowie wyrazili zadowolenie iż biały czuwa, ponieważ Belarab pragnął udzielić mu natychmiast wiadomości pierwszorzędnej wagi. Wydało się Lingardowi, że nie spał już od niepamiętnych czasów. Ale tego,

czy żyje, nie był tak bardzo pewien. Nie wątpił o tem, że istnieje; ale czyż to może być życie, ta zupełna obojętność, ta dziwna pogarda dla wszystkiego co oglądają jego oczy, ta niechęć do słów, to zwątpienie o ważności rzeczy i ludzi? Usiłował odzyskać władzę nad sobą, nad sobą jakim był przedtem, kiedy miał w życiu coś do zrobienia, kiedy mówił do ludzi i słuchał ich słów. Ale to było za trudne. Urzekło go potężne poczucie egzystencji o wiele wyższej nad zwykłą świadomością życia, egzystencji, której niepodobna było udźwignąć — ogromu przeciwieństw, rozkoszy, zgrozy, radosnych uniesień i rozpaczy — a której uniknąć się nie dało. Nie było w tym wszystkiem spokoju. Ale któż pragnie spokoju? Lepszem jest poddanie się losowi — boska pustka w duszy i straszliwa błogość opieszalego ciała, zagarniętego przez olbrzymią falę. Jeżeli to jest istnieniem, wówczas Lingard wie że istnieje. I wie, że ta kobieta istnieje również, porwana tym samym prądem — istnieje bez słowa, bez ruchu, bez zapалу! Niezniszczalna — i może nieśmiertelna!

## VII

Z wyniosłą obojętnością człowieka, który spojrział przez otwarte wrota raję i nie dba już o ziemskie życie, Lingard podążył za stroskanymi posłami Belaraba. Dziedzinięć się budził wśród stłumionego rozgwaru. Ludzie wstawali z ziemi; rozpalano znowu ogniska. Postacie owinięte w tkaniny przemykały się we mgle między budynkami; mijając jakiś bambusowy domek, Lingard usłyszał przez ścianę z mat słabe kwilenie dziecka. Rozpoczęło się już codzienne

życie; lecz w wielkiej izbie obrad kilka woskowych świec i parę tanich europejskich lamp broniło dostępu świtowi, zaś ranna mgła, od której niepodobna się było uchronić, otaczała każdy płomień słabą, czerwonawą aureolą.

Belarab czuwał, i widać było po nim, że nie śpi już oddawna. Twórca Wybrzeża Zbiegów, znużony władca osady, pełen wzgardy dla ludzkiego niepokoju i szaleństw, był rozgniewany na swego białego przyjaciela, który wstępował zawsze w jego progi ze swemi pragnieniami i troskami. Belarab nie życzył sobie niczyjej śmierci, ale też i o niczyje życie specjalnie mu nie chodziło. Pragnął tylko utrzymać tajemnicę i władzę melancholijnych swych wahań. Delikatne te sprawy były zagrożone przez nagłe ruchy Lingarda, przez tego zapalczego białego człowieka, który wierzył w wielu bogów i który zawsze zdawał się wątpić o potędze przeznaczenia. Belarab był bardzo podrażniony tem wszystkim. A przytem szczerze się niepokoił, ponieważ lubił Lingarda. Lubił go nietylko za siłę, która osłaniała przezorny sceptycyzm Belaraba przed niebezpieczeństwami grożącemi wszystkim władcom, ale lubił go także dla niego samego. Ów Malaj podlegający nieskończonym wahaniom, płynącym z pewnego rodzaju mistycznej pogardy dla dzieła Allaha, wierzył jednak bezwzględnie w siłę Lingarda i w jego odwagę. Bezwzględnie. A jednak — w zdumiewającej konsekwencji swego charakteru — bał się wypróbować tę siłę i to męstwo teraz, gdy chwila działania nadeszła.

Lingard nie wiedział, że na jakiś czas przed świtem jeden ze szpiegów Belaraba przedostał się na dziedziniec władcy w miejscu oddalonym od wybrzeża i że w chwilę po wyjściu Lingarda z sali obrad — z powodu rakiet



puszczonych przez Jörgensona — Belarab już słuchał zdumiewającej opowieści o wzięciu do niewoli Hassima i Immady. Dowiedział się również, że Tengga powziął decyzję — którą umocniło pojmanie radzy i jego siostry — iż zawładnie *Emmą* czy to zapomocą siły, czy rokowań, czy wreszcie jakiegoś chytrego podejścia, w którym radza i jego siostra mogli też swoją rolę odegrać. Belarab żywił do wszechświata nieufność, która zdawała się nawet woli Boskiej dotyczyć, i niepokoił się bardzo, gdyż piracka gromada Damana była pod rozkazami Tenggi; a kto mógł przewidzieć, czy radza z Wajo pozostanie w tych okolicznościach lojalnym? Bardzo to było charakterystyczne dla Belaraba — zwanego Ojcem Bezpieczeństwa przez pierwszych osadników z Wybrzeża Zbiegów — że nic o tem wszystkim Lingardowi nie wspomniał, bojąc się obudzić dziką jego energję, któraby mogła porwać nawet Belaraba wraz z jego ludem i zakłócić wieloletni spokój osady przez nagły hazard bitwy.

Tedy Belarab usiłował przekonać Lingarda zapomocą ogólnych argumentów, aby wydał białych, którzy należeli istotnie do Damana, najwyższego wodza Illanunów; takim prostym sposobem odsunęłoby go się zupełnie od Tenggi. Dlaczego on, Belarab, z powodu jeńców ma wszczynać wojnę przeciw połowie osady? To nie było ani potrzebne, ani rozsądne. Rozpoczęcie wojny wśród społeczności złożonej z prawowiernych wyznawców byłoby nawet pewnego rodzaju grzechem. Belarab mógłby natomiast wysłać posłów do Tenggi z propozycją wydania jeńców, a wówczas Tengga zrozumiałby odrazu, że to kres jego zamysłów i nadziei. Natychmiast! W jednej chwili!... Potem możnaby omówić z Damanem kwestję okupu, a on, Belarab, po-

zbywszy się rywala, podjąłby się szczerem sercem pośrednictwa w pełni swej odzyskanej potęgi. Potem zaś w razie potrzeby mógłby obrócić wszystkie swe siły przeciw wodzowi morskich włóczęgów, gdyż ten prowadziłby z pewnością rokowania w cieniu miecza.

Belarab przemawiał cichym głosem z wielką godnością, podkreślając niekiedy swe argumenty subtelną intonacją i przekonywającym tonem, lub też przywołując na usta napoly melancholijny uśmiech. Zmieniony wygląd białego przyjaciela napawał go wielką otuchą. Zdawało się, że dzika siła indywidualności białego obróciła się w sen. Lingard słuchał, stając się coraz bardziej nieprzeniknionym w swem nieustannem milczeniu, lecz łagodność go nie opuszczała, jakby skrzydła samego anioła pokoju ukołysały go i wprawiły w ekstazę cierpliwości. Ośmieleni tą przemianą doradcy Belaraba, siedzący na matach, ujawniali głośnym pomrukiem swą jednomyślność z wodzem. Przez gęstniejącą, białą mgłę tropikalnych okolic światło tropikalnego dnia przesączyło się do wielkiej izby. Jeden z mądrych doradców powstał z maty i ostrożnymi palcami jął gasić woskowe świece jedną po drugiej. Nie zdecydował się jednak dotknąć lamp, których żółte płomienie wyglądały zimno. Powiew rannego wiatru wbiegł do wielkiej izby, lekki i chłodny. Lingard wzdrygnął się, siedząc naprzeciw Belaraba w drewnianym fotelu; czuł bezwład we wszystkich członkach i boską pustkę w duszy, urzeczonej przez spojrzenie rzucone wgląd rajy.

Silny głos o szyderskim akcencie zawołał beczceremonjalnie od progu:

— Łodzie Tenggi widać we mgle na lagunie.

Lingard uniósł się na fotelu; nawet Belarab nie zdołał się opanować i drgnął. Biały nadśluchiwał i po

chwili wahania wypadł z izby. Wnętrze ostrokołu zaczynało brzęczeć jak podrażniony ul.

Za domem Belaraba Lingard zwolnił kroku. Mgła wciąż wisiała. Przenikał ją rozległy, przeciągły pomruk; niewyraźne postacie dążyły ze środka dziedzińca ku ostrokołowi. Gdzieś wśród budynków zabrzmiał gong. Rozległ się podniesiony głos d'Alcacera:

— Co się dzieje?

Lingard przechodził wówczas koło domku więźniów. Pod werandą stała tam grupa zbrojnych ludzi; nad ich głowami zobaczył panią Travers u boku d'Alcacera. Ognisko, przy którym Lingard spędził noc, zagasło, węgle rozproszyły się i nawet ławka leżała przewrócona. Pani Travers pobięła widać na werandę przy pierwszych odgłosach alarmu. Oboje z d'Alcacerem tam wysoko zdawali się górować nad hałasem, który już teraz przycichał. Lingard zauważył, że szarfa zakrywała twarz pani Travers. D'Alcacer był z gołą głową. Zawołał znowu:

— Co się stało?

— Idę zobaczyć — odkrzyknął Lingard.

Oparł się popędowi, aby się z nimi obojgiem połączyć, znaleźć się ponad hałasem, pozwolić, aby odpłynął z pod jego nóg — aby odpłynęło to ludzkie życie, błahе jak sen i zakłócające potężną świadomość jego własnego istnienia. Oparł się temu popędowi, nie umiając powiedzieć dlaczego. Nawet instynkt samozachowawczy go opuścił. Wokoło niego cisnął się tłum ludzi, starających się nie zastępować mu drogi. Zdumienie, troska, niepewność malowały się na wszystkich twarzach; ale niektórzy zauważyli uśmiech zastygły na obliczu potężnego białego człowieka, który

dążył ku ostrokołowi w stronę laguny. Rzucił w przestrzeń pytanie:

— Czy można coś dostrzec na wodzie?

Jeden z głównych wojowników Belaraba, znajdujący się najbliżej, odpowiedział:

— Mgła zgęstniała. Jeśli coś dostrzeżesz, tuanie, będą to tylko cienie.

Tymczasem cztery strony ostrokołu zostały obsadzone przez zbrojnych ludzi. Lingard, wstępując na ufortyfikowany wał, wyrzwał i zobaczył lagunę spowitą w biel bez skazy — biel tak spokojną, że nie było słychać nawet plusku wody uderzającej o brzegi. Poczłł iż jest w głębokiej harmonji z tym głuchym, bezdźwięcznym spokojem.

— Czy można było wogóle coś dostrzec? — spytał niedowierzająco.

Znalazło się zaraz czterech ludzi, którzy widzieli o świcie ciemną masę poruszających się czółen. Posłano jeszcze po innych świadków. Lingard ich prawie nie słuchał. Myśli mu się wymykały; stał bez ruchu i patrzył w nieporuszoną mgłę, przenikniętą głuchem milczeniem. Wkrótce przyłączył się do niego Belarab, eskortowany przez trzech poważnych mężów jak i on ciemnoskórych; władca gładził swą krótką, siwą brodę z nieprzeniknionym spokojem. Rzekł do Lingarda: „Twój biały człowiek nie walczy“ — na co Lingard odpowiedział: „Niema nikogo, z kimby mógł walczyć. To, co widzieli twoi ludzie, Belarabie, to były zaprawdę tylko cienie na wodzie“. Belarab mruknął:

— Powinieneś mi być pozwolić zawrzeć sojusz z Damanem dziś w nocy.

Lekki niepokój wkładał się do duszy Lingarda.

Po chwili zjawił się d'Alcacer, strzeżony nieznacznie

przez dwóch ludzi z dzidami; zaczął wypytywać niepokojnie Lingarda, który odpowiedział:

— Nie myślę aby tam się coś działo. Niech pan posłucha, jakie wszystko spokojne. Widzę tylko jeden sposób sprawdzenia jak rzeczy stoją: trzeba by namówić Belaraba, aby wysłał natychmiast swych ludzi do ataku na twierdzę Tenggi. Wtedybyśmy się czegoś dowiedzieli. Ale Belarab nie da się nakłonić do ataku podczas mgły. I rzeczywiście, wypad w tych okolicznościach mógłby się źle skończyć. Ja sam nie wierzę, aby wszyscy ludzie Tenggi znajdowali się na lagunie... Gdzie pani Travers?

D'Alcacer drgnął, tak raptownem było to zapytanie, świadczące jak dalece ta kobieta ośwładnęła duszą Lingarda.

— Została z don Martinem, który czuje się lepiej, ale jest jeszcze bardzo osłabiony. Jeżeli mają nas wydać, trzeba będzie go zanieść na spotkanie losu. Mogę sobie tę scenę wyobrazić: don Martina niosą na ramionach, otaczają go ci barbarzyńcy uzbrojeni we włócznie, a pani Travers i ja towarzyszymy mu z dwóch stron noszy. Pani Travers oświadczyła mi, że zamierza opuścić ostrokół razem z nami.

— Aha, tak panu oświadczyła — szepnął Lingard z roztargnieniem.

D'Alcacer czuł się zupełnie opuszczonym przez tego człowieka. A o dwa kroki od niego zauważył grupę złożoną z Belaraba i trzech ciemnoskórych dworzan w białych szatach; wszyscy czterej zachowywali pozory obojętności i pogody. Po raz pierwszy od chwili gdy jacht utknął na tej mieliźnie, d'Alcacer upadł na duchu.

— Może jednak — mówił dalej — ten Arab nie

będzie ostatecznie nalegał, aby nas wydano na okrutną śmierć, panie kapitanie.

— Chciał was wydać w ciągu nocy, przed paru godzinami — rzekł Lingard, nie spojrzawszy nawet na d'Alcatera, który podniósł zlekka ręce i zaraz je opuścił. Lingard usiadł na tylnym końcu armaty umieszczonej na morskiej lawecie, tak że górowała nad całą laguną. Skrzyżował ręce na piersiach. D'Alcacer spytał łagodnie:

— A więc odroczone wyrok na nas?

— Nie — rzekł Lingard. — Odroczone wyrok na mnie.

Nastała długa cisza. Szepty ucichły wzdłuż całej linii zbrojnego ostrokołu. Wibracja gongu zamarła. Tylko strażnicy, umieszczeni na najwyższych gałęziach wielkiego drzewa, szeleścili zlekka wśród liści.

— O czym pan myśli, panie kapitanie? — spytał pocichu d'Alcacer. Lingard nie zmienił pozy.

— Usiłuję się przed tem obronić — rzekł takim samym tonem.

— Ale przed czym? przed myślami?

— Tak.

— Czy to jest czas odpowiedni do takich eksperymentów? — spytał d'Alcacer.

— Dlaczego nie? Wyrok na mnie został odroczone. Niech pan do mnie żalu o to nie czuje, panie d'Alcacer.

— Zapewniam pana, że nie czuję. Ale czy to bezpieczne?

— Musi pan się zdać na los szczęścia.

D'Alcacer miał chwilę wewnętrznej walki. Zapytywał siebie czyby nie powiedzieć Lingardowi, że pani Travers przybyła do ostrokołu z jakimś poleceniem od Jörgensona. Miał już na końcu języka radę, aby Lin-

gard poszedł do pani Travers i zapytał wręcz, czy nie ma mu nic do powiedzenia; lecz zanim się na to zdecydował, rozległy się głosy niewidzialnych ludzi wysoko na drzewie, donoszące, że mgła rzędzie. Wywołało to rozruch, który ogarnął wszystkie cztery strony ostrokołu.

Lingard uczuł powiew na twarzy; nieruchoma mgła zaczęła sunąć nad ostrokołem i nagle ukazała się laguna, oślepiając wzrok błyskami zmarszczonej powierzchni, wśród słabego szumu fal uderzających o wybrzeże. Mnóstwo rąk się podniosło, aby ocienić niecierpliwe oczy i okrzyki zdumienia wydarły się z wielu ust na widok tłumu czołen różnych rozmiarów i kształtów, tkwiących jedno obok drugiego, co sprawiało wrażenie jakby olbrzymiej tratwy opodal kadłuba *Emmy*. Gwar podnieconych głosów coraz bardziej się wzmacniał. Nie było wątpliwości, że Tengga wypłynął na lagunę. Ale co się dzieje z Jörgensonem? Statek wyglądał jak opuszczony przez swego opiekuna i załogę, a tłuszcza przeróżnych łodzi zdawała się obmyślać atak.

Choć Lingard postanowił, że nie dopuści do siebie myśli możliwie najdłużej, nie mógł się jednak uchronić od uczucia zdumienia i trwogi. Co się dzieje z Jörgensonem? Przez chwilę oczekiwał, że bok *Emmy* pokryje się kłębamii dymu, lecz wieki zdawały się upływać, a żaden strzał nie dosięgnął jego uszu.

Łódki bały się widocznie przybić. Trzymały się niezdecydowane w pewnej odległości; ale dlaczego Jörgenson nie położył kresu ich wahaniom przez parę salw muszkietowych — choćby skierowanych w powietrze? Dręcząca niepewność przywołała Lingarda do życia, do zwykłego życia z jego bólem i śmiertelnością; czuł się jak człowiek zbudzony ze snu ciosem w piersi. Co znaczy to

milczenie na *Emmie*? A może Tengga wdarł się już na pokład podczas mgły? Ale to niemożliwe. Jakieś odgłosy oporu byłyby dały się słyszeć. Łódki trzymały się zdaleka, przewidując z jak desperacką spotkałyby się odprawą; Jörgenson wiedział pewno co robi, zwlekając z ogniem do ostatniej chwili, a tchórzliwe serca zamierały z lęku przed morderczą salwą, którą trzeba będzie wytrzymać. Jedno stało się jasnym — że to jest chwila odpowiednia, aby Belarab otworzył wielkie wrota i wypuścił swych ludzi, aby okazał swą potęgę, spustoszył dalszy koniec osady, zburzył fortyfikacje Tenggi i skończył raz na zawsze z bezsensownem współzawodnictwem tego intryganta, tego cieśli-amatora budującego łódzie. Lingard zwrócił się skwapliwie do Belaraba, lecz spostrzegł, że wódz jest zajęty, że patrzy skroś laguny przez lunetę opartą o ramię schylnego niewolnika. Nieruchomy był jak rzeźba. Nagle puścił lunetę, którą czujne ręce pochwyciły, zanim spadła na ziemię i rzekł do Lingarda:

— Nie będzie bitwy.

— Skąd wiesz? — mruknął zdziwiony Lingard.

— U trapu są trzy puste sampany — rzekł Belarab ledwie dosłyszalnym głosem. — Tam toczy się zła rozmowa.

— Rozmowa? nie rozumiem — rzekł z wolna Lingard.

Lecz Belarab zwrócił się ku swym trzem adherentom ubranym w białe szaty; na ogolonych czaszkach mieli mycki z plecionej trawy, różańce zwisały u ich rąk, a wyraz najwyższego spokoju malował się na ciemnych twarzach. Byli to towarzysze ciężkich dni Belaraba, mężowie przelewający ongi krew, a teraz pełniący niewzruszenie funkcje zaufanych doradców, mądrych i pobożnych.



— Ten biały został zdradzony — szepnął do nich z największym spokojem.

D'Alcacer, nic nie rozumiejąc, śledził tę scenę: Człowieka Losu zdziwionego i groźnego jak podrażniony lew, Arabów w białych szatach, mnóstwo półnagich barbarzyńców, przykucniętych u armat i stojących nieruchomo przy strzelnicach — jak na paradzie. Zobaczył panią Travers na werandzie domku więźniów — niespokojną postać z białą szarfą zarzuconą na głowę. Pan Travers był snąc zbyt osłabiony po ataku febry, aby wyjść na werandę. Gdyby nie to, wszyscy biali byliby mogli się widzieć w samej chwili katastrofy, mającej za cenę życia innych ludzi, wyrwanych nagle z tego świata, wrócić ich życiu, które ich przyzywało. D'Alcacer usłyszał iż Lingard prosi głośno o lunetę; zobaczył Belaraba dającego znak ręką, i nagle poczuł, że w ziemię ugodziło potężnie coś z dołu. Zachwiał się i pochylił; niebiosy pękły z hukiem nad jego głową, polizane czerwonym jęzorem ognia, straszny mrok uczynił się nagle wokoło — i ogłuszony d'Alcacer ujrzał ze zgrozą, że poranne słońce, obdarte z promieni, żarzy się, tępe i brązowe, przez ponury zmierzch, który objął świat w posiadanie. *Emma* wyleciała w powietrze; a gdy ustał deszcz strzaskanych desek i poszarpanych ciał padających w lagunę, od chmury dymu, wiszącej nieruchomo pod wybladłym słońcem, padł cień hen daleko na Wybrzeże Zbiegów, gdzie wszelka walka dobiegła kresu.

Wielki jęk zgrozy podniósł się nad osadą, poczem zapadła długa cisza. Widać było ludzi wybiegających z domu w bezmyślnej panice i uciekających w pole. Na lagunie tratwa z łodzi się załamała. Niektóre z nich tonęły, inne uciekały w różnych kierunkach. To, co pozostało nad wodą z kadłuba *Emmy*, buchnęło jas-

nym płomieniem pod cieniem chmury, wielkiej chmury dymu wiszącej masywnie i nieporuszenie nad wierzchołkami lasu, widzialnej o wiele mil stamtąd, z wybrzeża i z płytkiego morza.

Pierwszym człowiekiem, który przyszedł do siebie w obrębie ostrokółu, był sam Belarab. Wyszeptał machinalnie formułę zdziwienia: „Bóg jest wielki“ — i spojrzął na Lingarda. Ale Lingard na niego nie patrzył. Wstrząs wybuchu odebrał mu mowę i władzę w członkach. Wpatrywał się w *Emme*, świecąca odległym i nikłym płomieniem w ponurym cieniu chmury, którą stworzył Jørgenson w swej nieufności i pogardzie dla ludzkiego życia. Belarab odwrócił się. Zmienił teraz zdanie. Nie myślał już że Lingard został zdradzony, ale skutek był taki sam. Lingard stał się człowiekiem bez żadnego znaczenia. Belarab pragnął teraz właściwie tylko jednego: aby wszyscy biali opuścili jaknajprędzej lagunę. Rozkazał natychmiast otworzyć wrota; zbrojni ludzie wysypali się, aby zawładnąć osadą. Później podpalono domy Tenggi i Belarab, dosiadłszy ognistego kucyka, wyruszył na tryumfalny objazd, otoczony wielkim tłumem wyższych wojowników i straży.

Tej nocy biali opuścili ostrokół, otoczeni ludźmi niosącymi pochodnie. Pana Traversa trzeba było nieść aż do brzegu, gdzie dwie wojenne łodzie Belaraba czekały na znakomitych pasażerów. Pani Travers przeszła bramę pod rękę z d'Alcacerem. Twarz jej była nawpół zasłonięta. Szła przez tłum widzów stojących w świetle pochodni, patrząc prosto przed siebie. Belarab stał na czele grupy wojskowej starszyny i udał, że nie widzi białych, gdy przechodzili obok niego. Zamienił uścisk dłoni z Lingardem, szepcząc zwykłą formułę przyjaźni; a gdy usłyszał, że potężny

biały człowiek mówi: „Nigdy mnie już nie zobaczysz“ — poczuł niezmierną ulgę. Belarab nie pragnął już widzieć tego białego, lecz odwzajemnił uścisk dłoni Lingarda, uśmiechając się z powagą.

— Bóg jeden zna przeszłość — odrzekł.

Lingard szedł ku brzegowi sam jeden, czując że obcy jest wszystkim ludziom i opuszczony przez wszechwiedzącego Boga. Pierwsza łódź z Traversami minęła już krwawy blask rzucony przez pochodnie na wodę. D'Alcacer i Lingard wsiedli do drugiej łodzi. Mroczny cień zatoki, otoczonej ścianą nieprzeniknionego lasu, zamknął się wokół nich niebawem a plusk wiosł wwracał echem w cichem, wilgotnem powietrzu.

— Nie wie pan, jakim sposobem stał się ten straszny wypadek? — zapytał d'Alcacer, który siedział w milczeniu obok Lingarda.

— Co za wypadek? — rzekł Lingard z wielkim wysiłkiem. — Gdzie pan taką rzecz słyszał? Wypadek! Niech pan mnie zostawi, panie d'Alcacer. Dopiero co wróciłem do życia — i zamknęło się nade mną, zimniejsze i ciemniejsze od grobu. Niechże się przyzwyczaję... Nie mogę jeszcze znieść brzmienia ludzkiego głosu.

## VIII

Lingard trwał ze stoicyzmem wśród zimna i mroku swego odzyskanego życia, słuchając jak Wasub powtarza mu opowiadanie Dżaffira. Twarz starego *seranga* wyrażała głębokie zgnębienie, a w nieprzerwanym jego szepcie brzmiał niezmierny smutek.

— Tak, na Allaha! Byli tam wszyscy: ten tyran Tenggara, hałaśliwy jak zwykle głupcy; radża Hassim, władca pozbawiony kraju; Daman, wędrowny wódz

i trzech *pangeranów* dowodzących morskimi rozbójnikami. Weszli śmiało na pokład, ponieważ tuan Jörgenson udzielił im na to pozwolenia, a sens ich słów był taki, że ty, tuanie, jesteś dobrowolnym więźniem w ostrokołe Belaraba. Czekali całą noc na posłańca ze słowami pokoju od ciebie lub Belaraba. Ale że nic nie nadeszło, wyruszyli z brzaskiem na lagunę by zawrzeć przyjaźń z tuaniem Jörgensonem; ponieważ — tak brzmiały ich słowa — ty, tuanie, jesteś jak gdyby nieobecny, i masz mniej siły od martwego człowieka, będąc poprostu niewolnikiem tych dziwnych białych ludzi i więźniem Belaraba. Tak gadał Tengga; Bóg odebrał mu wszelką mądrość i wszelką bojaźń. A przytem myślał widać, że jest zupełnie bezpieczny, ponieważ radża Hassim i księżniczka Immada znajdowali się na statku. Powiadam ci, siedzieli jako jeńcy pośród twych nieprzyjaciół! Księżniczka Immada, zasłoniwszy twarz, zawodziła pocichu. Radża Hassim dał znak Dżaffirowi, a ten stanął u jego boku i rozmawiał ze swym panem. Główna luka była otwarta; wielu Illanunów zgromadziło się koło niej, aby popatrzeć wdół na towary zgromadzone na statku. W życiu swoim nie widzieli tylu łupów. Dżaffir i jego pan słyszeli wyraźnie, jak tuan Jörgenson i Tengga rozmawiali z sobą. Tengga rozprawiał głośno, a słowa jego były słowami skazanego człowieka, gdyż zażądał, aby tuan Jörgenson wydał jemu oraz Damanowi broń i wszystko, co było na statku. „A wówczas“ rzekł, „pobijemy Belaraba, zawrzemy przyjaźń z tymi białymi i obejdziemy się z nimi wspaniałomyślnie, pozwalając by odplynęli bez szwanku do swego kraju. Nie pragniemy ich tutaj. Ty, tuanie Jörgensonie, jesteś jedynym białym, o którego dbam“. Dalej słyszeli, jak

Jørgenson rzekł do Tenggi: „Teraz gdy mi powiedziałeś już wszystko co masz na myśli, jedź lepiej na brzeg z twoimi przyjaciółmi i powróć jutro“. A Tengga zapytał: „Jakże to! Czyżbyś wolał jutro ze mną walczyć, niż żyć ze mną w pokoju przez długie dni?“ Tu roześmiał się i trzepnął się po udzie. A tuan Jørgenson odpowiedział:

— „Nie, nie chcę z tobą walczyć. Ale nawet pająk zostawia musze chwilę czasu na odmówienie modlitwy“.

— Słowa tuana Jørgensona zabrzmiały bardzo dziwnie i głośniejsz niż kiedykolwiek. O radzo Laucie, Dżaffir i biały człowiek czekali także całą noc na jakiś znak od ciebie: wystrzał, czy ognisko zapalone zamiast sygnału aby pokrzepić ich serca. Ale nic takiego nie było. Radza Hassim rozkazał szeptem Dżaffirowi, aby skorzystał z pierwszej sposobności i skoczył przez burzę, zabierając dla ciebie posłanie przyjaźni i pożegnania. Czyżby radza i Dżaffir przewidywali co będzie? Któż to wie! Ale cóż mogli przewidywać dla ludzi z Wajo jeśli nie nieszczęście, bez względu na to co tuan Jørgenson postanowił uczynić? Dżaffir przygotował się do wykonania rozkazu swego pana, choć wobec tylu nieprzyjacielskich czołen na wodzie nie mógł się spodziewać, że zdoła dotrzeć do brzegu; a co się tyczy ciebie, tuanie, nie był wcale pewien, czy jeszcze jesteś przy życiu. Ale nie powiedział o tem radzy. Nikt nie patrzył w ich stronę. Dżaffir przycisnął rękę swego pana do piersi i czekał na sposobność. Mgła zaczęła odpływać i wkrótce wszystko odsłoniło się przed oczami. Tuan Jørgenson stał, trzymając w palcach zapalone cygaro. Tengga siedział przed nim na jednym z krzeseł, których używali biali ludzie.

Jego świta cisnęła się wkoło niego, razem z Damanem i Sentotem, który szeptał zaklęcia; i nawet *pangeranowie* podeszli bliżej do luki. Sposobność dla Dżaffira nadeszła, ale ociągał się, stojąc u boku swego radzy. Słońce świeciło bardzo jasno wśród przejrzystego powietrza. Tuan Jörgenson spojrział raz jeszcze ku ostrokołowi Belaraba. O Radzo Laucie! Ale nic tam się nie działo — nie rozwinięto nawet flagi, którejby nie było przedtem. Dżaffir spojrział także w tę stronę, a gdy odwrócił głowę, ujrzał że tuan Jörgenson — wpośród dwudziestu włóczni, które w każdej chwili mogły utkwic w jego piersi — bierze do ust cygareto i skacze w lukę. W tej samej chwili radza Hassim pchnął Dżaffira ku burcie i Dżaffir skoczył przez poręcz.

— Był jeszcze w wodzie, gdy cały świat pociemniał, jakby słońce rozpekło się z hukiem i wyzionęło ducha. Nadbiegła wielka fala; kawały drzewa, żelaza i członki poszarpanych ludzi kotłowały się, pluszcząc, wkoło Dżaffira. Woda wyrzuciła go na brzeg. Zdołał wyczłogać się z błota. Coś go ugodziło gdy płynął, i myślał że umrze. Ale życie drgało w nim jeszcze. Miał dla ciebie zlecenie. Człogał się długo na rękach i kolanach pod wielkimi drzewami, bowiem niema spoczynku dla gońca, póki nie wypełni powierzonego mu zlecenia. Wreszcie znalazł się na lewym brzegu zatoki. I czuł wciąż jeszcze, że życie w nim się kołacze. Tedy zaczął płynąć na drugą stronę, gdyż jeśli byłeś przy życiu, musiałeś tam się właśnie znajdować. Płynąc, poczuł że siły go opuszczają. Zdołał się wygramolić na niesioną prądem kłodę i leżał na niej jak martwy, aż wreszcie wciągnęliśmy go do jednej z naszych łódek.

Wasub przestał mówić. Wydało się Lingardowi, że jest niemożliwem aby śmiertelny człowiek mógł

cierpieć bardziej, niż on cierpiał w owej chwili — gdy zapadło milczenie, pełne niemych obrazów ogólnej niejako zagłady. Czuł się poszarpanym na sztuki, jakby ów czyn gwałtowny, którym Jørgenson dał wyraz swej bezwzględnej nieufności do życia — jakby ów czyn roztrzaskał mu duszę, zostawiając ciało pozbawione wszelkiej odporności i siły, wydane na pastwę bezgranicznym wyrzutom sumienia i nieskończonemu żalowi.

— Zostaw mnie, Wasubie — rzekł. — Oni wszyscy nie żyją — ale ja chciałbym zasnąć.

Wasub podniósł nieme, stare oczy ku twarzy białego człowieka.

— Tuanie, trzeba koniecznie abyś wysłuchał Dżaffira — rzekł cierpliwie.

— Czy on jest bliski śmierci? — zapytał Lingard cicho i ostrożnie, jakby się lękał dźwięku własnego głosu.

— Któż to wie? — Głos Wasuba zabrzmiał cierpliwiej niż kiedykolwiek. — Na ciele jego niema rany, ale, o tuanie, on żyć nie pragnie.

— Opuszczony przez swego Boga — szepnęła Lingard do siebie.

Wasub milczał przez chwilę, nim zaczął dalej mówić.

— I, tuanie, on ma dla ciebie zlecenie.

— Naturalnie. Otóż ja nie chcę słyszeć tego zlecenia.

— Zlecenie od tych, którzy nie przemówią do ciebie już nigdy — ciągnął Wasub wytrwale ze smutkiem. — Wielka odpowiedzialność ciąży na Dżaffirze. To są słowa samego radży. Dżaffirowi trudno jest umrzeć. Szepcze wciąż o pierścieniu, który był dla

ciebie przeznaczony i który on wypuścił z pod swojej pieczy. Był to wielki talizman!

— Tak. Lecz nie podziałał tym razem. A jeśli pójdę i powiem dlaczego, będzie mógł to powtórzyć swemu radzy, o Wasubie, ponieważ mówisz, że jest już umierający... Ciekawym gdzie się też spotkają — mruknął do siebie.

Raz jeszcze podniósł Wasub oczy ku twarzy Lingarda.

— Raj jest udziałem wszystkich wiernych — szepnął, niezachwiany w swej prostej wierze.

Człowiek, którego unicestwiło spojrzenie rzucone wgląd raju, popatrzył głęboko w zwrócone na siebie oczy starego Malaja. Potem wstał. Idąc ku głównej luce, dowódca brygu nie spotkał na pokładzie nikogo, jakby cała ludzkość go opuściła prócz tego starca, który szedł przed nim, i tego drugiego człowieka, który konał, oczekując jego nadejścia wśród gęstniejącego zmierzchu. Na dole, w świetle padającym przez lukę zobaczył młodego *kalasza* o szerokiej, żółtej twarzy i sztywnych jak drut włosach, sterczących prostemi kosmykami z fałd chustki owiniętej koło głowy; ów *kalasz* pochylał gliniany dzbanek do ust Dżaffira, leżącego nawznak na stosie mat.

Powolny obrót szklistych już źrenic — które mignęły czernią i bielą wśród zapadającego mroku — świadczył, że wierny goniec książąt zdał sobie sprawę z obecności człowieka, znanego tak długo jemu i jego ziomkom pod nazwą Króla Morza. Lingard ukląkł blisko głowy Dżaffira, która obróciła się zlekka z boku na bok i znieruchomiła z oczyma utkwionemi w belce górnego pokładu. Lingard nachylił ucho ku ciemnym wargom.



— Wykonaj powierzone ci zlecenie — rzekł łagodnie.

— Radza pragnął ująć raz jeszcze twą dłoń — szepnął Dżaffir tak słabym głosem, że Lingard musiał raczej odgadywać słowa aniżeli ich słuchać. — Miałem ci powiedzieć — ciągnął dalej i nagle urwał.

— Co mi miałeś powiedzieć?

— Abyś wszystko zapomniał — rzekł Dżaffir głośno z wysiłkiem, jakby rozpoczynał jakąś przemowę. Lecz po tych słowach zamilkł, póki Lingard nie wyszeptał:

— A księżniczka Immada?

Dżaffir zebrał wszystkie swe siły.

— Nie miała już nadziei — wyrzekł wyraźnie. — W chwili wyroczonej siedziała na osobności, zawodząc, z zasłoną na twarzy. Nie widziałem nawet jej lic.

Lingard zachwiał się tak gwałtownie nad umierającym człowiekiem, że Wasub, stojący tuż obok, pośpieszył go chwycić za ramię. Zdawało się iż Dżaffir nie zdaje sobie już sprawy z niczego; wpatrywał się ciągle w belkę.

— Czy słyszysz mię, o Dżaffirze — zapytał Lingard.

— Słyszę.

— Nie dostałem wcale pierścienia. Kto miał mi go zanieść?

— Daliśmy go białej kobiecie — oby piekło stało się jej udziałem!

— Nie! stanie się moim udziałem — rzekł Lingard z rozpaczliwą siłą, a Wasub wzniosł obie ręce w przerażeniu. — Ponieważ — słuchaj Dżaffirze — gdyby mi była dała ten pierścień, dostałby się człowiekowi, który był niemy, głuchy i pozbawiony wszelkiej odwagi.

Niepodobna było powiedzieć, czy Dżaffir słyszał te słowa. Nie odezwał się wcale; w strasznym jego spojrzeniu nie zaszła żadna zmiana, lecz jego ciało, wyciągnięte pod bawełnianym prześcieradłem, poruszyło się, jakby się chciało odsunąć od białego człowieka. Lingard dźwignął się z wolna, dając znak Wasubowi aby pozostał na miejscu, i poszedł na pokład, nie spojrzawszy już więcej na konającego Malaja. I znów odniósł wrażenie, że stąpa po szanću opuszczonego okrętu. Steward — mulat — spoglądający przez szparę w drzwiach kredensu, widział że Lingard wszedł chwiejnym krokiem do kajuty i zatrzasnął drzwi z hukiem za sobą. Przez więcej niż godzinę nikt się do tych zamkniętych drzwi nie zbliżył, aż wreszcie Carter zszedł po schodach i nie usiłując wejść do kajuty, zapytał:

— Czy pan tam jest?

Odpowiedź: „Może pan wejść“ — uspokoiła młodego człowieka swym silnym brzmieniem. Wszedł do kajuty.

— A co?

— Dżaffir umarł. W tej chwili. Sądziłem, że pan zechce o tem wiedzieć.

Lingard patrzył uporczywie w Cartera, myśląc że teraz, gdy Dżaffir już nie żyje, nie został nikt na pustej ziemi, aby wypowiedzieć słowo wymówki; nikt, ktoby wiedział o wielkości jego zamiarów, o obowiązkach wierności, łączących go z Hassimem i Immadą, o głębi jego przywiązania do tych ludzi, o potędze jego wizyj i o bezgranicznym zaufaniu, które stało się jego nagrodą. Wybuch warjackiej pogardy Jörgensona dla ludzkiego życia sprawił, że tego wszystkiego jak gdyby nigdy nie było. Stało się to tajemnicą zamkniętą nazawsze w piersi Lingarda.

— Powiedz pan Wasubowi aby otworzył pakę z materiałami i dał załodze bawełniane prześcieradło — niech go pogrzebią jak się należy zgodnie z jego wiarą. I niech się to odbędzie dziś w nocy. Trzeba im dać i łodzie. Przypuszczam, że go zawiozą na tę ławicę.

— Tak, panie kapitanie — rzekł Carter.

— Niech wezmą wszystko czego potrzeba — szpadle, pochodnie... Wasub zaintonuje odpowiednie słowa. Raj jest udziałem wszystkich wiernych... Rozumie pan, panie Carter? Raj! Ciekawym, czym ten raj będzie dla niego? Jeśli nie powierzą mu zleceń, aby przedzierał się z niemi przez dżunglę, unikając zasadzek, płynąc wśród burzy i nie znając odpoczynku, nie będzie mu tam dobrze.

Carter słuchał z twarzą nieporuszoną. Zdawało mu się, że kapitan zapomina o jego obecności.

— I po wszystkie czasy będzie spał na tej miełźnie — zaczął znów Lingard, siedząc na swem dawnem miejscu, pod pękiem złożonych gromów wiszących nad jego głową, z łokciami na stole i rękoma u skroni. — Jeśli chcą zatknąć deskę na grobie, niech wezmą kawał dębowej belki. Będzie tam tkwiła — aż do najbliższego mussonu. Prawdopodobnie.

Carter czuł się nieswojo wobec tego wyteżonego wzroku, który o włos go mijał i w zamkniętej kabinie wydawał się strasznym w swym przenikliwym, dalekosiężnym wyrazie. Ale ponieważ go nie odprawiono, wolał pozostać.

— Wszystko będzie jak pan sobie życzy, panie kapitanie — rzekł. — Sądzę, że jacht wyruszy zaraz jutro rano, panie kapitanie.

— Gdyby nie wyruszył, to chyba trzeba mu

będzie posłać jakichś parę solidnych strzałów — to go ożywi — co, panie Carter?

Carter nie wiedział czy się uśmiechnąć, czy udać zgorzenie; w końcu zrobił i jedno i drugie, ale nie zdołał ani słowa z siebie wydobyć. Lingard odpowiedzi nie oczekiwał.

— Pan zamierza pewno ze mną pozostać, panie Carter?

— Powiedziałem panu, panie kapitanie, że jestem na pańskie rozkazy, jeśli pan mnie potrzebuje.

— W tem sęk, panie Carter, że już nie jestem człowiekiem, do którego pan mówił wtedy wieczorem koło Carimaty.

— I ja również, że się tak wyrażę, nie jestem tym samym człowiekiem, panie kapitanie.

Natężenie we wzroku Lingarda osłabło; spojrzał w zadumie na młodego marynarza.

— Ale bryg będzie pana potrzebował. On się nigdy nie zmieni. To najpiękniejszy statek tych mórz. Będzie mnie dalej nosił, jak nosił mnie do tej pory, tylko że...

Rozplótł ręce i rozłożył je szerokim gestem.

Carter czuł w swej prostoduszności największe współczucie dla tego człowieka, który rzeczywiście wyratował białych z opresji, lecz przytem jakby zgubił swą własną duszę. Carter słyszał już coś nie coś od Wasuba. Z tej historii, opowiedzianej łamaną angielszczyzną przez starego *seranga*, zrozumiał, że dwoje malajskich przyjaciół kapitana — mężczyzna i kobieta — zginęło w tajemniczej katastrofie. Ale dlaczego i jak to się stało, absolutnie nie mógł pojąć. Naturalnie taki człowiek jak kapitan musi być strasznie zgnębiony...

— Przyjdzie pan prędko do siebie, panie kapitanie — rzekł tonem możliwie najserdeczniejszym.

Lingard potrząsnął przecząco głową z taką samą prostotą. Myślał o martwym Dżaffirze, który wypełnił ostatecznie zlecenie, któremu nie mąciły już spokoju te wszystkie ziemskie sprawy. Dano mu rozkaz, aby powiedział Lingardowi, że ma o wszystkim zapomnieć. Serce się wzdrygnęło w Lingardzie. Mógł być pomyśleć ze zgrozą, że bryg się dostał pod skrzydła samego anioła rozpacz — tak przygnębiającem, tak ostatecznem i beznadziejnem wydało mu się milczenie, wśród którego obaj z Carterem bacznie na siebie patrzyli.

Lingard sięgnął po kartkę papieru — leżało ich kilka na stole — wziął pióro, myślał przez chwilę i napisał:

„Niech pani spotka się ze mną o świcie na ławicy“.  
Zaadresował kopertę do pani Travers — jacht *Hermit* — i pchnął ją przez stół.

— Niech pan to pośle natychmiast na jacht, panie Carter. Zaraz, zaraz, proszę chwilę poczekać. Kiedy nasze łódki będą opuszczały bryg, każe pan strzelić z przedniej armaty. Chcę wiedzieć, kiedy zmarły opuści pokład.

Siedział samotnie, wsparłszy głowę na rękę i nadśluchiwał; nadśluchiwał bez końca armatniego wystrzału. Czy nie usłyszy go nigdy? Gdy rozległ się wreszcie — stłumiony, odległy — lekkie drgnięcie przebiegło kadłub brygu, a Lingard nie poruszył się wcale, czując wyraźnie, mając pewność prawie fizyczną, że pod bawełnianem prześcieradłem, spowijającym zwłoki, opuściło statek także coś z jego własnej duszy.

## IX

W obszernej kabinie, umeblowanej z surowym komfortem, pan Travers spoczywał wygodnie na niskiem łozu pod śnieżno-białem prześcieradłem i lekką, jedwabną kołdrą; głowa jego leżała na poduszce nieskazitelnej czystości. Lekki zapach lawendy zalatywał od świeżej bielizny. Pan Travers leżał wprawdzie nawznak, jak człowiek ciężko chory — ale nie dolegało mu nic poza wielkiem znużeniem. Wypoczynek pana Traversa miał w sobie odcień tryumfu. Powrót na jacht ugłaskał jego próżność i obudził w nim na nowo poczucie własnego znaczenia. Pan Travers, znalazłszy się nareszcie wśród odpowiednich warunków, przyglądał się sobie z lubością z dalekiej perspektywy i nie czuł się bynajmniej wytrąconym z równowagi przez przygodę, która była zbyt nadzwyczajną aby zamącić spokój wyższego umysłu, lub nawet pozostać na dłużej w pamięci. Nie odpowiadał za to co się stało. Jak wielu ludzi ambitnych, pragnących wpływać na losy narodu, pan Travers poczucia odpowiedzialności nie lubił. W razie czego był gotów się od niej wykręcić, a w głębi ducha pogardzał nią z wyniosłą perfidją. Z tego właśnie powodu mógł leżeć spokojnie i rozkoszować się powracającemi siłami. Lecz nie miał jeszcze ochoty rozmawiać i właśnie dlatego milczenie w kajucie ciągnęło się przez całe godziny. Lampę przybitą do grodzi osłaniał zielony jedwabny abażur. Nic nie nasuwało myśli, że istnieje na świecie bezczelność lub grubiaństwo. Rozległo się lekkie stukanie do drzwi, pełne szacunku.

Pani Travers wstała aby przekonać się o co chodzi, i powróciła bez słowa na składany fotel obok łózka,

trzymając kopertę, którą rozdarła w zielonawem świetle. Pan Travers nie objawił zainteresowania, mimo to żona podała mu otwarty arkusz papieru, który raczył podnieść do oczu. Arkusz zawierał tylko jeden wiersz pisma. Pan Travers upuścił papier na koldrę i leżał dalej nieruchomo, jak chory człowiek potrzebujący wypoczynku. Pani Travers siedziała z rękami na oparciach fotela w postawie pełnej godności.

— Mam zamiar pojechać — oświadczyła po chwili.

— Masz zamiar pojechać — powtórzył pan Travers słabym, rozważnym głosem. — W gruncie rzeczy wszystko jedno co postanowisz. To nie ma żadnego znaczenia. Ale sądzę, że to byłoby bezcelowe.

— Może i tak — przyznała. — Ale czy nie uważasz, że za wszystko trzeba zawsze zapłacić do ostatniego szeląga?

Głowa pana Traversa obróciła się nieco na poduszce; spojrzął ukradkiem lękliwie na tę otwartą kobietę. Lecz powrócił natychmiast do poprzedniej pozycji; leżał w dalszym ciągu bez ruchu — istne wcielenie wyczerpania i bezsilności. Pani Travers zauważyła to i doznała niespodzianego wrażenia, że jej mąż nie jest tak bardzo chory jak na to wygląda. „Wyzyskuje sytuację“ — pomyślała. „To manewr dyplomatyczny“. Pomyślała to bez ironji, goryczy lub wstrętu. Tylko serce jej ścisnęło się jeszcze bardziej, i poczuła, że nie może pozostać z tym człowiekiem na resztę wieczoru. Na całe życie — tak! Ale nie na ten wieczór.

— To jest poprostu potworne — mruknął osłabionym głosem mężczyzna — może wyczerpany, a może dyplomatycznie nastrojony. — W tobie jest coś nienormalnego.

Pani Travers podniosła się szybko.

— Spotyka się różne potworności. Ale zapewniam cię, że ze wszystkich potworów, które czyhają na nas w tak zwanem normalnem życiu, za najgroźniejszego uważam nudę. To nielitościwy potwór bez klów ani szponów. Bezsilny. Ohydny!

Opuściła kabinę cichym, stanowczym krokiem. Żadna siła nie byłaby jej mogła zatrzymać choćby przez minutę. Na pokładzie zastała bezksiężycową noc, powietrze ciepłe i aksamitne, a na niebie mętną masę gwiazd, wyglądających jak przyćmiony szych wytartego, bardzo starego, bardzo nudnego firmamentu. Życie na jachcie wróciło już do zwykłej normy; rozpięto na rufie płócienny dach i zawieszono jak zawsze samotną, okrągłą lampę pod głównym prętem. Z głębokiego mroku za lampą wynurzył się d'Alcacer — długa postać o niedbałych ruchach — i włączył się leniwie w przyćmionym świetle od burty do burty. D'Alcacer nawiązał szybko kontakt z zapasem papierosów, który zawdzięczał hojności generalnego gubernatora. Duża, drgająca iskra żarzyła się, oświetlając czerwono zarys jego warg pod pięknym, czarnym wąsem, koniec nosa, chudy podbródek. D'Alcacer wyrzucał sobie niezwykłą lekkomyślność, która jakoś nim owładnęła. Już od lat nie doświadczał podobnego uczucia. Choć zasługiwało na nagane, nie życzył sobie aby ktoś je zamącił. Ale ponieważ nie mógł uciec otwarcie od pani Travers, ruszył na jej spotkanie.

— Mam nadzieję, że pani nic mi nie chce powiedzieć — rzekł z żartobliwą powagą.

— Ja? Nie! A pan?

Zapewnił ją że i on także, poczem zwrócił się do niej z prośbą:



— Proszę pani, nic sobie nawzajem nie mówmy! Nie myślmy o niczem. To będzie chyba najlepszy sposób spędzenia tego wieczoru.

W jego żartobliwym tonie brzmiał prawdziwy niepokój.

— Doskonale — przystała z powagą. — Ale wobec tego rozejdźmy się lepiej. — I poprosiła d'Alcadera, aby zszedł na dół i posiedział z panem Traversem, który nie lubi samotności. — Chociaż i on nie wygląda na spragnionego rozmowy — dodała nawiasem i mówiła dalej: — Ale muszę pana jeszcze o coś innego poprosić. Mam zamiar siąść na tym fotelu i zasnąć — jeśli mi to się uda. Czy pan może mi obiecać, że pan mnie obudzi — około piątej? Wolałabym z nikim na pokładzie nie mówić, a poza tem — panu mogę zaufać.

Skłonił się w milczeniu i odszedł wolnym krokiem. Pani Travers odwróciła głowę i spostrzegła spokojne światło wiszące u rei na brygu, bardzo jasne wśród przyćmionych gwiazd. Poszła na rufę i spojrzała za poręcz. Wszystko było zupełnie jak owej nocy. Spodziewała się prawie, że usłyszy niebawem szmer zbliżającej się łodzi. Ale wszechświat trwał w ciszy. Gdy się wreszcie osunęła na leżak, czuła że jest u kresu wszelkiej władzy myślenia.

— Wyobrażam sobie, że skazańcy taksamo starają się zasnąć w noc przed egzekucją — rzekła do siebie, nim się jej powieki zamknęły jak pod dotknięciem ołowianej dłoni.

Obudziła się z twarzą mokrą od łez; śniło jej się bardzo wyraźnie, że Lingard ubrany w kolczugę, z gołą głową — przypominający jakby krzyżowca — odchodził od niej wgłąb fantastycznego krajobrazu. Śpieszyła się aby go doścignąć, lecz tłum barbarzyń-

ców w olbrzymich turbanach rozdzielił ich w ostatniej chwili; straciła go z oczu nazawsze w zamięcie okropnej burzy, miotającej kłębamii piasku. Przestraszyło ją najbardziej to, że absolutnie nie mogła dojrzeć jego twarzy. Wtedy właśnie zaczęła płakać nad ciężkim swym losem. Gdy się obudziła, łzy spływały wciąż jeszcze po jej policzkach; dostrzegła w świetle lampy d'Alcaca, który stał niedaleko.

— Czy pan do mnie co mówił? — zapytała.

— Nie — odrzekł — nie miałem czasu. Kiedy przyszedłem tutaj, wydało mi się, że pani szłocha. To pewnie złudzenie.

— O nie. Mam jeszcze mokrą twarz. To był sen. Już chyba jest piąta. Dziękuję panu za punktualność. Muszę coś załatwić przed wschodem słońca.

D'Alcacer podszedł bliżej.

— Wiem. Postanowiła pani spotkać się z kimś na ławicy. Mąż pani nie wymówił i dwudziestu słów przez te wszystkie godziny, ale zdołał udzielić mi tej informacji.

— Nie byłabym myślała — szepnęła niepewnie.

— Chciał mi wytłumaczyć, że to nie ma żadnego znaczenia — stwierdził d'Alcacer bardzo poważnym tonem.

— Tak. On wie dobrze co mówi — rzekła pani Travers tak gorzko, że przez chwilę d'Alcacer poczuł się zbitym z tropu. — Nie widzę żywej duszy na pokładzie — mówiła dalej prawie jednym ciągiem.

— Nawet wartownicy śpią — rzekł d'Alcacer.

— W mojej wycieczce niema nic tajnego, ale wołałabym nikogo nie wzywać. Czyby pan nie zechciał zawieźć mnie w naszej małej łódeczce?

Miała wrażenie, że d'Alcacer trochę się waha. Dodała:

— Widzi pan, to nie jest nic ważnego.

Skłonił się na znak zgody i po chwili schodził przed nią w milczeniu po trapie. Gdy weszła do łodzi, miał już wiosła przygotowane; siadła na ławeczce, a d'Alcacer odbił natychmiast od statku. Było jeszcze tak ciemno, że gdyby nie światło wiszące u rei na brygu, nie byłby mógł utrzymać kierunku. Wiosłował bardzo rozważnie, spoglądając często przez ramię. Pani Travers dojrzała pierwsza słabo jaśniejącą, nagą ławicę piasku na czarnej, spokojnej wodzie.

— Trochę bardziej na lewo — rzekła. — Nie, w stronę przeciwną... — D'Alcacer słuchał jej wskazówek, lecz uderzenia jego wiosel stały się jeszcze powolniejsze. Odezwała się znowu.

— Panie d'Alcacer, czy pan nie uważa, że powinno się zawsze spłacić wszystko aż do ostatniego szeląga?

D'Alcacer spojrział przez ramię i rzekł:

— Właściwie jest to jedyny uczciwy sposób postępowania. Ale to może być trudne. Zbyt trudne dla naszych przeciętnych, lękliwych serc.

— Jestem przygotowana na wszystko.

Przestał na chwilę wiosłować.

— Wszystko co można znaleźć na piaszczystej rewie — ciągnęła pani Travers — na jałowej, bezludnej rewie bez żadnego znaczenia.

D'Alcacer poruszył dwa razy wiosłami i znów się zatrzymał.

— Taka piaszczysta rewa może pomieścić cały ogrom cierpień. Wszystką gorycz, wszystek żal, które zwały się na ludzką duszę.

— Tak, zdaje mi się, że pan to rozumie — szep-

nęła, a d'Alcacer poruszył jeszcze parę razy wiosłami, wciąż się oglądając.

— Gorycz, żal — powtórzyła cichutko pani Travers i poczuła po chwili, że kil łódki zarył się w piasek. Ale się nie poruszyła, a d'Alcacer pozostał także na ławce, trzymając wiosła wzniesione piórami do góry, jakby był gotów opuścić je za danym znakiem i pchnąć jolę z powrotem na głęboką wodę.

Pani Travers, siedząc wciąż bez ruchu, spytała znienacka:

— Panie d'Alcacer, czy pan myśli, że ja stąd wrócę?

Wydało mu się, że jej głos nie jest szczerym. Ale któżby mógł powiedzieć, co się kryje za tą obcesowością — szczerą lęk czy zwyczajna próżność? Zapytał się siebie, czy ona udaje przed nim czy tylko przed sobą.

— Zdaje mi się, że pani niezupełnie rozumie sytuację. Nie wiem czy pani ma dokładne pojęcie o prostocie i dumie tego wizjonera.

Pomyślała lekceważąco, że są jeszcze inne rzeczy, o których d'Alcacer nie wie i uległa nagłej pokusie aby go trochę oświecić.

— Pan zapomina, że on jest zdolny do wielkich namiętności i że w swojej prostocie nie zdaje sobie sprawy z własnej siły.

Szczerłość tego szeptu nie ulegała wątpliwości.

— Poczwała na sobie tę siłę — pomyślał d'Alcacer z niezłomnym przeświadczeniem. Był ciekaw kiedy, gdzie, jak, w jakich okolicznościach. Pani Travers podniosła się nagle z tylnej ławeczki, a d'Alcacer wyskoczył na piasek aby pomóc jej przy wysiadaniu.

— Czy nie lepiej abym został tu gdzie w pobliżu i zabrał potem panią na statek? — poddał, puszczając jej rękę.

— Broń Boże! — wykrzyknęła niespokojnie. — Pan musi wrócić na jacht. Za jaką godzinę rozjaśni się już zupełnie. Przyjdę na to miejsce i będę powiewać chustką, gdy zechcę aby po mnie przyjechali.

U ich stóp płytka woda spała głęboko; widziadlana jasność piasków zwodziła wzrok swym niepewnym zarysem. W oddali gąszcz zarośli w środku rewy rysował się ku południowi ciężką, czarną masą na tle gwiazd. Pani Travers pozostała jeszcze chwilę przy łodzi, jakby lękając się niezwykłej samotności tej odludnej mielizny i tego odludnego morza, które zdawało się wypełniać cały otaczający ją wszechświat, złożony z dalekich gwiazd i niezmiernego cienia.

— Tu niema nikogo — szepnęła do siebie.

— On tu jest gdzieś blisko i czeka na panią, albo wcale go nie znam — rzekł półgłosem d'Alcacer. Odepchnął się silnie od brzegu i łódeczka znalazła się na wodzie.

D'Alcacer miał zupełną rację. Lingard wyszedł na pokład długo zanim pani Travers się obudziła z twarzą mokrą od łez. Majtkowie, którzy brali udział w pogrzebie, wrócili przed kilku godzinami i załoga brygu spoczywała we śnie — oprócz dwóch wartowników, którzy na widok Lingarda wycofali się bezgłośnie z tylnego pomostu. Lingard oparł się o poręcz i pogрузił w posępne rozpamiętywanie przeszłości. Otoczył go tłum mar spoglądających z wyrzutem, głośnych i ożywionych; nie mówiły zwyczajną mową śmiertelnych, lecz napastowały go wśród cichych łkań, głębokich westchnień i gestów pełnych grozy. Gdy przyszedł do siebie i odwrócił się, mary zniknęły — prócz jednej ciemnej postaci, niemej i nieruchomej. Lingard patrzył na nią z ukrytem przerażeniem.

— Kto to? — spytał niespokojnym głosem.

Cień się przybliżył.

— To tylko ja, panie kapitanie — rzekł Carter, który wydał rozkaz, aby go zawołano natychmiast po ukazaniu się kapitana na pokładzie.

— Ach tak, powinienem był się domyśleć — mruknął Lingard z pewnem zmięszaniem. Poprosił Cartera aby kazał przyszykować łódź z wioślarzami, a gdy po pewnym czasie młody człowiek oświadczył że wszystko gotowe, rzekł: „Doskonale!“ i stał w dalszym ciągu wsparty na łokciu.

— Przepraszam, panie kapitanie — rzekł Carter po dość długim milczeniu — ale czy pan wyrusza w dalszą drogę?

— Nie, chcę tylko żeby mnie odwieźli na rewę.

Carter wysłuchał tego z ulgą lecz także i ze zdziwieniem.

— Tam niema żywego ducha, panie kapitanie — rzekł.

— Ciekaw jestem — mruknął Lingard.

— Ależ z pewnością — nalegał Carter. — Resztę kobiet i dzieci tych zbójów zabrano stamtąd w sampanach, które przywiozły pana i tych państwa z jachtu.

Poszedł za Lingardem aż do przejścia i wysłuchał jego rozkazów.

— Z chwilą gdy będzie dość jasno by rozróżnić flagi, da pan sygnał szkunerowi aby podniósł kotwicę i zwolnił żagle. Gdyby się ociągali, niech pan każe założyć do armaty pusty nabój i wystrzelić. Nie zniosę żadnego niezdecydowania. Jeśli nie usłuchają, to jakem żyw, wypędzę ich stąd. Jestem tu jeszcze panem — na jeden dzień.

\* \* \*

Przytłaczające wrażenie ogromu i niepokojącej pustki przejęło łękiem panią Travers — jak zwykle tych co chodzą po mieliźnie wśród morza. Świat był jak przeogromny, płaski cień, nieuchwytny i nieruchomy. Na tle południowych gwiazd ujrzała ludzką postać, samotną i opuszczoną, która wydała jej się ogromną: podobna była do zarysu olbrzyma wśród konstelacyj. Ów olbrzym szedł ku niej, malejąc do zwykłych rozmiarów; oderwał się od gwiazd, stracił grozę i stał się niepokojącym w swem złowróżbnem, niemem zbliżaniu się. Pani Travers odezwała się śpiesznie:

— Pan żądał abym przysła. Jestem. Ufam, że pan nie będzie miał powodu żałować mego posłuszeństwa.

Podszedł bardzo blisko i schylił się aby zajrzeć jej w twarz. Pierwszy brzask podzwrotnikowej jutrzenki ukazał się nad Wybrzeżem Zbiegów, rzucając na niebo charakterystyczną, zimną jasność.

Pani Travers nie odwróciła głowy.

— Pan szuka we mnie zmiany? Nie — pan jej nie zobaczy. Teraz już wiem, że nie mogłabym się zmienić nawet gdybym chciała. Jestem zrobiona ze zbyt twardej gliny.

— Patrzę na panią po raz pierwszy — rzekł Lingard. — Nigdy jeszcze nie mogłem pani się przyjrzeć. Za wiele było rzeczy, za wiele myśli, za wielu ludzi. Nie, wcale pani jeszcze nie widziałem. Ale teraz świat już umarł.

Wziął ją za ramiona, zbliżając twarz do jej twarzy. Nie odsunęła się wcale.

— Tak, świat umarł — powiedziała. — Niech pan się napatrzy. Niedużo ma pan czasu.

Puścił ją tak nagle, jakby go uderzyła. Zimne, białe światło podzwrotnikowej jutrzeńki przekroczyło już zenit, i przestrzeń płytkich wód, nieruchomych i gładkich, wyglądała zimno w olbrzymiej ramie widnokręgu, gdzie ku zachodowi ociążał się jeszcze cień.

— Niech pani mnie weźmie pod ramię — powiedział.

Uczyniła to natychmiast; odwróciwszy się od dwóch statków, ruszyli wzdłuż piaszczystego brzegu, ale nie uszli i kilkunastu kroków, gdy pani Travers spostrzegła podłużny kopiec z deską zatkniętą w nim prostopadle u końca. Pani Travers знаła tę część mielizny. Tutaj właśnie spacerowała co wieczór po obiedzie z mężem i d'Alcacerem, gdy jacht osiadł na piaskach a łódki zostały wysłane na poszukiwanie pomocy — którą znalazły, którą zaiste znalazły! Nigdy tego kopca przedtem nie widziała. Nagle Lingard przystanął i wpatrzył się weń posepnie. Przycisnęła jego ramię aby zbudzić go z zamyślenia i zapytała:

— Co to takiego?

— To grób — rzekł Lingard cichym głosem, patrząc wciąż na kupę piasku. — Wczoraj wieczorem kazałem go zabrać z brygu. Dziwna rzecz — mówił w zadumie — jak wiele może pomieścić grób obliczony tylko na jednego człowieka. Słowa, które mi goniec ten przyniósł, mówiły aby o wszystkim zapomnieć.

— Nigdy, nigdy — szepnęła pani Travers. — Czemuż nie było mnie wówczas na pokładzie *Emmy*... Pan tam zostawił szaleńca! — krzyknęła nagle. Szli dalej, a Lingard patrzył na panią Travers wspartą na jego ramieniu.

— Ciekawym, który z nas dwóch był szalony — powiedział.



— Dziwię się, że pan może na mnie patrzeć — szepnęła. A Lingard rzekł:

— Musiałem panią zobaczyć raz jeszcze.

— Ten ohydny Jörgenson — wyszeptala do siebie.

— Nie, nie, on dał mi sposobność do czynu — zanim machnął na mnie ręką.

Pani Travers cofnęła ramię a Lingard też się zatrzymał, patrząc na nią długo w milczeniu.

— Nie mogłam odmówić panu tego spotkania — rzekła nareszcie pani Travers. — Nie mogłabym panu niczego odmówić. Cała słusność jest po pana stronie, i wszystko mi jedno co pan zrobi lub powie. Ale dziwię się swej własnej odwadze gdy pomyślę o wyznaniu, które mam panu uczynić. — Przynęła się bliżej, położyła dłoń na ramieniu Lingarda i rzekła z powagą: — Wzdrygałam się na samą myśl o spotkaniu z panem. A teraz musi pan wysłuchać mojej spowiedzi.

— Niech pani nie mówi ani słowa — rzekł Lingard spokojnym głosem, nie odwracając oczu od jej twarzy. Ja już wiem.

— To niemożliwe! — krzyknęła. Ręka jej zsunęła się z jego ramienia. — Więc dlaczego pan mnie nie wrzuci do morza? — zapytała porywczo. — Czy mam żyć z nienawiścią do siebie?

— Nie wolno pani! — rzekł z lękiem. — Czyż pani tego już dawno nie zrozumiała, że gdyby mi pani wręczyła wówczas ten pierścień, byłoby wszystko tak samo?

— Czy mam temu wierzyć? Nie, nie! Pan postępuje zbyt szlachetnie z taką jak ja pozerką. Pan jest najszlachetniejszym z ludzi; ale pan marnuje swoją wspańiałomyślność. Myśli pan, że czuję wyrzuty su-

mienia? Nie. Jeżeli coś czuję, to tylko rozpacz. Lecz pan chyba to wiedział — a jednak pragnął pan znów na mnie spojrzeć.

— Mówię pani, że nigdy przedtem nie miałem do tego okazji — rzekł Lingard równym głosem. — Dopiero gdy usłyszałem że powierzyli pani pierścień, poczułem jaką pani nademną ma władzę. Skąd mogłem przed tem wiedzieć? Co miłość lub nienawiść może mieć wspólnego z panią lub ze mną? Nienawiść. Miłość. I cóż panią może osiągnąć? Dla mnie pani stoi nawet ponad śmiercią; bo widzę teraz, że nie umrze pani póki ja żyję.

Stali naprzeciw siebie na południowym skraju piasków, jakby na powierzchni otwartego morza. Środkowy grzbiet mielizny, nawiany wichrami, zasłaniał zupełnie maszty obu okrętów, a wzrastająca jasność dnia zwiększała jeszcze w tych dwojgu poczucie niezmiernego osamotnienia wśród straszliwej pogody świata. Pani Travers zasłoniła nagle oczy ramieniem i odwróciła twarz.

— Oto wszystko — dodał Lingard.

Ramię pani Travers opadło; zaczęła iść z powrotem nie podtrzymywana, samotna. Lingard szedł za nią aż do krańca piasków odsłoniętych przez odpływ. Pas pomarańczowego światła ukazał się na zimnem niebie nad czarnym lasem Wybrzeża Zbiegów; zbladł szybko i zmienił się w złoto, które się wnet przetopiło w oślepiający, bezbarwny blask. Dopiero minąwszy grób Dżaffira, pani Travers obejrzała się ukradkiem i zobaczyła, że niema z nią Lingarda. Zostawił ją samą. Ujrzała go siedzącego przy piaszczystym kopcu — ze zgiętym grzbietem, z rękoma obejmującemi kolana, jak gdyby uległ nieodpartemu wezwaniu wielkich wizyj, nawiedzają-

cych grób wiernego wysłańca. Ocieniwszy ręką oczy, pani Travers śledziła nieruchomą postać tego człowieka o nieskończonych złudzeniach. Nie drgnął — nie podniósł nawet głowy. Było po wszystkim. Skończył z nią raz na zawsze. Czekala jeszcze chwilę i ruszyła z wolna w swoją drogę.

Shaw, pełniący teraz obowiązki drugiego oficera na jachcie, przyjechał z majtkiem, aby zabrać panią Travers na pokład. Wytrzeszczył na nią oczy jak obrażona sowa. Jakim sposobem żona właściciela mogła ukazać się nagle o wschodzie słońca na ławicy, powiewając chustką, tego nie mógł zrozumieć. Bo gdyby nawet potrafiła się wymknąć w ciemności, nie byłaby mogła odesłać z powrotem pustego czółna. Było to dla Shawa czemś w rodzaju niestosownego cudu.

D'Alcacer pośpieszył do szczytu drabiny, a gdy się spotkali na pokładzie, zdumiał się, słysząc, że pani Travers mówi tonem dziwnie wyzywającym:

— Miał pan słuszność — wróciłam. — Kiwnęła głową, dodając z lekkim śmiechem, który uczynił przykre wrażenie na d'Alcacerze: — I Marcin także miał rację. To było zupełnie bez znaczenia.

Podeszła odrazu do tylnej poręczy, a d'Alcacer pośpieszył za nią, zaniepokojony jej bladą twarzą, gorączkowymi ruchami i zdenerwowaniem z którym szukała czegoś u szyi. Czekał dyskretnie; wreszcie odwróciła się, wyciągając ku niemu otwartą dłoń, na której zobaczył ciężki, złoty pierścień z dużym, zielonym kamieniem.

— Niech pan na to spojrzysz, panie d'Alcacer. To jest właśnie rzecz o której myślałam, pytając pana czy mam to oddać czy schować — ten symbol ostatniej

chwili — to ostateczne wezwanie. A on mówi, że toby nic nie zmieniło! On jest najwspaniałomyślniejszym z ludzi — i wszystko już zapłacone — do ostatniego szeląga. Skończył ze mną. To najwspaniałomyślniejszy... ale tam w piasku jest grób, gdzie zostawiłam go siedzącego — nawet za mną nie spojrział. Po raz ostatni na ziemi! Zostawił mnie z tą rzeczą. To nie ma żadnego znaczenia. To martwy talizman.

Rzuciła pierścień w wodę nerwowym ruchem, poczem rzekła gorączkowo do d'Alcacera: „Niech pan tu chwilę postoi. Niech pan nie pozwoli nikomu tu podejść“ — i wybuchnęła płaczem, odwracając się od niego.

Lingard powrócił na pokład brygu i zaraz popołudniu *Błyskawica* ruszyła w drogę, przepływając obok szkunera aby go wyprowadzić z labiryntu mielizn. Lingard był na pokładzie, lecz nie spojrział ani razu na pływający za nimi statek. Z chwilą gdy oba okręty znalazły się na wolnym morzu, zszedł na dół, mówiąc do Cartera:

— Pan wie co pan ma robić?

— Tak, panie kapitanie — rzekł Carter.

Wkrótce po zniknięciu kapitana z pokładu Carter spuścił główny marsel. *Błyskawica* zwolniła biegu, a szkuner z rozwiniętymi wszystkimi żaglami przejechał tuż pod jej rufą, kierując się w swoją stronę. Pani Travers, stojąca sztywno u tylnej poręczy, trzymała się jej oburącz. Rondo białego jej kapelusza odgięte było z jednej strony przez wiatr, który powiewał spódniczką jachtowego kostjumu. U jej boku d'Alcacer skinął uprzejmie ręką. Carter zdjął czapkę w ukłonie.

W ciągu całego popołudnia chodził po rufie mia-

rowemi krokami z lornetką w ręku. Wreszcie opuścił szklę, spojrzął na różę kompasu i podszedł do otwartej luki świetlnej kajuty.

— W tej chwili straciłem go z oczu, panie kapitanie — rzekł.

Tam w dole panowała zupełna cisza. Carter podniósł nieco głos.

— Kazał mi pan natychmiast się zawiadomić, gdy stracę jacht z oczu.

Odgłos zduszonego jęku dosięgnął uszu Cartera nad słuchującego uważnie; zmęczony głos powiedział:

— Dobrze, zaraz idę.

Gdy Lingard wstępował na tylny pomost *Błyskawicy*, otwarte morze obróciło się już w purpurę pod wieczornem światłem, a na wschodzie płytka woda mieniła się stalowymi błyskami wzdłuż ciemnej linii wybrzeża. Lingard patrzył na morze, skrzyżowawszy ramiona. Carter zbliżył się do niego i rzekł spokojnie:

— Prąd się odwrócił; nadchodzi noc. Czy nie lepiej odjechać od tych mielizn, panie kapitanie?

Lingard nie poruszył się wcale.

— Tak, zbliża się noc. Może pan podnieść główny marsel, panie Carter — powiedział i zamilkł znowu z oczyma utkwionemi w południowe wybrzeże, skąd pełzły ukradkiem cienie w stronę zachodzącego słońca. Niebawem Carter zjawił się znów u boku Lingarda.

— Bryg zaczyna posuwać się naprzód, panie kapitanie — rzekł ostrzegawczym tonem.

Lingard ocknął się z głębokiej zadumy, a potężny tors jego zadrżał jak wyrwane z ziemi drzewo.

— W którą stronę żeglował jacht, gdy pan go stracił z oczu? — zapytał.

— Jaknajściślej na południe — odrzekł Carter. — Jaki kierunek mam wziąć w ciągu nocy, panie kapitanie?

Wargi Lingarda drgnęły, zanim przemówił, ale głos jego był spokojny.

— Na północ — odrzekł.

Motto tej powieści brzmi w przekładzie:

*„Biada mi“, rzekła, „biada! Jakżeż to być może!  
Wszak to nad rozum ludzki i nad zmysł wszelaki  
By taki istniał potwór — czyli też cud taki!“*





## SŁOWNIK WYRAZÓW MORSKICH.

- Bak* — część przednia statku, wzniesiona nad górny pokład.
- Bras, brasy* — liny idące od noków (końców) rei dla obracania ich w płaszczyźnie poziomej. (Słownik żeglarski Marjusza Zaruskiego).
- Brasowac* — obracać reje w płaszczyźnie poziomej. (Słownik żeglarski Marjusza Zaruskiego).
- Bryg* — statek żaglowy o dwóch masztach posiadających reje. (Słownik żeglarski Marjusza Zaruskiego).
- Cumy* — liny, któremi przymocowuje się statek do brzegu.
- Fał* — lina służąca do wyciągania skośnych żagli do góry. (Słownik morski Marjusza Zaruskiego).
- Gałka masztowa* — głowica u szczytu masztu.
- Gig* — typ lekkiej łodzi morskiej o ściętej rufie.
- Gródź, l. m. grodzie* — ściany dzielące statek na części.
- Jola* — łódź morska z jednym prostokątnym żaglem i wystającymi nad burtą sztabami. (Słownik morski Marjusza Zaruskiego).
- Juta* — część pokładu na rufie, bardzo często wzniesiona nad poziom ogólny pokładu.
- Kil* — spodnia belka idąca wzdłuż całego okrętu, jak gdyby jego kręgosłup. (Słownik morski Marjusza Zaruskiego).
- Kliper* — szybkobieżny żaglowiec.
- Kliwer* — przedni żagiel trójkątny, chodzący po sztagu. (Słownik morski Marjusza Zaruskiego).
- Lagrowy żagiel* — typ żagla skośnego.
- Marsel* — żagiel prostokątny rozpięty na rei, drugi od dołu.
- Międypokład* — dolny pokład wewnątrz statku.
- Pięta* — najniższa część, którą drewno opiera się o gniazdo (podstawę). Np. pięta masztu. (Słownik morski Marjusza Zaruskiego).
- Poszycie* — arkusze żelazne lub stalowe, albo deski (przy statku drewnianym) pokrywające z zewnątrz kadłub statku.
- Reja* — drewno poprzeczne na maszcie do rozpinania na niem żagla. (Słownik morski Marjusza Zaruskiego).
- Rufa* — tylna część statku.

- Skantować reje* — obrócić je na możliwie ostry kąt do wiatru.
- Skrócić żagle* — zmniejszyć ich płaszczyznę przez częściowe zwinięcie.
- Stewa przednia* — przednia, pionowa sztaba dziobu statku, do której są przymocowane arkusze poszycia.
- Steward* — służący na statku.
- Szaniec* — część śródokręcia ku tyłowi statku.
- Szkuher* — okręt dwu, trzy, lub czteromasztowy, ze skośnemi plimuckimi żaglami. (Słownik morski Marjusza Zaruskiego).
- Sztag* — lina podtrzymująca maszt z przodu. (Słownik morski Marjusza Zaruskiego).
- Sztaksel* — trójkątny żagiel skośny chodzący po sztagu. (Słownik morski Marjusza Zaruskiego).
- Śródokręcie* — część pokładu między bakiem a rufą.
- Takelunek* — system lin i łańcuchów służących do podtrzymania omasztowania i manewrowania żaglami. (Słownik morski Marjusza Zaruskiego).
- Tambucza* — nadbudówka nad zejściem do kajuty, inaczej osłona zejściowa.
- Trap* — schody na statku; drabinka przenośna służąca do wchodzenia z łodzi na pokład.
- Troler* — statek ciągnący sieci rybackie na morzu.
- Ucho pokładowe* — pierścień żelazny wbity w pokład.
- Wrak* — zatopiony statek.
- Wyhył rufy* — tylna część rufy, wygięta i wystająca nad wodą.



INSTITUT  
BADAŃ MORSKICH  
BIOLOGICZNYCH

ul. Słowackiego 72  
00-000

Tel. 25-53 43, 26-40 41 p. 42  
<http://rcin.org.pl>

POWIEŚCI HISTORYCZNE  
WACŁAWA GĄSIOROWSKIEGO  
(WIESŁAWA SCLAVUSA)

czytać należy w następującej kolejności:

**CZARNY GENERAL**  
W 1 TOMIE

**HURAGAN**  
W 3 TOMACH

**ROK 1809**  
W 2 TOMACH

**SZWOLEŻEROWIE GWARDJI**  
W 1 TOMIE

**PANI WALEWSKA**  
W 2 TOMACH

**KSIĘŻNA ŁOWICKA**  
W 2 TOMACH

**B E M**

**EMILJA PLATER**  
W 1 TOMIE

---

**KRÓLOBÓJCY**

Tragiczne dzieje carów rosyjskich, które od pierwszego rozbioru Polski aż do wybuchu wojny światowej zawierają wiele cennego materiału historycznego, dotyczącego spraw naszych.

---

Wszystkie powyższe dzieła (oprócz „Pani Walewskiej”)

WYDANE ZOSTAŁY NAKŁADEM SP. AKC.

**DOM KSIĄŻKI POLSKIEJ**

WARSZAWA, PLAC TRZECH KRZYŻY 8.

PISMA ZBIOROWE  
JOSEPHA CONRADA  
(KONRADA KORZENIOWSKIEGO)

Z przedmową Stefana Żeromskiego

TOM IX i IX-a

# NOSTROMO

POWIEŚĆ Z POBRZEŻA MORSKIEGO

Z przedmową i portretem autora

**Tom I. Srebro kopalni — Izabele.**

**Tom II. Latarnia morska.**

*Przełożył STANISŁAW WYRZYKOWSKI*

2 tomy, str. 640 zł. 18.—.

„W powieści „Nostromo“ (przezwiśko Włocha, przybyśza do rzeczypospolitej południowo-amerykańskiej Costaguana), — mamy olbrzymie mrowisko, gdzie się przesuwają obrazy gromadzenia niezmiernych bogactw. Szaleją najbardziej rozkielznane pasje, uwidoczniłna jest chciwość, oszukująca w sposób najbardziej podstępny czyste zamysły patrioty, przewala się iście zwierzęce okrucieństwo, działają instynkty najpodlejsze i pracują najszlachetniejsze pobudki marzycieli. Mamy tam typy przepyszne, jak owego milczącego fanatyka Goulda, dyktatora Ribieri, młodego dziennikarza Decouda, a przede wszystkim samego „Nostromo“, — które stawiają to dzieło w rzędzie pierwszorzędných kreacyj artystycznych.

Opowieść, w której główne światło skierowane jest na postać Włocha Nostromo, wskutek wciągnięcia w akcję szeregu figur świetnie narysowanych, przemienia się ostatecznie na historję nie tylko awantur i zaburzeń w jakiejś mieścinie Sulaco, czy w południowo-amerykańskich kopalniach srebra San Tomé, lecz na dzieje rewolucji wogóle. Innemi przeprowadzone środkami i inne malujące strony kuli ziemskiej, dzieło to staje obok „The Revolt of Islam“ Percy Byshe Shelley'a“.

*Oto mocne zdanie o tem arcydziele Stefana Żeromskiego, wyjęte z jego przedmowy do zbiorowego wydania pism Conrada. Cóż można więcej do tych słów dodać? Nic ponadto: Czytaj i rozkoszuj się treścią tego arcydzieła literackiego.*

WYDAWNICTWO DOMU KSIĄŻKI POLSKIEJ







F

497

2